

**WYDANIE
ŚWIĄTECZNE**

tygodnikprzeglad.pl

P
rzegląd

Nr 52 (1303)
23-29.12.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Lech M. Nijakowski
Warto zlikwidować IPN

Rafał Skąpski
Sprawa Witosa

Leszek Konarski
Co się stało z Rafaelem?

Michał Choiński
„New Yorker” – więcej niż pismo

Dorota Rasińska-Samoćko
Najszybsza w Himalajach

Syberia
Jacka Pałkiewicza

Jerzy Niemczuk
scenarzysta serialu „Ranczo”

**Satyryczny
obraz Polski**

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

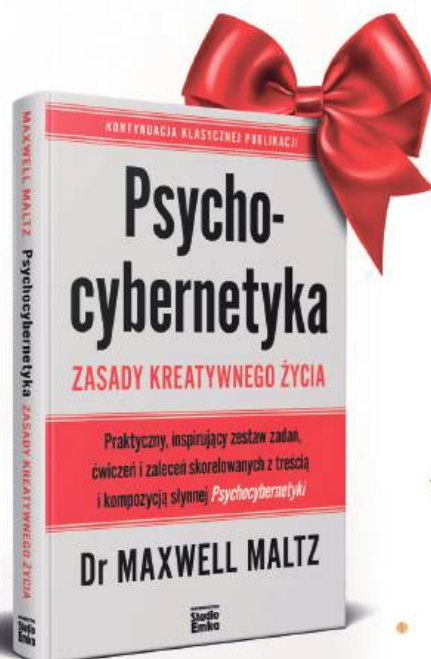
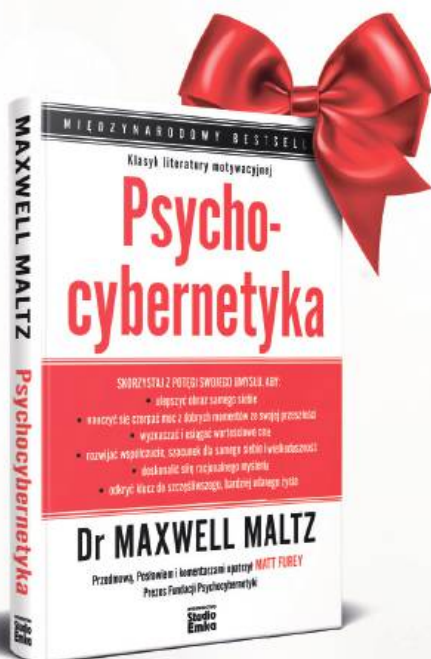
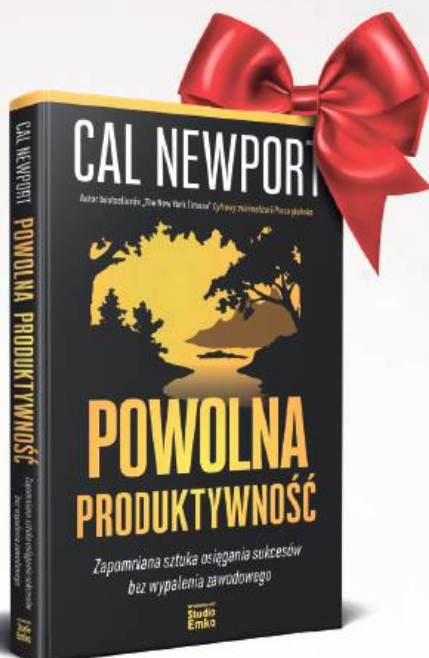


9 771509 311409

eprasa... 2153

WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**

Lektury na miarę czasów



www.studioemka.com.pl

 www.facebook.com/StudioEMKA  [@wydawnictwostudioemka](https://www.instagram.com/wydawnictwostudioemka)



W kolejce do wariografu

Nie można im odmówić rozmachu – nigdy w Polsce nie okradziono państwa, czyli nas, na tak ogromną skalę. I beczelności, z jaką zmieniają znaczenie słów. U nich złodziej jest męczennikiem, aferzysta ofiarą zbrodniczej nowej władzy, a Ziobro obrońcą praworządności. Tak wielkiego zbiorowiska kłamców i cyników pod partyjnym logo nikomu, poza Kaczyńskim, nie udało się zgromadzić.

Doprowadzili do tego, że rozsypały się powszechnie używane przez ludzi definicje słów. Za politykami PiS powinien stać tłumacz, który by przekazywał, co ci ludzie naprawdę mówią. Mogę się założyć, że nikt z partyjnej czołówki nie zaliczyłby wariografu. A reszta? Dostaje rano parozdaniowe przekazy dnia, czyli instrukcję, co mówić o najnowszych wydarzeniach. I mówi. Dokładnie to samo, słowo w słowo. Większą swobodę mieli chyba członkowie włoskiej mafii. Na pytanie o przyczynę takiego zdyscyplinowania znajdują tylko jedną odpowiedź. Przez osiem lat ich rządów prawie wszyscy uwikłali się w mniejsze czy większe machlojki. A jak nie oni, to ich krewni albo znajomi. Gdzie są te haki? Gromadzili je ludzie Kaczyńskiego na



Nasi Drodzy,
Na święta życzymy Wam
serdecznego przytulania
i uśmiechów,
pamiętania o samotnych,
a na deser dobrej lektury.
Zespół „Przeglądu”

ekipę Ziobry i odwrotnie. Ogromną wiedzę o tym, jak realnie działał mechanizm korupcji w gabinetach na Nowogrodzkiej, ma Marcin Romanowski. Dlatego też był przez PiS szczególnie chroniony. W operację Budapeszt zainwestowano wszystko, czym PiS dysponuje. Wybrano kompromitującą ucieczkę, bo zamknięcie Romanowskiego w areszcie groziło wysypianiem jego mocodawców.

Ucieczka Romanowskiego właśnie na Węgry nie jest przypadkiem. W ostatnich latach Węgrzy zarobili krocie na kontraktach z Orlenem. Najbardziej opłacało się to Obajtкови. Siedział na Węgrzech w czasie kampanii do Parlamentu Europejskiego. A na Podkarpaciu wpadał niezapowiedziany tylko na kilka godzin. I zniknął. U Orbána jest już spora grupa uciekinierów z Polski. Mielismy kiedyś rząd emigracyjny w Londynie, a teraz mamy rządową grupę przestępczą w Budapeszcie. Żeby rozbić ten gang, trzeba wygrać wybory prezydenckie z kandydatem PiS, który by ich taśmowo ułaskawiał.

Drodzy Czytelnicy, życzę spokojnych świąt.

BAKOWSKI



**Święta
z e-bookami
PRZEGLĄDU**

Zrób prezent sobie i bliskim

Mamy już 52 tytuły!

kup na sklep.tygodnikprzeglad.pl



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Wierny elektorat wybaczy**
– rozmowa z Jerzym Niemczukiem
- 12 Tusk i jego koalicja**
Nowa jakość mimo sporów w rządzie
- 14 Przekleństwo**
Instytutu Pamięci Narodowej
Zamieńmy politykę na naukę
- 17 Polska nie dla Polaków**
Repatriacja ze Wschodu – slogany a realia
- 33 Z Wierchosławic do Londynu**
– rozmowa z Rafałem Skąpskim
- 42 Sejm na tropie Rafała**
A jeśli „Portret młodzieńca” jest na Wawelu?

PSYCHOLOGIA

- 20 Świąteczny stół od kuchni**
– rozmowa z dr. Michałem Rydlewskim

MEDIA

- 24 Pismo, które zmieniło Amerykę**
– rozmowa z Michałem Choińskim

HISTORIA

- 30 Nieznani zabójcy górników**
Co naprawdę działo się w Wujku

OPINIE

- 34 Wiesław Żółtkowski**
Fenomenem był duży przyrost naturalny

SPORT

- 38 2024 – rok progresywny?**
Mamy turystów, nie piłkarzy

KULTURA

- 44 Teatr 2024: karuzela z przesiadkami**
Co na scenach i w gabinetach dyrekcji
- 48 Culturalia**
- 66 Najpiękniejsza szopka betlejemka 2024**

OBSERWACJE

- 50 Najszybsza w Himalajach**
– rozmowa z Dorotą Rasińską-Samoćko
- 54 Syberia odkryta**
Jacek Pańkiewicz za Uralem
- 59 Portugalia walczy o drzewo korkowe**
Korek musi mieć przyszłość

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
W kolejce do wariografu
- 19 Jan Widacki**
Masło a sprawa polska
- 23 Andrzej Romanowski**
Wilno krzepi
- 29 Stanisław Filipowicz**
Zawód stary jak świat
- 37 Andrzej Szahaj**
Brawo Australia!
- 41 Roman Kurkiewicz**
Wiwat Biejat!
- 49 Tomasz Jastrun**
Święta krowa
- 58 Wojciech Kuczok**
Wigilia z duchami



24

MEDIA

PISMO, KTÓRE ZMIENIŁO AMERYKĘ

– rozmowa
z Michałem Choińskim

44

KULTURA



TEATR 2024: KARUZELA Z PRZESIADKAMI

Co na scenach i w gabinetach dyrekcji



54

OBSERWACJE

SYBERIA ODKRYTA

Jacek Pańkiewicz za Uralem

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MAREK KSIĄŻEK

eprasa.pl 8c12b42f53



✉ Choroba prezydencka

Ciekawy i rzetelny historycznie tekst Pawła Siergiejczyka psuje jedno stwierdzenie: „(...) wyjąwszy istotne niekiedy prawo wetoowania ustaw sejmowych”. Nie ma ustaw sejmowych! Są ustawy parlamentu, uchwalane przez Sejm, potem Senat, potem ewentualne poprawki senackie są przyjmowane lub nie w Sejmie. Taki dokument trafia do prezydenta i ten go podpisuje lub wetauje, nie mając prawa ingerować w jego treść w najmniejszym stopniu. Pamiętam awanturę z lat 90., gdy to podobno Lech Wałęsa lub ktoś w jego imieniu nanosił do ustaw jakieś poprawki interpunkcyjne.

Zbigniew Kulak, senator RP III, IV i V kadencji



f Tajny referat Sustoła

Po pierwsze, Rosjanie wcale nie musieli wkraczać – było ich na miejscu wystarczająco dużo. Po drugie, w kraju od roku panował totalny rozgardiasz – nikt nie pracował, wszędzie strajki, dyrektorzy zakładów byli wywożeni na taczakach przez dumnych strajkujących, gospodarka właściwie stała, wystarczy sobie wyobrazić, jak wyglądałaby tamta zima, gdyby wojsko nie zabezpieczyło dostaw węgla do elektrowni czy elektrociepłowni. Trzeba powiedzieć wprost: krajowi groziła wojna domowa. Cała sytuacja szła w kierunku konfrontacji i nie było szans na porozumienie. Jaruzelski uratował życie tysięcy Polaków. Jeśli teraz beton prawicowy nie może spać spokojnie na myśl o stanie wojennym, to nie wyobrażam sobie gojenia ran po wojnie domowej, która nam groziła. Krytykujący Jaruzelskiego nie są zdolni pojąć, do czego może dojść, gdy kraj ogarnie chaos i wojna domowa. Gdy sąsiad morduje sąsiada, bo ma do niego urazę.

Michał Czarnowski



f Pisowski Indiana Jones

Pamiętajmy! Decyzje pseudo-Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej nie są wiążące, są czysto politycznymi opiniami, a nie wyrokami, i ci pisowscy aparatczycy w tzw. TK nie mają prawa wpływać na decyzje władz wybranych w demokratycznych wyborach. Sejmowa komisja śledcza ds. Pegasusa nadal działa i podważanie jej konstytucyjności przez nielegalny, niekonstytucyjny i wadliwy pseudo-TK to wyraz pisowskiego strachu przed odpowiedzialnością karną.

Elisabeth Respondek



f 7 błędów i szansa

Czy ten rząd będzie rozliczać poprzedni do końca kadencji, a sprawy ważne odkładać na później? Obecny rząd nie robi nic poza rozliczaniem poprzedniego i nakręcaniem cyrku medialnego wokół tego. A problemów i wk... ludzi jest coraz więcej.

Rafał Gonicki

ZDJĘCIE TYGODNIA



Wybory parlamentarne w Pakistanie, nękanym zawirowaniami politycznymi i zamachami islamskich terrorystów. Peszawar, 8 lutego 2024 r. To jedno ze zdjęć roku Agencji Reutersa.

Marcin Romanowski, były wiceminister sprawiedliwości z partii Ziobry, poszukiwany **europejskim nakazem aresztowania** w związku ze śledztwem w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, uciekł na Węgry. Mimo kilkunastu zarzutów prokuratorskich rząd Orbána przyznał mu azyl polityczny.

Dariusz Wieczorek nie jest już ministrem nauki. W ciągu roku zaliczył tyle wpadek, co połowa rządu. My zapamiętamy go także jako urzędnika państwowego, który od sierpnia nie odpowiedział na nasz tekst i list w sprawie młodego wynalazcy. Odejście Wieczorka z rządu nie kończy jego problemów.

Państwowa Komisja Wyborcza **odroczyła decyzję w sprawie finansowania PiS** do czasu uregulowania statusu Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, w której zasiadają neosędziowie.

Z badań, które przeprowadziła na zlecenie Centrum Mieroszewskiego ukraińska pracownia Info Sapiens, wynika, że w ciągu dwóch lat bardzo zmieniła się opinia Ukraińców o Polakach. W 2022 r. było 46% ocen bardzo dobrych, a w tym roku tylko 15%. Ukraińcy uważają, że najbardziej pomogli im Wielka Brytania (34%), Niemcy (29%) i na trzecim miejscu Polska (23%) („Rzeczpospolita”).

Najwięcej osób o polskich korzeniach mieszka w USA – 9,4 mln, w Niemczech – 2 mln, na Białorusi – 1,1 mln, we Francji – 1 mln, w Kanadzie – 980 tys., w Brazylii – 800 tys., w Wielkiej Brytanii – 700 tys., w Argentynie – 500 tys. i w Rosji – 300 tys. („Angora”).

Coraz więcej wiemy o gigantycznych kwotach, które w czasie ośmiu lat rządów Kaczyńskiego i Ziobry trafiły do mediów Sakiewicza i Karnowskich. Do tygodnika „**Sieci**” wydawanego przez spółkę Fratria tylko ze spółek skarbu państwa wpłynęło ponad 142 mln zł. Do „**Do Rzeczy**” poszło 71 mln zł, a do „**Gazety Polskiej**” 61 mln zł.

W ramach programu „Czyste powietrze” nie będzie już można dostać **dofinansowania do kotłowni gazowych**. Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej zastąpił audyty energetyczne ocenami, które będą dokonywane przez ekspertów na miejscu.

Instytut Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi **za dwukrotną odmowę aborcji** został ukarany przez Narodowy Fundusz Zdrowia grzywną w wysokości 352 tys. zł.

Ponad 1 mln osób zadeklarowało w 2023 r. **dochód z prywatnego najmu lokali**. Łącznie zarobiły prawie 33 mld zł.

Agencja Uzbrojenia wyda 1,2 mld zł na zakup amerykańskich dronów MQ-9B SkyGuardian, które mają służyć do działań rozpoznawczych i uderzeniowych.

Od 1 stycznia 2025 r. w Mediolanie będzie obowiązywał **zakaz palenia we wszystkich miejscach publicznych**. Za nieprzestrzeganie zakazu grożą kary w wysokości od 40 do 140 euro.

Ponad 60 tys. osób zatrudnia polski przemysł tytoniowy. Są wśród nich plantatorzy oraz pracownicy zajmujący się produkcją i przetwórstwem.

PRZEBŁYSKI

Pamiętajmy o Annie Topolskiej z Wałcza

Apel do burmistrza Macieja Żebrowskiego i radnych Wałcza.

Droży włodarze tego pięknego miasta! Czytelniczką naszego tygodnika jest Stefania Ludwiczak, mieszkanka Wałcza, która od wielu lat zabiega o uczczenie pamięci Anny Topolskiej. W przyszłym roku minie 25 lat od wyróżnienia Anny Topolskiej tytułami Człowieka Roku w Wałczu i Społecznika Roku 2000 u Jacka Kuronia. Zastugi pani Anny znacznie lepiej od nas. Skoro tak bardzo potrzebujemy wzorów dla młodzieży, to Anna Topolska pasuje jak ulał. Może czas upamiętnić ją ulicą? Albo taweczką w parku? Lub w inny sensowny sposób? Mieszkańcy, z panią Stefanią Ludwiczak, będą wdzięczni. A my zrobimy z tego duży materiał w „Przeglądzie”.



Zryty beret biskupa

Można być biskupem jak Antoni Długosz. Można również być prof. dr. hab. nauk teologicznych jak tenże Długosz. A nawet muzykiem i łąć jak z nut, tak bezwstydnie, że zęby bołą. Biskup Długosz widzi nawet to, co niewidoczne. Jak choćby wzrost powołań kapłańskich dzięki ks. Olszewskiemu, którego prześladowano, podobnie jak urzędniczki kręcące kasą Funduszu Sprawiedliwości:

Urszulę Dubejko i Karolinę Kucharską. Męczeństwo ks. Olszewskiego i tych dwóch „przeogromnych bohaterek” tak zryło beret biskupa, że przebić je może tylko męczeństwo wiceministra sprawiedliwości, czyli Marcina Romanowskiego. Ten to chyba pójdzie żywcem do nieba.

Siedlecka odgrzebała Iredyńskiego

Joanna Siedlecka dorabiająca do emerytury w „Do Rzeczy” ma szczególną słabość do opisywania skandali obyczajowych.

Z czasów tak odległych, że trudno już o żywych świadków. Zagłębienie starym ludziom do rozporków albo pod spódnicę nie jest już atrakcyjnym towarem. W przeciwieństwie do atakowania takich tuzów jak Lem czy Mrozek. Siedlecka pisze, że w latach 60. Lema i Mrozka dopadła wielka zazdrość i zawiść wobec sukcesów Ireneusza Iredyńskiego. Dla Siedleckiej pisarza wybitniejszego od nich. Fascynują ją jego łóżkowe ekscesy, ciągi alkoholowe i libacje okraszone mordobiciami. Lem i Mrozek wiedzieli o tym, a także o jeszcze gorszych występach tego pisarza. Doceniali jednak jego talent.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że doceniali nawet przesadnie. Bo gdzie przy nich jest dziś Ireneo? W archiwum Siedleckiej.





PYTANIE TYGODNIA

Czym nie obdarowywać dzieci?

DOROTA ZAWADZKA,
psycholożka rozwojowa

Po pierwsze, nigdy i nikogo nie powinniśmy obdarowywać zwierzęciem, bo nie jest zabawką. Druga rzecz to już bardziej moja subiektywna opinia: zabawki militarne. Z jednej strony, Bóg się rodzi, a z drugiej – karabiny. To jakiś dysonans. Po trzecie, rodzice powinni unikać podążania za modami. Warto się zastanowić, czy rzeczywiście lansowany w mediach przedmiot jest potrzebny. Po czwarte, gdy już kupujemy jakąś zabawkę, dobrze by było móc się nią bawić w kilka różnych zabaw, niech będzie uniwersalna. Chciałabym też przestrzec rodziców, aby nie kupowali tzw. zabawek alienujących, służących do samotnej zabawy, tak jak telefon komórkowy czy tablet. Należy też dbać o jakość zabawek i kupować rzeczy bezpieczne. Takie, które się nie rozpadną po jednym użyciu. Czasem lepiej kupić mniej rzeczy, ale trwalszych.

AGATA NAPIÓRSKA,
magazyn „ładne Bebe”

Nie dawajmy dzieciom w prezencie stodczy, zwierząt, zabawek, które są słabej jakości i po minucie używania się zepsują. Oczywiście żadnych różg. Podarujmy dzieciom zabawkę, grę, książkę, komiks, coś, co sprawi im radość i zostanie z nimi na dłużej.

PROF. EWA DROBEK,
nauczycielka wyróżniona w konkursie Global Teacher Award 2019

Odwroć pytanie i powiem, że dzieci powinno się obdarowywać najcenniejszą walutą tego świata, czyli czasem. W tym pędzącym na oślep świecie za mało czasu poświęcamy dzieciom, więc z mojej perspektywy najlepszym prezentem byłoby wspólnie i nieśpiesznie spędzone popołudnie. To może być aktywność, którą rodzic i dziecko lubi: kino, spacer po lesie, gra w planszówki. Ważna jest uwaga i prawdziwe bycie razem.

DR MONIKA BOBERSKA,
psycholog

Dobry prezent odpowiada zainteresowaniom i kontekstowi funkcjonowania danej osoby. Robienie prezentów wymaga od nas zaangażowania oraz uwzględnienia upodobań i preferencji obdarowywanej osoby. Wtedy podarek ma szansę sprawić komuś przyjemność. Istnieje jeszcze kategoria prezentów uniwersalnych, nie jest do końca trafiona z perspektywy psychologa, ponieważ kluczem do udanego prezentu jest odpowiedź na indywidualne potrzeby. Jeśli chodzi o dzieci, świetnie sprawdzają się prezenty, które umożliwiają wspólne spędzanie czasu. Prezent może pomóc w budowaniu relacji i odkrywaniu siebie, a także motywować do spędzania czasu na aktywności fizycznej. Dzięki temu przyczyni się do wykształcania pożądanych zachowań zdrowotnych.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Wierny elektorat wybaczy

Prowincja głosami widzów dopomina się o to, żeby ją zauważyć

Rozmawia Marek Książek

Od naszej poprzedniej rozmowy dla „Przeglądu” minęło już ponad 12 lat, ale serial „Ranczo” ciągle cieszy się dużą popularnością. Potwierdziło się, że trafiliście na żyłę złota?

– Powtórzę, co wtedy powiedziałem („Żyła złota w Wilkowyjach”, nr 27/2012): tę żyłę odkrył nasz producent Maciej Strzembosz. Najpierw trafił na notatkę prasową o Amerykance, która po przyjeździe do Polski została sołtyską wsi w Bieszczadach. Robert Brutter, taki pseudonim literacki nosił zmarły sześć lat temu Andrzej Grembowicz, napisał trzy pierwsze odcinki i konsepty pozostałych części serii.

Ale projekt nie od razu chwycił, bo odrzuciły go kolejno trzy stacje: TVP, Polsat, a wreszcie TVN. Uzasadniały odmowę tym, że nikt nie będzie chciał oglądać serialu o polskiej prowincji. W sensie geograficznym, nie tej w ludzkich głowach niezależnie od miejsca zamieszkania. W serialach dominowały wielkie miasta ze stolicą na czele. Nieliczne próby, z moją wcześniejszą „Stacyjką” oraz „Miaśteczkiem” do scenariusza Manueli Gretkowskiej, nie znalazły uznania widzów. Dopiero gdy szefem telewizji publicznej został Jan Dworak, przypomniano sobie o serialu z życia wiejskiej wspólnoty i postanowiono podjąć próbę realizacji.

Wtedy zostałeś włączony do ekipy „Rancza”?

– W tym czasie Brutter był bardzo związany z „Rodziną zastępczą” i nie mógł pociągnąć sam nowego serialu, więc zwrócono się do mnie o pomoc. Projekt był podobny do mojej „Stacyjki”, którą pograżyła reżyseria, ale doszedłem do wniosku, że jeśli scenariusz trafi w dobre ręce, to powstanie oryginalny serial i będzie miał



JERZY NIEMCZUK

– scenarzysta serialu „Ranczo”

Jerzy Niemczuk – (ur. w 1948 r. w Lublinie) pisarz, felietonista, autor słuchowisk, widowisk telewizyjnych, powieści dla dorosłych i dzieci. Debiutował w 1970 r. w czasopiśmie „Nowe Książki”, pracował w pismach „Nowy Wyraz” i „Kultura”, gdzie w stanie wojennym dostał wilczy bilet. Od tej pory jest wolnym strzelcem. Publikował też w „Literaturze”, „Poezji” i „Odrze”, a jego „Przygody Zuzanki” zdobyły Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego. Autor scenariuszy, m.in. do filmów „Prywatne niebo”, „Nigdy nie mów nigdy” oraz seriali telewizyjnych „Stacyjka”, „Ranczo” i „Siła wyższa”. Jego najnowsze powieści to „Bat na koty” i „Królowa nieszczęścia”.

dużą widownię. Tak się stało dzięki świetnemu reżyserowi Wojciechowi Adamczykowi.

Trzeba przyznać, że odważnie zabraliście się do dzieła, w satyrycznym zwierciadle ukazując miniaturę kraju. Przypomnijmy, że pierwsze odcinki emitowano w TVP w 2006 r., gdy Polską rządzili bracia bliźniacy, zupełnie jak wsią Wilkowyje, gdzie wójtem był Paweł Kozioł, a proboszczem jego bliźniak Piotr Kozioł.

– Pewnie niektórych rozczaruję, ale nie był to pomysł polityczny. Raczej wyzwanie, które rzucił nam Cezary

Żak, odtwórca obu postaci. Popierałem propozycję Czarka i bardzo się cieszę, że udało się ją wcielić w życie, bo to jego wybitna, podwójna rola. Każdej postaci dodał charakterystyczne, osobne rysy, do tego stopnia, że widzi się dwie osoby i nie odczuwa, że wójta i księdza gra ten sam aktor. A to świadczy o wysokim poziomie jego sztuki aktorskiej.

Ale spotykaliście się z reakcją widzów, że to aluzja do Kaczyńskich?

– Dopiero teraz kojarzę, że mogły być takie sugestie. Wtedy chyba tak tego nie odbieraliśmy. Tym bardziej że

w realu mieliśmy bliźniaków idących ręką w rękę, a w serialu wyraźnie zwaśnionych. Ale owszem, jakieś porównania do ówczesnej rzeczywistości mogły się pojawiać, chociaż nie były oczywiste. Co ciekawe, w Polsce taka dwuwładza we wsi, świecka i kościelna, nie wzbudzała kontrowersji, natomiast już w Ukrainie, gdzie format został sprzedany, jako antagonistą wójta wystąpił nauczyciel, bo ani grekokatolicki, ani prawosławny ksiądz im nie pasował.

Bo Kościół katolicki w Polsce ma zdecydowanie mocniejszą pozycję?

– Nie ma wątpliwości, że Kościół w Polsce był ostoją tożsamości narodowej, a choć wiele w ostatnich czasach się zmieniło, to – jak zauważył w niedawnym wywiadzie dla „Przeglądu” Stefan Chwin – mnóstwo Polaków nadal wierzy, że Najświętsza Pannienka otacza nas płaszczem swojej opieki. Dlatego dla wszystkich opcji politycznych było do przyjęcia, że w „Ranczu” ks. Kozioł jest w Wilkowiejach autorytetem, tak jak generalnie na polskiej prowincji pleban cieszy się jeszcze uznaniem znacznej części społeczeństwa. Niemniej jednak wiatr europejski mocno powiał i w naszym kraju, więc Kościół powoli będzie u nas przechodził w formę reliktową, choć ze względu na bogactwo materialne tej instytucji potrwa to dłużej, ale będzie dotkliwie. Mariaż z prawicową władzą w dziele niszczenia demokracji i ograniczanie praw kobiet oraz mniejszości, zawłaszczanie wspólnego dobra, afery pedofilskie i nieczyste interesy finansowe – wszystkie grzechy polskiego Kościoła zaowocują zasłużonym czyścem.

W serialu pojawiło się też inne odniesienie do rzeczywistości politycznej. Można powiedzieć, że ją antycypowaliście – myślę o urzędniku gminnym Fabianie Dudzie.

– Wymyśliłem to nazwisko, nie mając pojęcia, że po roku pojawi się w rzeczywistości politycznej, i to na czołowym miejscu. Nie zdawałem sobie nawet sprawy z istnienia realnego Dudy, który z woli prezesa Kaczyńskiego i wyborców PiS stanie się niebawem głową państwa, co do tej pory jest dla mnie nieprawdopodobne. Ale epizod z Fabianem Dudą, który wygrywa wybory samorządowe

w Wilkowiejach, był emitowany w czasie kampanii prezydenckiej i oskarżano nas, że przyczyniliśmy się do sukcesu wyborczego Andrzeja Dudy, a wręcz suflowaliśmy wyborcom jego kandydaturę, co było niedorzeczne.

Pewnie dlatego, że to była przede wszystkim komedia, a komedii nie traktuje się poważnie.

– Odnoszę wrażenie, że komedio-wość serialowej opowieści okazała się jej atutem. Złagodziła brutalność zdarzeń i oswoiła zło na tyle, żeby dało się to oglądać bez obrzydzenia. Dla mnie śmiech jest samoobroną przed nieznosnością bytu. Stwarza bezpieczny dystans wobec świata. Ale dla krytyki filmowej było to prawdopodobnie obciążeniem. Krytyka tradycyjnie uznaje, że to, co śmieszne, nie może być poważne. Bo komedia jest trudna do analizy. Rozprawa „Komizm” Jana Stanisława Bystro- nia jest najmniej zabawną rzeczą,

Dla mnie śmiech jest samoobroną przed nieznosnością bytu.

jaką czytałem. A nawet jeśli tacy polscy twórcy jak Gombrowicz, Mro- żek czy Głowacki odnoszą światowy sukces, to w analizach krytyków ten aspekt ich twórczości jest zwykle pomijany. Recenzji „Rancza” było mniej niż prac magisterskich i dysertacji doktorskich dotyczących tego serialu.

Bo pokazaliście tam kawałek prawdziwego życia?

– Udało nam się opisać polską prowincję z jej specyfiką i mentalnością w wymiarze społecznym, dzięki czemu serial w większym stopniu niż krytykę filmową zainteresował socjologów, psychologów, politolo- gów i polityków od lewa do prawa. Pamiętam moje spotkanie z Adamem Bodnarem, jeszcze pod rządami poprzedniej ekipy, gratulował nam cel- nej diagnozy społecznej. Owszem, krytyka czasami sobie przypomina, że Polska gminno-powiatowa istnieje, ale ledwie jako scenografia powieści sensacyjnych, a nie jako przedmiot opisu. Jeżeli taka próba się pojawia, to jej się nie zauważa.

Masz na myśli swoją ostatnią powieść „Królowa nieszczęścia”, którą pisałeś, gdy świadomie

zaprzystałeś współpracy z „telewi- zją reżimową” Jacka Kurskiego?

– Zaprzystałem, bo nie wyobra- żałem sobie współpracy z telewizją, która tylko z nazwy była publiczna, a w istocie stanowiła tubę propa- gandową Zjednoczonej Prawicy. Nie odkryję Ameryki, jeśli stwierdzę, że najważniejszym widzem TVP był prezes Kaczyński. Na szczęście sytuacja zmieniła się 15 października 2023 r., miałem więc nadzieję, że „Królowa nieszczęścia” stanie się podstawą scenariusza nowego serialu.

Nie były to oczekiwania na wyrost. Znam się na swojej robocie i wiem, że ta powieść w klimacie jest podob- na do „Rancza”, ma wyraźnie zaryso- wane postacie, wartką fabułę i dobre dialogi. Można z niej zrobić kome- dię, tak jak „Ranczo” osadzoną na prowincji. Poświadczył to w recenzji na łamach „Newsweeka” poeta i kry- tyk literacki Antoni Pawlak.

Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

– Prowincja głosami widzów do- pomina się, żeby ją zauważyć. Chce się odszukać w obrazie filmowym, przejrzeć w nim jak w lustrze, tak jak wielu Polaków szuka śladów swojej obecności w świecie. Sam mam do tego skłonność. Nie przypadkiem hi- tem przed laty stali się „Sami swoi” Sylwestra Chęcińskiego. I chyba nie przypadkiem Chęciński wyreżyse- rował dwie moje sztuki w Teatrze Telewizji. Po ostatniej zmianie wła- dzy niby wróciłem do TVP, projekt z „Królową nieszczęścia” trafił w ręce znakomitego reżysera, Janusza Zaor- skiego, temat pilotowała producent- ka „Rancza”, ale kierownictwo TVP nie podjęło decyzji. Na pociechę mój monodram z piosenkami Jana Woł- ka, napisany dla Mariana Opani, od kilku już lat idzie przy pełnej widowni w Ateneum, a bilety są wyprzedane na parę miesięcy do przodu.

Czytałem „Królową nieszczęścia”, też ją uważam za świetny materiał na serial. Widać, że masz wyjąt- kowy zmysł obserwacyjny, co zresztą udowodniłeś w „Ranczu”,

► **wymyślając np. słynną ławeczkę z dyskutującymi na niej „chłopskimi filozofami”.**

– To prawda, ławeczka wzięła się z życia. Kiedyś w moich okolicach zaobserwowałem siedzących pod sklepem dwóch facetów w wieku produkcyjnym, ale najwyraźniej bez zajęcia, bo mieli w rękach puszki z piwem. Rozprawiali nie o polityce, ale o kosmosie. Temat był nie z tej ziemi, więc podstuchiwałem. Pewna fraza została mi w pamięci. Młodszy nie potrafił sobie wyobrazić nieskończoności. Zastanawiał się na głos: „No popatrz, wszystko się kończy, nawet życie się kończy, a tutaj jakaś nieskończoność? No jak?”. Na co ten starszy zapytał przytomnie: „A robota może być nieskończona?”. I tamten zrozumiał.

Umiejętność obserwacji otoczenia pozwala ci chyba dosyć dokładnie zgłębić życie społeczne i polityczne nie tylko na prowincji. Takich osobników jak wójt Paweł Kozioł, późniejszy senator, czy jego prawa ręka Arkadiusz Czerepach jest u nas pełno. Dla kasy i kariery posuną się do granic przyzwoitości. Ludzie o tym wiedzą, a ciągle ich wybierają!

– Brutalna prawda jest taka, że wchodząc do polityki, trzeba z tych pięknych zasad etycznych trochę zrezygnować. Takie jest życie i nie ma co się oszukiwać. Ludzie mają

Adam Bodnar jeszcze pod rządami poprzedniej ekipy gratulował nam celnej diagnozy społecznej.

tego świadomość i mimo wszystko przysmakują oczy na różne postęпки mniejszych i większych polityków, niekoniecznie zgodne z moralnością. Wierny elektorat wybaczy, a poziom wybaczenia swoim jest bardzo wysoki. Co do ranczowych prekognicji, czyli „jasnowidzenia”, to trafność naszego przewidywania wynika z reguły prawdopodobieństwa. Jeśli opisany przez nas świat ma swoją logikę, która nie odbiega od tej dotyczącej świata rzeczywistego, można przewidzieć zachowania bohaterów, nawet wliczając w to mnogie suspensy. Ich skłonności, lęki i nadzieje, szukanie dla siebie odpowiedniej drogi.



Bogdan Kalus, Sylwester Maciejewski, Piotr Pręgowski i Franciszek Pieczka, czyli chłopska filozofia na słynnej ławeczce.

Trzeba też pamiętać, że żyjemy w czasach postprawdy.

– Kłamstwo się wypromowało z dużym udziałem internetowych przekazów i stało równoprawną wersją skutecznie konkurującą z prawdą. W tym sensie świat stał się nieracjonalny, a więc i nieprzewidywalny. Przeciętny człowiek, któremu nie chce się weryfikować tego, co mu zaserwowano w mediach społecznościowych, reaguje irracjonalnym symetryzmem: „Jedni mówią tak, drudzy inaczej. Nie wiadomo, jak jest naprawdę”. Z lenistwa umysłowego nie próbuje dojść prawdy na własną rękę, wyciągnąć wniosku, że

– Social media dokładają swoje algorytmy, a te podsuwają treści, które mają cię utwierdzić w twoich, a chyba bardziej w narzuconych przekonaniach, więc dostarczają kłamstwom nowych argumentów. Pospolici oszuści stosują metodę „na wnuczka”, manipulanci internetowi zaś sposób „na noblistę”. Zawsze się znajdzie jakiś „walnięty” uczony, owładnięty żądzą sławy, który, aby się wyróżnić, gotów jest głosić tezy zaprzeczające nauce. Na przykład, że człowiek nie ma wpływu na zmiany klimatu lub że szczepienia szkodzą, a dwutlenek węgla jest potrzebny do życia drzewom, więc zanieczyszczeniem atmosfery nie ma co się przejmować. Na to ostatnie stwierdzenie można odpowiedzieć cytatem z Kabaretu Starszych Panów: „W pewnym sensie”. Tak powiedział Wiesław Gołas w roli ciemnego typu, zapytany, czy kolejne partnerki od niego odchodziły. Na własne uszy słyszałem fake przetworzony przez ludową inwencję, że Unia będzie chłopom „cipy” wszczepiać.

Może to były takie ludowe dowcipy, ale całkiem na poważnie naukowcy krajowi, a nawet zagraniczni potwierdzali teorię spiskową Kaczyńskiego i Macierewicza o zamachu smoleńskim. Mimo oczywistych faktów stwierdzonych przez oficjalną komisję badającą katastrofę.

– Wracamy do tego, o czym mówiłem. Teorie spiskowe znajdują szybsze dojście do umysłów niż dużo bardziej skomplikowana prawda. Łatwiej rzucić oskarżenie o spisku Putina,

tylko jedni mówią prawdę, a to znaczy, że drudzy kłamią. Prawda ma gorzej, nie dość, że dociera powoli, to jeszcze sama się nie obroni, więc trzeba dać jej szansę i nieco się wysilić. Kłamstwo jest zwykle pierwsze, szybciej zapada w pamięć jako na ogół proste, czasami wręcz prymitywne, za to głośnie. Fake działa jak wirus, atakuje i potem długo trzeba go wyciągać ze słabszych umysłów, co nieraz okazuje się bezskuteczne. Prawda jest jedna, a kłamstwo ma więcej kostiumów, często udaje wiedzę skrywaną.

Tak się dzieje w przypadku teorii spiskowych.

który chciał się pozbyć niewygodnego prezydenta wrednej Polski, a trudniej przekazać szczegóły techniczne, które doprowadziły do katastrofy. Opowiadał mi dawno temu instruktor nauki jazdy samochodem, że kiedy zsumują się drobne okoliczności, może dojść do wypadku drogowego, wystarczy brak koncentracji, żeby się zderzyć, jadąc z nadmierną szybkością. W Smoleńsku również doszło do nieszczęścia, które było skutkiem wielu czynników. Nie zapomnę dramatu tych nawoływań rosyjskich kontrolerów lotu o odejściu na drugi krąg. Dla mnie fraza z wieży kontroli: „Sztó etot ch... tuda diełajet?” brzmi mocniej od oskarżeń, że zachęcano pilota do lądowania w kartofli-sku między brzożami. A tak pozostała wygodna legenda o zamachu, wykorzystywana politycznie jak wszystkie polskie tragedie, w tym przegrane powstania narodowe, z warszawskim włącznie. Za to wygrane powstanie wielkopolskie jakoś słabo się wbiło w zbiorową pamięć rodaków.

Mazurska wieś Piece koło Szczyt-na, gdzie mieszkasz już 45 lat po przeprowadzce z Warszawy, chyba bardziej żyje codziennymi sprawa-

mi niż rocznicami powstań. Cho-ciaż więcej tu już przesiedleńców z dużych miast niż rolników.

– Dawnych mieszkańców została garstka, nie mówiąc o rodowitych Mazurach. Zresztą pisuję o tym w felietonach do „Tygodnika Szczytno”, których uzbierało się już ponad 300. Poza tym od 1978 r. prowadzę dziennik, w którym zapisuję wszystkie te zmiany. Istotnie, Piece stały się wsią letniskową, choć ja tu jestem już na dobre zakorzeniony, tu urodziła się moja córka, więc mogę się uważać za miejscowego.

Natomiast prawdą jest, że prowincja się starzeje i wyludnia, młode pokolenie szuka szans na emigracji, dawni gospodarze sprzedają pola letnikom, którzy osiadają tu na emeryturze. Ale obserwuję, że ci zaczynają żądać coraz więcej przestrzeni, przeszkadza im szczekanie psów, smród obornika i pracujący w ziemi traktor. W polu konfliktów pojawiają się nowe miedze. Tradycyjna wieś boi się tych zmian, szuka ratunku w utrzymaniu przeszłości i głosuje na prawicowych populistów wspieranych przez kler, który obiecuje gruszek na wierzbie, podczas gdy dzieci rodzin chłopskich

żyjące na Zachodzie głosują za demokracją, za Unią, otwartymi granicami i prawnym potwierdzeniem zmian obyczajowych, a także przeciw dominacji Kościoła, mało rozumianej w innych krajach europejskich.

Domyślam się, że ta postawa młodego pokolenia cieszy twoją rodzinę, bo z żoną Ewą bywałeś na protestach przeciw zwyrodnieniom pisowskiej władzy, jeździłeś także na wielkie marsze do Warszawy. Nie boisz się, że Koalicja 15 Października zejdzie na manowce i okaże się kolejnym rozczarowaniem?

– Boję się znudzenia demokracją, która jest mało efektowna, ręce ma związane procedurami i prawem, co może budzić tęsknotę za mocnym władcą. Boję się tęsknoty elektoratu za nowością, która okaże się następnym autorytaryzmem w przebraniu, boję się powrotu starego pod hasłem „nowe wraca”, bo jeśli wróci, to ze zdwojoną siłą. A te moje obawy nie są tylko lokalne, dotyczą całego świata. Klimat zmienia się pod każdym względem i mam wrażenie, że kataklizm wisi w powietrzu. Bardzo chciałbym się mylić.

Marek Książek

NIE CZEKAJ!

Kup roczną **e-prenumeratę** **PRZEGLĄDU** na 2025 r.

W starej cenie tylko do **27 grudnia!**

Jedynie **160 zł** za cały rok czytania

- Nowy numer już w każdą sobotę
- E-book „Cierń szansy. Nie przepraszamy za PRL” **GRATIS**
- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji **KUP NA PREZENT**



sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Tusk i jego koalicja

Od konfliktu do konfliktu, od zgody do zgody



Robert Walenciak

W licznych materiałach podsumowujących rok rządu Donalda Tuska jedna rzecz była uderzająca. Zarzuty, że koalicja jest niespójna, a koalicjanci się kłócą. Cóż, jest za co krytykować rządzącą koalicję, lecz akurat z tego, że jej politycy się kłócą, zarzutu bym nie robił.

Taka jest uroda każdej koalicji – składa się z wielu podmiotów reprezentujących różne grupy. W tym przypadku z jednej strony mamy Katarzynę Kotulę, z drugiej Marka Sawickiego i Szymona Hołownię. Jest tu liberał Ryszard Petru i socjalna Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. A obok Stanisława Wziątka, byłego działacza ZSMP i PZPR, widzimy Henrykę Krzywonos-Strycharską czy Jarosława Wałęsę. Takich „par” można wyliczyć więcej. W normalnych warunkach raczej nie byłiby w jednej koalicji. Ale nie mamy normalnych warunków, więc koalicja jest szersza i musi w sobie różne sprzeczności godzić.

W takiej sytuacji tarcia są oczywiste, dziwne zatem, że ktoś się temu dziwi. Choć to zdziwienie łatwo

12 grudnia 2023 r. odbyła się uroczystość wręczenia uchwał Sejmu o powołaniu Donalda Tuska na premiera i o wyborze Rady Ministrów. Rządy koalicyjne postrzegane były u nas jako nieefektywne i skazane na klęskę. Czy wreszcie będzie inaczej?

wytłumaczyć. Przez osiem lat mieliśmy jednowładczyste rządy PiS. Teoretycznie były to rządy koalicyjne, ale gdy Jarosław Gowin zaczął się stawiać, Kaczyński odebrał mu partię i wypchnął go z rządu, z kolei zio-bryści, owszem, głośno krzyczeli, ale skończyło się tym, że zostali wchłonięci przez partię matkę.

Co charakterystyczne, tamte awantury – których nie brakowało – o piątkę dla zwierząt, o stanowisko prezesa TVP, o stanowisko prezesa Orlenu, o reformę sądów itd., rozgrywały się w rytm powtarzanego argumentu: komu bardziej zależy na sukcesie Jarosława Kaczyńskiego i kto na ten sukces lepiej pracuje. Wśród polityków PiS i między pi-sowskimi mediami trwała rywalizacja o konkretne konfitury, licytowano się, kto bardziej kocha prezesa.

Osiem lat takiej atmosfery musiało wpłynąć na społeczeństwo i postrzeganie świata, dziś wielu może szokować, że jest jakiś spór w obrębie jednego rządu. A na dodatek nie zostaje zdławiony. Oczywiście te

spory są różne. Dotyczą spraw poważnych, ale często też drugorzędnych lub zupełnie błahych.

Koalicja już przez to przechodziła. Te poważne dotyczyły ustawy o depenalizacji przerywania ciąży i ogólnie praw kobiet. Tu po przeciwnych stronach znalazły się Lewica z Platformą i PSL. I to PSL postawiło na swoim. Ostry spór dotyczył również programu Kredyt 0%, który miał wspomagać kupujących mieszkania. Sprzeciw Lewicy oraz Polski 2050 i argument, że to bardziej wspieranie deweloperów niż kupujących, program zatrzymał. W ten sposób przekonał się, że mały koalicjant też może i nie jest bezsilny. A przy okazji, że wielka jest rola premiera – musi nie tylko temperować koalicjantów, ale także łagodzić emocje i działać tak, by każdy zachował twarz.

Przekonał się zarazem, że spór to nie koniec świata. Po głosowaniach wprawdzie niektórzy politycy partii koalicyjnych boczą się na siebie, ale inni współdziałają. Jest bowiem więcej spraw,

które jednoczą, niż tych, które dzielą. I przede wszystkim jest PiS, które chciałoby władzę odzyskać i odegrać się, czyli jest wspólny wróg. Można więc rzec, że każdy kolejny konflikt dzieli koalicjantów, z drugiej zaś strony uświadamia, że są na siebie skazani.

Co z tego wynika? W polskiej tradycji rządy koalicyjne postrzegane były jako nieefektywne i skazane na klęskę. Do historii przeszło powiedzenie Waldemara Pawlaka: jest wróg, śmiertelny wróg i koalicjant, powstałe, gdy PSL toczyło wewnętrzną wojnę z SLD i w ramach koalicji złożyło wniosek o wotum nieufności wobec premiera. W następnych latach nie było łatwiej. Koalicja AWS-UW nie dotrwała do końca, rozpadła się, podobnie koalicja SLD-PSL. Dla tych partii rozwoje zakończyły się tragicznie. Doświadczenie podpowiada zatem, że awantury nie popłacają. Owszem, trzeba akcentować swoje stanowisko, grać nieraz twardo, bo tego oczekują wyborcy i za odpuszczenie ważnych spraw ukarzą, ale nie można przekraczać czerwonych linii, bo to niebezpieczny skok.

Obserwujemy więc inne zachowania. Gdy w lipcu Sejm głosami PiS, Konfederacji i PSL odrzucił ustawę depenalizującą aborcję, Katarzyna Kotula, ministra ds. równości, szalała i zapowiadała zemstę na PSL. „Stary Testament. Oko za oko, ząb za ząb. Jedyna moja cecha, za którą nie przepadam... Ale o tym więcej już wkrótce”, pisała na Facebooku. Mamy grudzień i widzimy Kotulę pukającą do gabinetów polityków PSL i umawiającą się na rozmowy o projekcie dotyczącym związków partnerskich. Rozmowy podobno idą całkiem dobrze, sama Kotula mówi, że widzi migające zielone światło.

Ale na tym nie koniec, bo dowiadujemy się, że trwają też rozmowy w sprawie zliberalizowania obecnej ustawy antyaborcyjnej. PSL, mówił o tym poseł Tadeusz Samborski, jest gotowe się cofnąć. Z kolei Kotula jest skłonna poprzeć proponowany przez PSL i Hołownię „kompromis aborcyjny”, czyli powrót do ustawy z 1993 r., sprzed wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. „To dobra

furtka do dalszych zmian – wyjaśnia. – Nie podzielam obaw organizacji kobiecych, że to zabetonuje liberalizację na lata”. I logicznie tłumaczy, dlaczego Lewica na tym etapie byłaby skłonna poprzeć ów „kompromis”: „Cały czas dzwonią do mnie kobiety poszukujące szpitala, w którym mogłyby usunąć zagrożoną ciążę, z mnogimi wadami płodu. Po kolejnym telefonie stwierdziłam, że nie powinny płacić ceny za nasz upór w sprawie liberalizacji – mówiła «Gazecie Wyborczej». – Teraz wychodzą poza system, wypisują się ze szpitali, żeby nikt nie wiedział, co z tą ciążą zrobiły. Nie możemy dłużej pozwalać na politykę strachu, musimy zapewnić im bezpieczeństwo”.

Nie mamy normalnych warunków, więc koalicja jest szersza i musi różne sprzeczności w sobie godzić.

Inny koalicyjny problem to sprawa Dariusza Wieczorka, ministra nauki. Po wysypie krytycznych materiałów na jego temat Donald Tusk zdecydował, że Wieczorek powinien odejść. Dymisja zawiązała w powietrzu. Ale zaczęli go bronić liderzy Lewicy. Wiadomo powszechnie, że Wieczorek to polityk bliski Włodzimierzowi Czarzastemu, więc gdyby odszedł, Czarzasty straciłby we własnej formacji sporo punktów. Bo co to za lider, który nie potrafi obronić swojego człowieka? Politycy Lewicy zaczęli zatem bronić Wieczorka, opowiadając – zręczności w tym nie było – że nie jest gorszy od kierującej Ministerstwem Zdrowia Izabeli Leszczyny ani od ministry klimatu i środowiska Pauliny Hennig-Kłoski. A jego błędy to nic w porównaniu z tymi, które popełnił wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha. I dlaczego ludzie Lewicy mają być rozliczani, a innym wszystko uchodzi płazem?

Ta obrona się nie powiodła. Wieczorek, pisaliśmy o tym w „Przeglądzie”, był oceniany jako najslabszy minister w rządzie. Środowiska naukowe generalnie niechętnie PiS były nim bardzo rozczarowane. Na to nałożyły się jego wpadki, choć by ta związana z oświadczeniem

majątkowym, w którym zataił działkę i garaż.

Wpadki pomińmy. Ważniejsze jest pytanie, czy warto bronić ministra, który na to stanowisko się nie nadaje i jest obciążeniem dla rządu oraz swojej partii. Szybko się okazało, że nie warto. Gdy piszę te słowa, Wieczorek podał się do dymisji. Sam zrezygnował, uznano najwyraźniej, że to bardziej honorowe niż walka do końca.

W cieniu walki o aborcję i Wieczorka ma miejsce inna rozgrywka wewnątrzkoalicyjna – o media. I PSL, i Hołownia, i Lewica zorientowały się, że w mediach publicznych rządzą powołani przez Platformę likwidatorzy, a oni nie mają na nich wpływu.

Wobec tego domagają się zmian. I taką możliwość otwiera zmiana w Radzie Mediów Narodowych, gdzie Krzysztofa Czabańskiego zastąpił poseł PO Wojciech Król. Czyli koalicja ma w niej większość, trzy do dwóch. W związku z tym PSL i Hołownia zaczęli naciskać, by minister kultury cofnął stan likwidacji mediów publicznych i by Rada Mediów Narodowych wybrała nowe rady nadzorcze i nowe zarządy. Oczywiście z udziałem osób wskazanych przez te partie. Czy Platforma na to pójdzie? Czy się posunie i odda koalicjantom część władzy nad mediami publicznymi? A jeżeli tak, to ile i za co?

Oto kolejna rozgrywka wewnątrzkoalicyjnej. Na razie skrywana, ale rozgrywająca polityków do czerwoności. Szalenie dla nich przecież ważna, bo za chwilę rusza kampania prezydencka.

Niezależnie od tego, jak się skończy gra o wpływ w mediach publicznych, jednego możemy być pewni: koalicjanci nie pokłócą się na śmierć i życie, nie rozejdą się. Tak jak nie rozejdą się z powodu innych sporów, które przynosi każdy tydzień. Bo przynajmniej do wyborów prezydenckich, a pewnie i dłużej, absolutnie im się to nie opłaca.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Przekleństwo Instytutu Pamięci Narodowej

Szybko się przyzwyczajamy do istniejących rozwiązań.
Likwidacja wymaga odwagi. Trzeba się nią wykazać

Lech M. Nijakowski

Paweł Dybicz napisał w „Przeglądzie” (nr 48/2024), że Instytut Pamięci Narodowej trzeba zlikwidować. Nie jest to nowy postulat, mówi się o nim od dawna. W pełni się z nim zgadzam. Mimo to nikt tego planu nie zrealizował, szybko obsadzał tę instytucję swoją ekipą i zapominał o wątpliwościach. A tak nie powinno być.

Postulat likwidacji jest tymczasem głęboko umotywowany. Przede wszystkim widać, że zadania IPN lepiej realizowałyby inne instytucje. Można wskazać placówki naukowe czy prokuraturę. Te instytucje od dawna mają wbudowane ciała kontrolne, które dbają o to, aby nie chybiać celów. Tymczasem instytucja polityczna podlega ludziom, a nie procedurom, i w zbyt dużym stopniu ulega nastrojom jednostki. Likwidacja IPN zatem nie tylko byłaby realizacją postulatu partyjnego, ale również zwiększyłaby skuteczność.

Skuteczność jest ważną, biorąc pod uwagę ogromne nakłady. Inne instytucje muszą umiejętnie gospodarować środkami, IPN jest obsypywany pieniędzmi. To demobilizuje i skłania do złej działalności. Tak nie powinno być. Widać, że inne instytucje – niedofinansowane – radzą sobie o wiele lepiej.

IPN prowadzi grę polityczną, co aktywności naukowej i prokuratorskiej nie sprzyja. To główny zarzut wobec tej instytucji. Widać to zwłaszcza teraz, gdy wywodzi się z niej kandydat na prezydenta. Tak ważny aktor polityczny rzutuje na wszystkie pola i jeśli ktoś był w stanie służyć politykom, już nie może myśleć o IPN jako o instytucji niezależnej.

KRAJ

Zlikwidować IPN

Instytut Pamięci Narodowej powinien przestać istnieć nie tylko dlatego, że przetrwał się w państwie w państwie, ale przede wszystkim dlatego, że dla prawicy stał się najbardziej użytecznym narzędziem, maczugą oderzającą za pomocą fałszywej historii, jednostronnie postępowania i interpretowania, wręcz historycznej. Za rządów Prawa i Sprawiedliwości IPN poczuł się wszechwładny. Polityczne oceny wzmocniła poczucie bezkarności. Pora więc na zmiany. Tępy oczekujemy od obecnej koalicji.

Jakże powinni być zmiany, jak głęboko mają sięgać? Czy IPN powinno się zlikwidować, co wielokrotnie postulowała lewica, łącznie z obecną reprezentacją parlamentarną? Czy też należy tak zniewolować ustawę o instytucji, by jej nigdy nie mógł się stać żadną partyjną jaczynką? Należy tylko pamiętać, by był prawdziwą placówką naukową, w której nie powstają polityczno-propagandowe produkcje. Placówkę poddając wszelkim rygorom nauki. Kolejne pole do dyskusji to pytania: Co zrobić ze zgromadzonymi (w większości odebranymi innym placówkom) archiwizacjami? Czy plan prokuratorski nie powinien zostać włączony do Prokuratury Krajowej? Wiadomo, że za prezydentury Andrzeja Dudy żadnych zmian nie będzie. Obecny prezydent jest strażnikiem nie praw i konstytucji, ale interesów PiS oraz IPN. Jednak jego władza potrafi jeszcze tylko kilka miesięcy. Dlatego rządząca koalicja.

Widać jej uwikłanie polityczne, które spycha na margines centralną aktywność instytutu.

Polska polityka pamięci

IPN jest często wymieniany przy okazji rozmów o polskiej polityce historycznej (polityce pamięci). Bez wątplenia jest to w tym wymiarze kluczowa instytucja. Ale tę potrzebną aktywność lepiej prowadzić innymi środkami. Obecne rozwiązanie szkodzi nauce, która nominalnie dla wszystkich jest centralna.

Politykę pamięci prowadzą wszystkie państwa narodowe, ale jest różnica między muzeum a instytucją taką jak IPN. Muzea nauczyły się unikać nacisków politycznych, IPN z kolei jest zbyt ważną instytucją, aby wypuścić ją z rąk. Dlatego, zdając sobie sprawę z konieczności prowadzenia polityki pamięci, lepiej nie robić tego tak topornie i wykorzystywać specjalistów, którzy pracują w instytucjach naukowych.

Likwidacja IPN uzdrowi całe pole. Nie będzie bowiem instytucji, która realizuje zadania naukowe czy prokuratorskie, ale jest z innego porządku. Rzecz nie tylko w konkurencji, choć oczywiście jest ona ważna.

Gdy przeniesiemy te funkcje do bazowych dziedzin, wszystko będzie działało lepiej. Ważna jest zatem skuteczność, a nie ideologia.

Państwo polskie ma liczne instrumenty kształtowania polityki pamięci. Nie potrzeba kontroli konkretnej instytucji. Zadania IPN lepiej zrealizują placówki, których działanie znamy. Mówimy więc nie o eksperymencie, ale o konkretnym działaniu.

Pragmatyka instytucji

Każda instytucja kieruje się pewną logiką działania. Czasami wola jednostki nie ma znaczenia i podlega ona wpływowi administracji. Ta „ścieżka zależności” jest bardzo istotna. Likwidując IPN, lepiej będziemy zarządzali niemałymi środkami, które teraz na niego przeznaczamy. Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo uzależniania nakładów od szansy umieszczenia polityków w tej instytucji. Zakładam jednak, że nie trzeba aż tak opłacać się polityce, która przygotowuje sobie obszar ekspansji. Może jestem naiwny, ale sądzę, że dobro państwa jest ważniejsze niż powodzenie partii.

IPN inaczej wydaje środki niż instytucje naukowe czy prokuratura. Lepiej zatem bezpośrednio płacić ekspertom. A czy IPN robi coś lepiej niż tamte podmioty? Moim zdaniem nie. Nie korzystamy z odrębnej instytucji, ale po prostu finansujemy politykę.

Porównując naukowców ze szkół wyższych i uniwersytetów z tymi z IPN, widzimy przewagę tych pierwszych. Wynika ona z przebywania w innym środowisku. Naukowiec kieruje się innymi racjami niż de facto urzędnik, który pracuje w rządowej

instytucji. Czas, aby naukowcy byli oceniani zgodnie z rynkiem naukowym, nie zaś politycznym. Ważny jest postęp naukowy, a nie lojalność i usłużność.

Szybko przyzwyczajamy się do istniejących rozwiązań. Likwidacja wymaga odwagi. Trzeba się nią wykazać. Racje są po stronie likwidatorów, wtedy będziemy sprawniejsi. IPN wrósł już w nasz krajobraz, ale to nie jest argument. Likwidacja będzie nam się opłacała.

Ocena ludzi

Wyraźnie widzimy, że zbyt często bierze się pod uwagę formację, a nie działania człowieka. Przykładem może być przypadek Romualda Rajsa „Burego”. 29 stycznia 2016 r. obchodziliśmy 70. rocznicę pacyfikacji przez oddział tego zbrodniarza pięciu białoruskich wsi. W okresie od 29 stycznia do 2 lutego 1946 r. urządzono masakrę i spalono Zanie, Zaleszany, Końcowiznę, Szpaki i Wólkę Wygonowską. „Bury” jest również odpowiedzialny za zamordowanie 30 furmanów koło wsi Puchały Stare. W procesach w PRL skazano go na karę śmierci. Wyrok został unieważniony w 1995 r.

IPN uznał działanie „Burego” za ludobójstwo. „Nie kwestionując idei

furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946”, Instytut Pamięci Narodowej).

W ocenę Romualda Rajsa zaangażowało się państwo. Rolę naukowców przejęli urzędnicy. Zbyt często hołubi się zbrodniarzy pokroju „Burego”. Ocenę należy pozostawić specjalistom, a nie cedować ją na ludzi uwikłanych politycznie. Wspieranie podobnych „bohaterów” przez IPN jest przykładem złego funkcjonowania tej instytucji. Mówię tu nie

państwo kształtują naszą pamięć, nie ma ona autonomii, przecież bardzo ważnej. O autonomię dbają instytucje naukowe. Pozwólmy zatem pracować specjalistom i odpowiednio ich wynagradzamy.

O kształcie pamięci zbiorowej pisało wielu specjalistów. Nie będę tu przytaczał ich myśli, choć polecam liczne książki. Wspomnę tylko o teorii pamięci komunikacyjnej i kulturowej Jana i Aleidy Assmannów. Pamięć komunikacyjna zakłada doświadczanie historii w ramach

Postulat likwidacji IPN jest głęboko umotywowany. Jego zadania lepiej realizowałyby inne instytucje. Znamy je dobrze, funkcjonują w naszym społeczeństwie.

o zakazywaniu upamiętniania, ale o publicznych nakładach na ceremonie. Przecież nie każdy zna się na wszystkim, trzeba sobie z tego zdawać sprawę.

Ocena historyczna jest bardzo trudna. Nie chodzi o powielanie ideologii. Nauka historii jednak sobie z tym radzi, aczkolwiek wymaga to sporej wiedzy. Teraz zbyt często wystarczy polityczna uległość. Trzeba zmienić tę sytuację. Ważna jest logika naukowa, a nie dyspozycyjność polityczna.

biografii indywidualnej, pamięć kulturowa opisuje mityczną prehistorię (wydarzenia z przeszłości absolutnej). Ta pierwsza to żywe wspomnienia w pamięci indywidualnej, druga to trwałe obiektywizacje. Pierwsza obejmuje 80-100 lat (horyzont trzech-czterech pokoleń przesuwających się wraz z teraźniejszością), druga to absolutna przeszłość mitycznego czasu (np. „nasz przodek” Mieszko). W pierwszym przypadku nosicielami są niewyspecjalizowani świadkowie wspólnoty pamięci, w drugim wyspecjalizowani nosiciele tradycji. Problem polega na tym, że IPN chce kształtować naszą pamięć zgodnie z oczekiwaniami politycznymi. A chodzi o to, by zostawić to ludziom. Nie mamy wystarczającej wiedzy, aby zastąpić ekspertów, ale możemy ich wybrać.

Oczywiście nie mówimy tu o sytuacji idealnej. Ona w praktyce nie istnieje. Możemy jednak wybrać lepszą ewentualność. Mamy podstawy do oceny i widzimy wady oraz zalety poszczególnych instytucji. Jesteśmy wyborcami i mamy prawo wybrać.

Właściwie dyskusja dotyczy kwestii, kto ma kształtować naszą pamięć. Sami nie możemy opierać się na doświadczeniu, czasami brakuje nam wiedzy. Wiemy jednak, jakie rozwiązanie jest lepsze, i odrzucamy państwową instytucję pamięci, choć jest ich wiele i przenikają one do naszego życia od najmłodszych lat. ▶

IPN jest obsypywany pieniędzmi. To demobilizuje i skłania do złej działalności.

walki o niepodległość Polski prowadzonej przez organizacje sprzeciwiające się narzuconej władzy, do których należy zaliczyć Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, należy stanowczo stwierdzić, iż zabójstwa furmanów i pacyfikacji wsi w styczniu i lutym 1946 r. nie można utożsamiać z walką o niepodległy byt państwa, gdyż nosi znamiona ludobójstwa. W żadnym też wypadku nie można tego, co się zdarzyło, usprawiedliwiać walką o niepodległy byt Państwa Polskiego” („Informacja o ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w sprawie pozbawienia życia 79 osób – mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski, w tym 30 osób tzw.

Mówimy tu o bardziej zasadniczym działaniu. IPN ustanawia listę osób, które mamy dobrze wspominać. Tak działa pamięć zbiorowa. Mam zastrzeżenia do tej listy. Niech to robią naukowcy, kierując się wymogami dyscypliny. Każdy naród ma taką listę, szkoda, że układają ją urzędnicy.

Kształtowanie pamięci

Różne instytucje zgodnie kształtują pamięć społeczną. Nie jest tak, że ludzie po prostu coś pamiętają. To np. w szkole dowiadują się, co jest ważne, i zdają z tego egzamin. Jeśli instytucje prowadzone przez

► Zapamiętajmy: musimy uwierzyć instytucjom. W nowoczesnych społeczeństwach to one kształtują pamięć. Ale inaczej działa szkoła publiczna, a inaczej IPN. Trzeba pamiętać o tej różnicy i tak określić nasze priorytety.

Naród

Traktujemy naród jako odwieczną całość, a przecież to kształtowany ciągle twór. Dziś w nauce dominują podejścia subiektywistyczne, a nie obiektywistyczne. Naród to „wyobrażona wspólnota polityczna, wyobrażona jako nieuchronnie ograniczona i suwerenna. Jest wyobrażona, ponieważ członkowie nawet najmniej licznych narodu nigdy nie znają większości swoich rodaków, nie spotykają ich, nic nawet o nich nie wiedzą, a mimo to pielęgnują w umyśle obraz wspólnoty. (...) Narody wyobrażane są jako wspólnoty ograniczone, ponieważ nawet największe (...) zajmują skończony, choćby i rozciągły obszar, poza którym żyją inne narody. (...) Rękojmą i symbolem tej wolności jest suwerenne państwo. (...) Naród wyobrażany jest jako wspólnota, ponieważ, mimo panujących w nim faktycznej nierówności i wyzysku, traktowany jest zawsze jako głęboki, poziomy układ solidarności” (Benedict Anderson).

Kształtowanie narodu wymaga określonej przeszłości. Zajmują się tym instytucje państwowe, ale także szkoła. Lepiej, gdy dzieje się to na „rynku”, który określa kształt przeszłości. Wtedy jest szansa, że w kraju takim jak Polska zapanuje większa wolność. Istnieje wiele teorii narodu, nie będę ich tu omawiał, trzeba jednak pamiętać, że mamy z czego wybierać.

Podkreślimy jeszcze raz za badaczami dyskursu, że naród jest wspólnotą wyobrażoną. Narodowe tożsamości są produkowane i reprodukowane w dyskursie publicznym, gdzie podkreśla się

Co ciekawe, jak napisała Maria Janion, „zbiór romantycznych stereotypów uznawany jest za fundament polskości. I chociaż czasem używa się ich trochę bez sensu, to widocznie z nadzieją, że odbiorcy usłyszą znajomą sobie melodię i pójdą za nią, że ten ton uwodzi i zyskuje poklask”. Nie chodzi zatem o wiedzę ekspercką, ale o rozpowszechnione mniemanie. Z takich przekonań utkane są naród i wszystkie instytucje społeczne.

Naród jest naszym zbiorowym tworem, nie spada nam z nieba. Trzeba o tym pamiętać i nie pozostawiać tej aktywności ludziom, którzy mają

Porównując naukowców ze szkół wyższych i uniwersytetów z tymi z IPN, widzimy przewagę tych pierwszych.

narodową jednorodność i homogeniczność, a pomija wewnątrznarodowe różnice. Różne tożsamości narodowe są dyskursywnie konstruowane w zależności od audytoryum, tematu, okazji itd. Skuteczna reprodukcja narodu wymaga utrzymywania przekonania ludzi, że są członkami bytu obiektywnie i odwiecznie istniejącego. Kształtowanie takiego narodu dobrze wiadać w szkole.

ukryty interes polityczny. Tworzenie narodu stanowi naszą codzienność i bardzo ważne jest rozpowszechnianie przy okazji idei liberalnych, a nie autorytarnych. To możliwe i trzeba do tego dążyć.

Dyskutując o likwidacji IPN, mówimy także o tym, kto ma kształtować nasz naród. Oczytani specjaliści czy dobrani przez polityków urzędnicy? Pierwszy wariant wydaje się ciekawszy. Choć niektórzy mówią: „Ja!”. Szybki test: kto napisał „Króla-Ducha”? A tego uczy się w szkole. Dodam, że ten poemat historyzoficzny napisał Juliusz Słowacki. Trzeba zatem mieć specjalistyczną wiedzę, aby kształtować naród, choć robią to na co dzień zwykli ludzie.

Podsumowując, sądzę, że Instytut Pamięci Narodowej warto zlikwidować, a jego zadania przenieść do wyspecjalizowanych instytucji. Znamy je dobrze, funkcjonują w naszym społeczeństwie. Dzięki temu kluczowe procesy, które służą np. odtwarzaniu narodu polskiego, będą przebiegały spokojniej, bez politycznej gorączki. Bo właśnie zanik tego schorzenia jest naszym celem.

Dr hab. Lech M. Nijakowski jest socjologiem i filozofem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Jako naukowiec, publicysta i działacz lewicowy zajmuje się m.in. mniejszościami narodowymi, mową nienawiści, filozofią wojny i ludobójstwem



Nasze ARCHIWUM na prezent

Zamów subskrypcję na 12 miesięcy
Zapłać 30% mniej do 27 grudnia!

**Znajdziesz w nim wszystko
od początku istnienia PRZEGLĄDU**

tygodnikprzeгляд.pl zakładka ARCHIWUM

Polska nie dla Polaków

Rząd PiS robił wszystko, żeby nie sprowadzić do kraju repatriantów ze Wschodu

Andrzej Sikorski

Bez echa przeszedł raport Najwyższej Izby Kontroli „Realizacja przez organy państwa zadań związanych z repatriacją” – mimo że ustalenia kontrolerów NIK są wstrząsające. Pokazują bezwład, indolencję i arogancję pisowskich rządów.

Temat repatriacji stał się głośny wraz z upadkiem PRL, gdy post-solidarnościowe partie upominały się o potomków Polaków, którzy w czasach represji stalinowskich zostali deportowani z Kresów, głównie do Kazachstanu, ale i do innych republik środkowoazjatyckich ZSRR. Jednak dopiero w 2000 r., z inicjatywy marszałek Senatu Alicji Grzeškowiak (rządziła wtedy koalicja AWS-UW), uchwalono specjalną ustawę o repatriacji. Przewidywano wówczas, że do Polski przybędzie ok. 50 tys. osób, i założono optymistycznie, że większość osiedli się w ciągu trzech lat obowiązywania ustawy.

Zaproponowany akt prawny nie był doskonały, ale dawał nadzieję, że chętni będą mieli choć trochę ułatwiony przyjazd do Polski, przebrnięcie przez machinę biurokratyczną, a potem osiedlenie się w „starej” ojczyźnie. Przeciwny ustawie był premier Jerzy Buzek. Szef rządu twierdził, że Polski nie stać na zapewnienie repatriantom mieszkań, pracy i ochrony socjalnej, poza tym takie faworyzowanie wybranej grupy społecznej byłoby sprzeczne z konstytucją, zakazującą przecież dyskryminacji obywateli RP.

Ci najbardziej zdeterminowani repatrianci mimo wszystko przyjeżdżali nad Wisłę, nie oglądając się na polskie władze. Istotną rolę odgrywały samorządy, które nowym obywatelom RP zapewniały mieszkania, zatrudnienie i pomoc w aklimatyzacji,



Powitanie repatriantów przylatujących z Kazachstanu, Poznań, 28 sierpnia 2020 r.

lecz była to kropla w morzu potrzeb. Co roku do Polski przyjeżdżało średnio kilkadziesiąt osób ze Wschodu.

W 2010 r. o repatriantów upominał się PiS, a właściwie Jakub Płażyński. Syn byłego marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego zebrał ponad 215 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy ułatwiającej repatriację. „Jeśli nie zmienimy tempa repatriacji, niektórzy mogą jej nie doczekać. Mój ojciec uważał, że to obowiązek nas wszystkich”, mówił w Sejmie. Projekt ustawy ugrzązł jednak w komisjach i nie został ostatecznie rozpatrzony.

O repatriantach politycy przypomnieli sobie w 2015 r. podczas kampanii wyborczej. Kandydatka PiS na premiera Beata Szydło zadeklarowała, że jeśli jej partia wygra wybory, to w ciągu pierwszych 100 dni działania nowego rządu zostanie uchwalona nowa ustawa o repatriacji – ta, którą forsował Jakub Płażyński. „My podejmiemy wszelkie działania, by

(...) doprowadzić do tego, by każdy polski obywatel, każdy Polak mieszkający za granicą, który chce wrócić do swojej ojczyzny, do ojczyzny przodków, miał poczucie godnego życia, miał zapewnioną przez polskie państwo wszelką pomoc, mógł tu żyć, mieszkać i bezpiecznie myśleć o swojej przyszłości”, obiecywała Beata Szydło.

Dopiero w listopadzie 2016 r. rząd przygotował projekt ustawy repatriacyjnej. Radości z tego powodu nie krył Michał Dworczyk. W rozmowie z propisowskim portalem wPolityce.pl poseł obozu rządowego mówił: „Uważam, że bardzo dobrze, że Polska zaczyna myśleć o repatriantach w sposób poważniejszy niż dotychczas. Jeśli chodzi bowiem o pomoc naszym rodakom na Wschodzie, to do tej pory była to kompromitacja państwa polskiego. Tymczasem na terenie byłego Związku Radzieckiego mieszka kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy chcieliby przyjechać ▶

► do ojczyzny w ramach repatriacji. Dla porównania przypomnę, że Republika Federalna Niemiec w ciągu pięciu lat sprowadziła blisko milion osób niemieckiego pochodzenia z terenów byłego Związku Sowieckiego. A my wciąż nie spłaciliśmy tego długu moralnego, jaki wobec tych ludzi zaciągnęliśmy. A że ten dług mamy, to jest sprawa oczywista. Wiele z tych osób było represjonowanych i cierpiało tylko z tego powodu, że byli Polakami, nie chcieli wyrzec się języka polskiego, polskiej kultury czy wiary katolickiej. Dlatego tę sprawę powinniśmy zamknąć jak najszybciej i stworzyć naszym rodakom możliwość przyjazdu do macierzy”.

Raport NIK „Realizacja przez organy państwa zdań związanych z repatriacją” pokazuje bezwład, indolencję i arogancję pisowskich rządów.

W 2017 r. znowelizowano ustawę o repatriacji. Nad przebiegiem sprawnej przeprowadzki do Polski czuwać mieli: minister spraw wewnętrznych i administracji, minister spraw zagranicznych, pełnomocnik rządu ds. repatriacji, Rada ds. Repatriacji oraz podległe im armie urzędników. Odtąd wszystko miało się zmienić na lepsze.

W latach 2017-2023 pomimo szumnych zapowiedzi sprowadzono jedynie 4787 osób – głównie z Kazachstanu. W takim tempie przesiedlenie do Polski 15,2 tys. osób, które zadeklarowały zainteresowanie przeprowadzką, trwałoby ok. 22 lat. Część mogłaby tego nie dożyć. Wielu Polaków zniechęconych długim oczekiwaniem na rozpatrzenie ich sprawy wyjechało do Rosji, gdzie otrzymało obywatelstwo rosyjskie. Tak PiS przyłożyło rękę do ich rusyfikacji.

Okazuje się, że Jarosław Kaczyński i spółka zadrwali z rodaków ze Wschodu, a także z wyborców. Rząd Zjednoczonej Prawicy, który szastał pieniędzmi, wydając miliardy złotych na partyjne media, budowę muzeów, Polską Fundację Narodową i absurdalne inwestycje, takie jak budowa elektrowni węglowej w Ostrołęce, nie był w stanie znaleźć wystarczających pieniędzy na repatriację, czyli ok. 250 mln zł rocznie (taką kwotę na

repatriację wydatkowano w latach 2017-2023). Środków dramatycznie brakowało, a kolejni ministrowie spraw wewnętrznych i administracji: Mariusz Błaszczak, Joachim Brudziński i Mariusz Kamiński, byli „bezczylni i ani razu nie podjęli interwencji na poziomie rządowym lub parlamentarnym, by zabiegać o ich zwiększenie”. Ponieważ nie było pieniędzy, Błaszczak, Brudziński i Kamiński nie utworzyli dodatkowych ośrodków adaptacyjnych dla repatriantów, co spowodowało wydłużenie czasu oczekiwania na przesiedlenie nawet o ponad pięć lat. Mało tego! Z powodu braku pieniędzy dwa działające w Polsce ośrodki adaptacyjne

(w Puławie i Środzie Wielkopolskiej), które mogły pomieścić jednorazowo w sumie 250 osób, były przez wiele miesięcy nieczynne.

Tymczasem według ustaleń NIK „na dzień 24 listopada 2023 r. lista oczekujących na miejsce w ośrodku adaptacyjnym dla repatriantów obejmowała 4802 osoby, w tym 1339 osób oczekiwało na miejsce w ośrodku ponad trzy lata od wydania decyzji konsula o zakwalifikowaniu do wydania wizy krajowej w celu repatriacji”. Szczególnie kompromitujące dla państwa było to, że MSWiA nie potrafiło zapewnić nawet terminowej pomocy finansowej repatriantom. Na koniec 2023 r. Rzeczpospolita Polska była winna Polakom przybyłym ze Wschodu prawie pół miliona złotych.

Podobnie o repatriantów „dbali” ministrowie spraw zagranicznych Witold Waszczykowski, Jacek Czaputowicz i Zbigniew Rau. Ten ostatni odpowiada za aferę wizową i umożliwienie osiedlenia się w Polsce kilkuset tysiącom imigrantów z Afryki i Azji Południowo-Wschodniej. Jak się okazało, część z nich dostała wizy za łapówki. Repatriantami zaś szefowie MSZ, choć mieli taki obowiązek, w ogóle się nie interesowali. Ten brak zainteresowania przekładał się na funkcjonowanie urzędów

konsularnych. Placówki te były nieprzygotowane pod względem kadrowym i organizacyjnym do sprawnej obsługi petentów. W konsulatach generalnych RP w Afmatach i Irkucku pracowały tylko dwie osoby zajmujące się obsługą repatriantów. Dramatyczna sytuacja była w wydziale konsularnym ambasady RP w Astanie, obejmującym okręg, na terenie którego zamieszkuje ok. 90% potencjalnych repatriantów. Brakowało urzędników, a ci nieliczni pracowali na przestarzałym sprzęcie.

Według NIK „rażące braki kadrowe oraz przestarzały, awaryjny sprzęt komputerowy, przy ogromnej liczbie zainteresowanych spotkaniem z konsulem doprowadziły do niewydolności w sprawnej obsłudze osób chętnych do złożenia dokumentów repatriacyjnych”. Ta niewydolność polegała na tym, że limitowano liczbę osób przyjmowanych w sprawach repatriacji np. do pięciu tygodniowo, gdy chętnych było kilka tysięcy, co powodowało, że przez wiele miesięcy ludzie nie mogli się umówić na spotkanie. Doszło do skandalicznej sytuacji. W październiku i w grudniu 2022 r. przed ambasadą RP w Astanie odbyły się protesty i pikety środowisk polonijnych domagających się usprawnienia procesu repatriacji do Polski.

Nie ma jednak co się dziwić, że tak to funkcjonowało, skoro PiS na stołku ambasadora w Kazachstanie ulokowało nie zawodowego dyplomata, który potrafiłby sprawnie zarządzać placówką, ale działacza partyjnego, niedosłusznego radnego, posła i senatora Selima Chazbijewicza. Ten poeta, były imam gminy muzułmańskiej w Gdańsku oraz współzałożyciel i prezes rady centralnej Związku Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej zasłynął tym, że napisał „Ode do Jarosława Kaczyńskiego”. W panegiryku Chazbijewicz porównał prezesa PiS do Bolesława Chrobrego, przypisując mu nadprzyrodzone moce.

Takie traktowanie Polaków ze Wschodu jest haniebnie dla państwa. W bogoojczyźnianej preambule do ustawy o repatriacji jest zobowiązanie do zadośćuczynienia rodakom. Ale dla PiS nie ma już żadnych świętości. ■

Z Galicji



Jan Widacki

Masło a sprawa polska

Wostatnich dniach masło stało się w Polsce towarem politycznym i strategicznym zarazem. Do cen masła odnosili się już chyba wszyscy kandydaci na prezydenta, rząd i opozycja.

Nie bardzo wiem, jaki wpływ na ceny masła może mieć prezydent, a w szczególności ewentualny przyszły prezydent. Z jakiej to swojej prerogatywy zamierza po wygranych wyborach skorzystać, aby obniżyć ceny masła? No ale skoro temat stał się aktualny, zwłaszcza przed świętami, to wszyscy ci, którzy zapowiedzieli, że o ten urząd będą się ubiegać, uznali za stosowne i, co ważniejsze, celowe odnieść się do problemu masła. A problem polega na tym, że masło podrożało. Wprawdzie nie wczoraj, tylko jakiś czas temu, ale teraz rozpoczęła się nieformalna kampania wyborcza, wykombinowano więc, że można na tym maśle coś ugrać. O maśle mówili też rządzący, no i oczywiście byli rządzący.

Posel Błaszczak, jak zwykle z twarzą wolną od wszelkiej mimiki, przed obiektywami kamer chował kostkę masła do partyjnego sejfu, komentując, że to nieludzka polityka rządu spowodowała taką drożyznę, że zamiast masło na chlebie rozsmarowywać, trzeba jak skarb chować do sejfu. Sejf był chyba przygotowany na przyjęcie dotacji, ale co najmniej przez jakiś czas pozostanie pusty. Wszystko przez Państwową Komisję Wyborczą, która odsunęła w bliżej nieokreśloną przyszłość ostateczną decyzję co do przyjęcia lub nieprzyjęcia sprawozdania finansowego PiS, rozliczającego wydatki na szesnastomiesięczną kampanię wyborczą. Może zatem Błaszczak trzymać sobie w sejfie kostkę masła. A nawet dwie albo trzy. Na oczach licznej rzeszy widzów Błaszczakowa kostka masła powędrowała więc do kasy państwowej niczym sztabka złota. A Błaszczak rzeczywiście wygląda, jakby ostatnio nie dojadł. Jakiś taki smutny i blady.

By podtrzymać przekonanie, że masło to towar strategiczny, rząd rzucił na rynek masło z rezerw strategicznych właśnie. Jak najpierw telewizorze obejrzeni sobie pusty (nie licząc kostki masła) sejf PiS, tak teraz się dowiedzieli, że rząd o nich, a nawet o tych nieoglądających z różnych powodów telewizji, się troszczy. Uszczupla rezerwy strategiczne, byle na rynku było więcej tańszego masła.

Ci, którzy mają jakieś pojęcie o gospodarce i potrafią jako tako liczyć, twierdzą, że to opróżnienie rządowych

rezerw nie ma – bo mieć nie może – żadnego wpływu na ceny na rynku, gdyż to zaledwie ułamek procenta masła będącego w obrocie. Może oni na gospodarce nawet się znają, może liczyć potrafią, ale na polityce nie znają się na pewno. Nie wiedzą, że nie o to chodzi, czy masło potanieje, czy nie. Najważniejsze, by lud wiedział, że rząd się troszczy. Nawet tak dalece, że masło, będące jak trotyl strategiczną rezerwą, na rynek ludziom rzuca – bardziej ku pokrzepieniu serc niż obniżeniu cen.

Nie jestem pewien, czy to dobry moment na polityczne obrzucanie się masłem. Do świąt można było jeszcze na tym jechać. Po świętach, podejrzewam, temat za przeproszeniem zjełczeje, jak masło trzymane w sejfie,

Jak oswoimy się z informacją, ile ton żywności zmarnowało się przez święta, to do tematu masła trzeba będzie powrócić. W tym maśle tkwi niewyczerpany politycznie potencjał!

nie w lodówce. A ludzie dowiedzą się po raz kolejny, że mimo podwyżek cen żywności zakupiono jej na święta więcej niż Polki, Polacy i „osoby polskie niebinarne” potrafiły zjeść. I znów ileś ton żywności się zmarnowało. Zresztą jak po każdych polskich świętach.

Wracając do masła, rząd twierdzi, że przyczyną maślanego problemu jest zmniejszona podaż mleka. Tylko czekać, jak odezwie się PSL w imieniu polskich rolników, czy i dlaczego mniej doją, i pośrednio w imieniu krów, które mniej mleka dają. (Bo może za dużo ryczą? Ale to trzeba koniecznie przed wyborami prezydenckimi wyjaśnić). A wiadomo, kto i dlaczego niszczy polskie rolnictwo! Będzie okazja, aby to przypomnieć. No i ostrzec przed mlekiem z Ukrainy. Bo my bardzo domagamy się przyjęcia Ukrainy do Unii Europejskiej, ale towarów z Ukrainy nie wpuścimy! Że to sprzeczne samo w sobie? No może, ale co z tego?

Myślę, że jak już oswoimy się z informacją, ile ton żywności zmarnowało się przez święta, to do tematu masła trzeba będzie koniecznie powrócić. W tym maśle tkwi niewyczerpany politycznie potencjał!

A tymczasem: Maślanych Świąt!

Świąteczny stół od kuchni

Święta to właśnie czas, w którym trochę zawieszamy nasze temperamenty

Rozmawia Dominika Tworek

Dziś niektórzy uciekają przed świętami do ciepłych krajów – z lęku przed tym, że trzeba usiąść do stołu z ludźmi o odmiennych poglądach.

– Gdy w okresie przedświątecznym przejrzymy prasę, natkniemy się na listy czytelniczek żalących się, jak to mają już dosyć podpiętego wuja, homofobii, religii czy pytań o dzieci, więc postanowiły pojechać z przyjaciółmi na drugi koniec świata, żeby się odciąć od prowincji, z której pochodzą. Sformułowania „ucieczka” czy „lęk” zostają zamienione raczej na „strefę komfortu”, „troskę o siebie”, „dobrostan psychiczny”. To dodaje sprawczości i nie czyni ich ofiarami sytuacji, do których kiedyś musiały się dostosowywać, a dziś już nie chcą. Pytanie, na ile ten obraz świąt wykreowany w mediach jest rzeczywisty. Czy faktycznie ludzie są tak „umęczeni” spotkaniami z bliskimi? Bo można odnieść wrażenie, że kontakt z rodziną oznacza stres pourazowy.

Głównie media karmią nas taką indywidualistyczną postawą?

– To promocja postawy nie tyle nawet indywidualistycznej, ile hiperindywidualistycznej. Dodatkowo podszytej dyskursem psychotherapeutycznym, który dawno wymknął się z gabinetów i kolonizuje umysły „dobrze wykształconych z dużych miast”. Choć w gruncie rzeczy mamy do czynienia z chomofobiczną i klasistowską stereotypizacją. Chodzi o etykietowanie klasy ludowej oraz prowincji jako z istoty gorszej, gdyż zakorzenionej w tradycji i religijności. Ze świąt tworzy się jakąś karykaturę, niczym „Wesele” Wojciecha Smarzowskiego.



DR MICHAŁ RYDLEWSKI

– etnolog i filozof; adiunkt w Zakładzie Medioznawstwa Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Naukowo zajmuje się m.in. antropologią kuchni.

A co, jeśli rzeczywiście części ludzi spotkanie z rodziną jawi się jako koszmar?

– Rozumiem „troskę o siebie”, wyznaczanie granic tego, co jest możliwe do zaakceptowania, a co nie. Każdy z nas to robi. Kłopot w tym, że coraz częściej zamykające się w twierdzy swojego poczucia bezpieczeństwa „rozpieszczone umysły” – by użyć tytułu książki amerykańskich psychologów społecznych Jonathana Haidta i Grega Lukianoffa – nie są w stanie pójść na jakiekolwiek kompromisy, nawet na te kilka dni w roku. Wszelkie poglądy inne niż własne urażają czy wręcz są przemocą. Ten hiperindywidualizm doprowadza do upadku człowieka publicznego, tj. potrafiącego być z innymi – słowem do końca towarzyskości.

Towarzystwo polega w dużej mierze na zakładaniu masek. Może to dobrze, że jednak mniej udajemy?

– Towarzystwo wcale nie równa się nieautentyczności, ona sprzyja pokojowemu, wspólnotowemu byciu razem. Tam, gdzie każdy stawia na siebie, nie może być mowy o wspólnotocie. Autentyczność to dzisiaj fetysz. Muszę robić to, co czuję. Co podpowiadają mi moje emocje wywołane jakimś zachowaniem czy słowem, które interpretuję tak, jak ja chcę, nie licząc się czasami nawet z intencją nadawcy. Ciotka pyta o dzieci? Straszne, to moja prywatność! A może robi to z dobrego serca? Rozumiem, że ingerencja w naszą intymność może być przykra, ale w rodzinie uznaje się, że dzieci są ważne, więc się o nie pyta. „Bycie sobą” może być świetną drogą do skupienia się na sobie i tylko sobie, w efekcie prowadzi do przekonania, że cały świat mnie opresjonuje. Muszę dbać o swój komfort, no to uciekam od toksycznej rodziny.

Porady w stylu „dbaj o siebie” niczego więc nie naprawia?

– Po przekroczeniu pewnego progu krytycznego wspólnotowości mogą wręcz doprowadzać do katastrofy społecznej. Bo problem jest społeczny, a nie indywidualny. Dziś obserwujemy tylko skutki naszych przemian kulturowych. Tego, że przestaliśmy siebie nawzajem słuchać, rozumieć, być ciekawi innych osób (nawet najbliższych). Nie umiemy już ze sobą rozmawiać, nasze światy społeczne czy polityczne się rozjechały. Media potrafią tę rzeczywistość świetnie nakręcać, wyolbrzymiać. Na przykład nie dając innych obrazów, choćby takiego, że święta to właśnie czas, w którym trochę zawieszamy nasze temperamenty. To media



w ogromnej mierze wpływają na dzisiejszą katastrofę samotności lub odcinania się od rodziny jako generalnie czegoś złego i patologicznego, gdyż uniemożliwiającego „bycie sobą”.

Wyobraźmy sobie rodzinę przy świątecznym stole. Dziadek pozeracz golonki, ciocia na wiecznych dietach i wnuczek weganin.

Czy współcześnie jedzenie jako praktyka kulturowa, zamiast pełnić odwieczną funkcję wspólnotową, tylko bardziej antagonizuje?

– Te różnice są oczywiście widoczne w czasie świąt, choć raczej słabną, jeśli kiedyś w ogóle były tak wyraźne poza medialnym, zideologizowanym obrazem tworzonym na podstawie anegdot. To słabnięcie

wynika z faktu, że dotychczasowi „strażnicy tradycji” widzą, że jeśli nie poluzują pewnych norm, wnuczek weganin i wnuczka wegetarianka nie będą się czuli dobrze. Właśnie ci ludzie idą na kompromisy, gdyż w przeciwnym razie młodzi pojedą na święta za granicę. Często odpuszczają więc komentarze, pouczenia i ironię. To pewnie także efekt symbolicznego nacisku ze strony młodych. Moi studenci opowiadają, że babcie robią im zawsze coś, co lubią. Spełniają ich kulinarne zachcianki. Uważam, że polski obraz tradycyjnych dziadków i babć, którzy będą z krzyżem w ręku egzorcyzmowali wegetarian, jest wypaczony.

Mnie jednak wydaje się, że w tak spolaryzowanym świecie jedzenie częściej niż kiedyś może stanowić pretekst do kłótni. Bo młody człowiek optujący w trosce o klimat za wprowadzeniem do diety owadów może nie znaleźć nici porozumienia z dziadkiem schabozercą, który raczej nie zechce zrezygnować z przyzwyczajęń żywieniowych.

– Dzisiaj wszystko może sprzyjać polaryzacji, gdyż każde działanie jest postrzegane w kategoriach moralności i opowiadania się po jednej ze stron politycznego sporu. Pytanie, na

Tam, gdzie każdy stawia na siebie, nie może być mowy o wspólnocie.

ile to rzeczywistość, a na ile medialny obraz służący antagonizowaniu społeczeństwa, także w wymiarze pokoleniowym. Czy wnuczek naprawdę wymaga, żeby dziadek się zmienił? Raczej myśli: „Niech je, co chce, byle mnie dał jeść, co ja chcę”. Ponadto w różnych przestrzeniach społecznych młodzi ludzie funkcjonują inaczej. Jak jadą do domu, to ochocho jedzą rosół, nawet jeśli do sieci wrzucają zdjęcie sojowego latte.

Dzisiaj weganizm to symbol empatii wobec zwierząt. Tatar z lososia jest oznaką przynależności do klasy wyższej, a kielbasa to posiłek dla „Januszków”. Ta emblematyzacja jedzenia była z nami zawsze czy to dość nowy proces?

– Jedzenie zawsze wyraża jakieś wartości kulturowe, od praktyk kaniibalistycznych (przejmowanie części czyjejś mocy) po dzisiejszą dietę pudełkową (zlecenie innym za pieniądze tego, co do tej pory robiło się samemu). W dziejach kultury europejskiej było ono formą pokazania prestiżu i bogactwa klas wyższych. Natomiast raczej nie wyrażało swojego „ja”. Jedzenie jako przedłużenie naszej tożsamości to wynalazek stosunkowo niedawny. Z całą pewnością upowszechniony przez programy telewizyjne typu „Ugotowani”.

Dlaczego programy kulinarne nasilają ten proces?

– Uczestnicy „Ugotowanych” demonstrowają swoje duże umiejętności kulinarne, a potrawy są przygotowywane na wzór tych, których próbowali w czasie podróży. Nazwy dań – „Zielone Indie” czy „Błękitna Laguna” – od razu konotują indywidualizm i nowoczesność. Nie to, co „placek Tadzika” czy „kieszonki teściowej”, odnoszące się do tradycji, rodzinności i swojskości. Gdzie jedzenie nie jest popisem ego, tylko ma smakować wszystkim domownikom. Uważam, że programy telewizyjne – od „Kuchennych rewolucji” po „MasterChefa” – to nic innego jak modernizowanie polskiego społeczeństwa: ▶

► nauka gustów kulinarnych, do których Polacy powinni aspirować. **Może różnorodność na talerzach pełni jednak funkcję jednoczącą? Bo zyskujemy pretekst do rozmów o nowościach na stole, zamiast wygłaszać klasyczne pochwały dla sałatki jarzynowej.**

– Klasa ludowa, czyli ten nasz „wujek Janusz”, wcale nie jest zamknięta na nowe smaki. Jej tradycyjność nie sprowadza się do zamknięcia we własnym kulinarnym świecie, ograniczenia do schabowego i rosółu w niedzielę. Przecież dzieci tych ludzi albo studiują, albo wyjeżdżają za granicę. Oni sami też podróżują czy oglądają telewizję i chcą poznać inne kultury, a jedzenie jest prostą drogą do tego. Wiadomo, że nie śledzą gwiazdek w aplikacjach, ale wcale nie są ograniczeni.

Jedzenie jako przedłużenie naszej tożsamości to wynalazek stosunkowo niedawny.

Choć wciąż częściej wybierają tradycyjne smaki.

– Tradycyjność polega też na tym, że włącza się nowe produkty, inspirowane innymi potrawami, czy to z klasy wyższej, czy z innych regionów, trochę je przerabiając na własną modłę. To taka swojska inność. Bardzo dużą zmianę w polskich praktykach kulinarnych przyniosła dostępność wielu produktów jeszcze do niedawna wręcz ekskluzywnych. Dzisiaj w Biedronce, Lidlu czy Aldim dostaniemy produkty z Włoch, z Hiszpanii... Inne kuchnie dla wielu ludzi, szczególnie z większych miast, nie są już czymś niedostępnym.

Nośnikami trendów żywieniowych stali się influencerzy, instagramerzy. Kiedyś byli to tzw. przyslij-przepisowcy.

– „Przyslij przepis” jest o tyle ciekawy, że w zasadzie nie przypomina tego ze swoich początków. Wtedy były „boeuf Stroganow z parówek”, „zupa gyros”, często używano kostki rosółowej, ozdabiano dania keczupem. Dzisiaj są zupy kremy, potrawy raczej restauracyjne. Na Facebooku istnieje sporo grup o charakterze „przyslijprzepisowym”. Właśnie tam

zwykli ludzie, raczej 40+, dzielą się tym, co gotują. Influencerzy pełnią zaś funkcję poradnikową dla młodych. Bo jeśli babcia czy mama nie gotują tego, co chciałbyś jeść, wiadomo, że tam będziesz szukał porad, szczególnie że to pokolenie Instagrama i TikToka, nawet Facebook to już dla niego przeżytek.

Czy nieznajomość *savoir-vivre'u* jest dla młodych ludzi ze wsi równie wykluczająca jak kiedyś? A może żyjemy w czasach najmniej ograniczonych społecznym konwenansem?

– Społeczne konwenanse na pewno tracą na wartości, co widać np. w ubiorze (można w zasadzie wszystko) albo w języku (dziewczyny też mogą przeklinać). Niekoniecznie także jesteśmy zmuszeni do przestrzegania norm grzeczności pod sankcją

nagany. Ale jeśli chodzi o zachowanie przy stole, znajomość pewnych reguł w dalszym ciągu świadczy o nas i naszym pochodzeniu. Sposób trzymania sztućców, kieliszka z winem czy gracja w jedzeniu wiele mówi o naszych kompetencjach. Z tego względu dużą popularnością cieszą się instagramowe porady w stylu: jak trzymać kawałek pizzy, czy można ją jeść nożem i widelcem. W pewnych kręgach trzeba się nauczyć określonych reguł. Zwłaszcza że młodzi ludzie z dużych miast lubią restauracje oraz ich estetykę.

Czy w tym niemal nieograniczonym wyborze kulinarnym sięganie po rodzime potrawy obarczone jest wstydem?

– Myślę, że jest odwrotnie. Kuchnia polska przestaje być czymś wstydliwym i nudnym. W czym miewamy, ziemniaki z koperkiem i mizeria są gorsze od włoskich – tanich i prostych do przygotowania – makaronów? To raczej kwestia symbolicznego prestiżu kuchni włoskiej, świetnie zresztą wizerunkowo stworzonej, a nie tylko smaku.

Dlaczego przestajemy się wstydzić naszej polskiej kuchni?

– Bo już jesteśmy Zachodem, do którego tak bardzo aspirowaliśmy przez ostatnie dekady. Jeździmy po Europie Zachodniej i widzimy, że nie odstajemy, wręcz przeciwnie. Młodzi ludzie w ogóle nie odczuwają kompleksu bycia Polakiem. To dlatego mamy się wstydzić swojej kuchni? Poza tym młode pokolenie – choć to stwierdzenie bardzo ogólne, dotyczące raczej tych młodych z dużych miast – poszukuje jakiejś wersji polskiej tożsamości i zaczyna jej się przyglądać. Na swój sposób poznaje „ten kraj”, jak jeszcze do niedawna się mówiło. Czasami wręcz bawi się znakami polskości. Kuchnia polska jest trochę egzotyczna i swojska jednocześnie.

Egzotyczna?

– Myślę, że pewnej grupie młodych ludzi (szczególnie tych zamożniejszych z dużych miast) trochę się przejadły „kuchnie świata” dostępne u nas. Oni próbowali już wszystkiego, to nie robi na nich wrażenia. Poza tym jedzenie w restauracjach jest coraz droższe, a porcje coraz mniejsze. Szuka się zatem czegoś tańszego i co nie jest przecież gorsze. Czyli kuchni polskiej, która dobrze się kojarzy: z kuchnią domową, babci i mamy. To taki powrót retro, do zapomnianego, a dla niektórych jeszcze nieodkrytego świata.

Jakaś złota rada dla nas wszystkich na te święta, aby czas wspólnie spędzony przy stole cementował rodzinne więzi?

– Jak powiedziałem, to media podkręcają antagonizmy światopoglądowe, co służy tylko im, a nie ludziom. Dlatego odwołałbym się właśnie do mediów. Najprościej: nie twórzcie karykatur świąt, nie róbcie z indywidualnych historii wzoru, nie piętnujcie tych, którzy mają inny światopogląd, nie upokarzajcie ich.

Twoja ulubiona świąteczna potrawa?

– Pierogi z kapustą i grzybami mojej mamy, ale już nigdy ich nie zjem. A propos złotej rady: pamiętaj, że na wakacje z przyjaciółmi jeszcze pojedziesz, a twoich bliskich, szczególnie starszych, niedługo może już nie być.

Dominika Tworek

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Wilno krzepi

Do Wilna tylko autobusem. Trasę z Warszawy znam od dziesięcioleci i byłem jej zawsze wierny. Ale tym razem jechałem z Krakowa – niemal dwa razy dłużej. Czy było warto? Cóż, dla Wilna warto się pomęczyć. A przy okazji – pomyśleć.

Kraków-Wilno! Droga, którą w roku 1551 przemierzał konno Zygmunt August, towarzysząc trumnicy swej żony, Barbary. Tę miłość ostatniego Jagiellona pamiętamy po stuleciach, dlaczego więc uległa zapomnieniu miłość nie mniejsza: jego stryja Aleksandra? Ona też była tragiczna, bo żona, Helena Moskiewska, nie mogła być jako prawosławna królową Polski, nie mogła też zostać pochowana, tak jak przystało osobie panującej. Barbara i Helena spoczywają w Wilnie. Lecz grób pierwszej, w katolickiej katedrze św. Stanisława, został przed laty odnaleziony, a grób drugiej, w prawosławnym soborze Przemysławego Bogurodzicy, popadł od razu w zapomnienie.

Rosyjskie Wilno. Zbitka tych dwóch słów brzmi dziś nieledwie bluźnierczo. A przecież rosyjskie Wilno – to nie tylko Murawjow Wieszatki. Zachód i Wschód spotykają się tu przez domy i podwórka, a rosyjskość stała się miejscowa, wileńska. W Ostrej Bramie świeci katolicki obraz Matki Bożej, lecz kościół Ostrobramski styka się murem z prawosławnym monasterem Świętego Ducha. Z ulicy Subocz idzie się do Marku, w których odbywali kiedyś schadzki filomaci, lecz później wybudowano tam rosyjski dwór, gdzie osiadł Grigorij Puszkina, syn poety Aleksandra. Synowa poety, Warwara, przeżyła w Markucach niemal całe międzywojenie: zmarła tu 11 grudnia 1935 r. Czy nadal istnieje muzeum puszkiniowskie, do którego szedłem kiedyś samotnie, wiosennym popołudniem, by stanąć na koniec w obliczu XIX-wiecznej rosyjskości?

Taktownie nie pytałem o Markucie, bo nawet na najciszej centrum Wilna brakło mi teraz czasu. Uczestniczyłem w konferencji poświęconej 30-leciu Katedry Filologii Polskiej na litewskim uniwersytecie. Pracowałem chwilę w tej katedrze, zaraz po jej powstaniu, do dziś też zachowałem tu wiele przyjaźni. I może warto przypomnieć: katedra powstała dzięki mojemu dzisiejszemu sąsiadowi z łamów „Przeglądu”, prof. Janowi Widackiemu, wówczas ambasadorowi RP w Wilnie. Jej kierownikiem został dr Algis Kalėda, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, a pierwszych profesorów przystąpiła strona polska. Byli to Elżbieta Janus z Warszawy oraz Tadeusz Bujnicki z Krakowa, który w ten sposób wrócił do miasta swego dzieciństwa. I który od tego czasu bywa w Wilnie co parę miesięcy.

Ja bywam tu zaledwie raz na parę lat, choć kiedyś jeździłem niemal tak często jak Bujnicki. Z każdym kolejnym pobytem widziałem zmiany: ze stolicy radzieckiej republiki przekształcało się Wilno w stolicę państwa niepodległego, członka Unii Europejskiej i NATO. Teraz, po pięciu latach nieobecności, dostrzegam naprzeciw dawnej Sali Miejskiej (obecnej filharmonii) pomnik Jana Basanowicza. Nie jestem entuzjastą stawiania nowych pomników w zabytkowych centrach, tu jednak jakże to jest zrozumiałe. Wszak właśnie z inicjatywy Basanowicza obradował w grudniu 1905 r. w tejże Sali Miejskiej Sejm Wileński, manifestując odrębność litewskiego narodu. Porównuję ten jedyny nowy pomnik na wileńskiej Starówce z kilkoma pomnikami Jana Pawła II na Starym Mieście w Krakowie. U nas miejsca nie żałowano: pomniki stawiano nawet na Wawelu i Skałce, często wbrew opinii konserwatora.

Litewskie partie nigdy nie obrażały się na Europę, litewski katolicyzm nigdy nie zwyrodniał w sojusz ołtarza z tronem.

Mogę się zżymać na Litwinów za zaniedbanie grobu Heleny Moskiewskiej, ale muszę przyznać, że są oni społeczeństwem umiaru. Litewskie partie nigdy nie obrażały się na Europę, litewski katolicyzm nigdy nie zwyrodniał w sojusz ołtarza z tronem. PiS byłoby na Litwie nie do wyobrażenia. U progu niepodległości stoi tu dwóch rówieśników: przywódca antykomunistycznego Sajudisu Vytautas Landsbergis i przywódca Litewskiej Partii Komunistycznej Algirdas Brazauskas. Miałem szczęście, przy różnych okazjach, rozmawiać z nimi oboma. Przez 45 lat zdążyłem się w Wilnie zadomowić.

A teraz siedzę w zabytkowej (tradycja od 1883 r.!) kawiarni Białej Sztrall przy ulicy Wielkiej. Podejmuje nas, referentów z konferencji, dziekan Wydziału Filologicznego, prof. Mindaugas Kvietkauskas, niedawny minister kultury w lewicowym rządzie Sauliusa Skvernelisa. Rozmowa toczy się po polsku, choć nie jest to już polszczyzna dawna, ową „pan dawno u nas znalazłszy sja?”, którym za pierwszego pobytu przywitała mnie stara wileńska Polka. Ale naokół słychać szmer mowy litewskiej. I łapię się na myśli, że i za brzmieniem tej mowy bardzo się już stęskniłem.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Pismo, które zmieniło Amerykę

„New Yorker” jest nie tylko tytułem prasowym.
To instytucja kultury



MICHAŁ CHOIŃSKI

– amerykańista, stypendysta Fulbrighta na Uniwersytecie Yale, profesor na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przeprowadził wywiady z ponad 50 redaktorami „New Yorkera”, a w archiwum magazynu i w The New York Public Library dokonał unikatowych odkryć. Autor książki „The New Yorker. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę”. Specjalizuje się także w literaturze amerykańskiego Południa.

Michał Choiński do kawiarni wchodzi z grubą, szarą kopertą. – Już pokazuję, co tam mam! – mówi, wyciągając starannie zapakowane czasopismo. Kupił je po okazjonalnej cenie w antykwiariacie w New Haven. Jeden taki egzemplarz jest dziś wart kilkaset dolarów. – Nie było wtedy spisu treści, niestety – zauważa i wertuje stronę po stronie. – To było jakoś w połowie, tu same reklamowe nudy... Ale już nie ma wyjścia, muszę ci pokazać!

I jest. Słynna sylwetka Marlona Brando pióra Trumana Capote’a. W trakcie wywiadu pisarz wydobył z aktora wiele szczegółów z prywatnego życia, w tym te dotyczące choroby alkoholowej matki. Po lekturze Brando groził autorowi śmiercią. „The Duke in his Domain” został pierwotnie opublikowany w numerze z 9 listopada 1957 r. Artykuł Capote’a ciągnie się przez 20, może 30 stron, większość miejsca wypełniają reklamy drogich alkoholi. Tekst stanowi w zasadzie dodatek do obrazków. Choiński, z wykształcenia historyk literatury, siłą rzeczy ma słabość do podobnych artefaktów. Jednym z największych skarbów w jego kolekcji jest pierwsze wydanie tomu poezji Louise Glück z podpisem noblistki, silnie zresztą kojarzonej z „New Yorkerem”. Na nasze spotkanie przyniósł też wydanie magazynu „Fortune” z 1934 r. Połowa numeru jest oczywiście poświęcona „New Yorkerowi”.

Przez kilka ostatnich lat Choiński przekopywał archiwum magazynu, stare numery, dokumentację. Dotarł do listów z podpisami Ernesta Hemingwaya i Sylvii Plath. Przeprowadził wywiady z redaktorami „New Yorkera” na 23. piętrze budynku One World Trade Center, gdzie mieści się siedziba tygodnika. Żadnemu innemu Polakowi redakcja nie pozwoliła na tyle wejść do swojego świata.

Do kolekcji brakuje Choińskiemu oryginalnego egzemplarza pierwszego numeru, który po stu latach stał się białym krukiem. Cena waha się od kilkuset dolarów do kilku tysięcy.

Rozmawia Mateusz Demski

Miałeś w ręku ten pierwszy numer „New Yorkera”?

– Miałem. Fantastycznie pachnie!

To znaczy czym?

– Historią, starością, no i kurzem. Dotykałem go i wąchałem w wewnętrznym archiwum magazynu, na 34. piętrze One World Trade Center. Znaczna liczba egzemplarzy tego numeru leży i odpoczywa w skrzyni, starannie zapakowana.

Oczywiście wielu kojarzy tę okładkę – rysunek postaci Eustace’a Tilleya, XIX-wiecznego arystokraty i dandysa, który stał się maskotką „New Yorkera”.

– Tilley był uosobieniem tego, w jaki sposób założyciele magazynu postrzegali przyszłych czytelników. To dandys z monokłem oglądający motyla. Obrazek wywołuje z jednej strony skojarzenia z wyrafinowaniem i elitaryzmem, a z drugiej z ciekawością świata. Ewolucja wizerunku Tilleya jest odwzorowaniem zmian w myśleniu o amerykańskiej tożsamości. Na pewnym etapie, za sprawą redaktorki naczelnej Tiny Brown, dandys stał się punkową. Później był też czarnym chłopcem w okularach VR. A w czasie pandemii nosił maseczkę. Françoise Mouly, redaktorka odpowiedzialna za dobór okładek „New Yorkera” – która razem z mężem Artem Spiegelmanem stworzyła m.in. słynną okładkę po zamachu z 11 września – zwraca uwagę, że te rysunki zawsze są grą z czytelnikami, mają kontestować rzeczywistość, zapraszać do dialogu, stanowią integralną część tożsamości tygodnika.

Przewracamy okładkę, przebijamy się przez zapach kurzu i historii. Co mogli przeczytać nowojorczyści w pierwszym numerze tygodnika z 1924 r.?

– Reklamy, reklamy, reklamy (śmiech). Uwagę zwracają rysunki satyryczne, oprócz tego sylwetki mieszkańców i mieszkańek Nowego Jorku. Gry, zabawy słowne. Połączenie humoru i ciekawostek miejskich. Prawdę mówiąc, to nie było jeszcze poważne dziennikarstwo, które zapadało w pamięć. Najciekawsze teksty „New Yorkera” zaczynają powstawać

dopiero w latach 30. i 40. Joseph Mitchell pisze wtedy słynny artykuł o pladze szczurów, które biegają po mieście w manii połączonej z desperacją i paniką. Była to metafora tempa życia Nowego Jorku.

„New Yorker” rodzi się pośród nowojorskiej elity, która spotykała się, by grać w pokera i rozmawiać o sztuce. Harold Ross, pierwszy naczelny, trzymał w gabinecie kapelusze Rudolfa Valentina.

– Legenda głosi, że aktor miał go na głowie tuż przed śmiercią, gdy dostał zawału. O ile się nie mylę, kapelusze zaginął przy okazji kolejnych przeprowadzek redakcji. Natomiast „New Yorker” ma swój mit założycielski związany z konkretnym czasem w historii miasta. Środek epoki jazzu, lata 20., określane też mianem Roaring Twenties, czyli szalonych. Jednocześnie to okres prosperity. Stany Zjednoczone oferują obywatelom najwyższy standard życia na świecie, gdy Europa staje na nogi po I wojnie światowej. Tacy ludzie jak Francis

Mówiąc krótko, to nie było miejsce dla wszystkich.

– Od początku był to tygodnik aspiracyjny, skierowany do osób, które chciały przynależać do pewnej klasy i elity. Słynne jest stwierdzenie Harolda Rossa, który napisał, że „New Yorker” nie jest skierowany do „starszej pani z Dubuque”. Miasto w stanie lowa było bowiem dla niego synonimem małomiasteczowości. Kiedy w latach 30. większa część społeczeństwa amerykańskiego borykała się z efektami Wielkiego Kryzysu i traciła pracę, redakcja była ponad to. Nie zajmowała się takimi sprawami.

Dużą część Południowego Zachodu trawiły burze pyłowe, tzw. Dust Bowl, spowodowane suszą i intensywną eksploatacją rolniczą gruntów. Na Południu panowały bieda i rasizm. Tymczasem „New Yorker” funkcjonował w bańce i moralnym marazmie, idąc w kierunku pochwały bogactwa i elit. Dopiero po II wojnie światowej, wraz z publikacją

Choć cały rynek prasy amerykańskiej przeżywa kryzys, „New Yorker” ma się znakomicie. Z nakładem 1,2 mln, z newsletterem, który trafia codziennie do 2 mln osób.

Scott Fitzgerald czy Ernest Hemingway za niewielkie pieniądze mogli żyć jak królowie. Fitzgerald pisze słynny tekst „Tales of the Jazz Age”. Bawi się w najlepszych klubach, pijąc nielegalny wówczas gin. Bo należy pamiętać, że są to czasy prohibicji i przestępczej działalności Ala Capone. Ponadto miasto rośnie do góry i puchnie od ludzi. Do 1920 r. mieszkało tam 7 mln osób i ciągle coś się działo. Nowy Jork żył więc muzyką, literaturą i sztuką – tylko między 1903 a 1927 r. powstało 80 teatrów. Były też pieniądze, dlatego wiele pomysłów padło na podatny grunt. Harold Ross, założyciel „New Yorkera”, poszedł pewnego dnia do Raoula Fleischmanna – milionera, który dorobił się fortuny na produkcji drożdży – z ofertą zainwestowania w nowy tygodnik, który będzie afirmacją miasta, pismem bardzo klasowym, ale także jakościowym.

tekstu „Hiroszima” Johna Herseya, narodziło się sumienie społeczne tygodnika, które będą rozwijać kolejni redaktorzy naczelni.

Ross był pozbawiony społecznego słuchu?

– Nie interesował się takimi tematami. Nawet jeśli w dzielnicach za rzeką Hudson panowała bieda, wyobraźnię jego i wielu mieszkańców rządził górujący nad miastem budynek Chryslera ukończony pod koniec lat 20. Aspiracje zamykały oczy na to, co się działo poza środowiskiem Manhattanem. Ross był jednocześnie chodzącym paradoksem, postacią apodyktyczną, a przy tym otwartą na nowe autorki i autorów. Pochodził z Kolorado, więc z wychowania należał do konserwatystów, ale jego żona Jane Grant była feministką. Z jednej strony, cechowała go ciekawość, a z drugiej – pruderyjność i rasizm.

Dotarłem do korespondencji, którą Ross prowadził z czytelniczką oburzoną na okładkę z 28 października 1950 r. z okazji Halloween. Widnieje na niej czarna kobieta w stroju służącej, myjąca naczynia. Obok, przy drzwiach, stoi biała dziewczynka przebrana za ducha, przypominająca członków Ku Klux Klanu. Czytelniczka zwróciła uwagę, że rysunek powiela stereotypy związane z osobami czarnymi. Odpowiedź Rossa charakteryzowała się czymś, co można nazwać colorblindness, czyli ślepotą na kolor. Stwierdził, że nie ma w tym

z prośbą o odłożenie mu tysiąca egzemplarzy.

W Nowojorskiej Bibliotece Publicznej jest opasła teczka, w której zachowały się listy czytelników po lekturze „Hiroszimy”. Dla wielu opis skali wybuchu był szokujący. Dotąd ludzie wierzyli w narrację rządu amerykańskiego, który tłumaczył użycie atomu chęcią zakończenia wojny w sposób „szybki, efektywny i humanitarny”. Były również głosy krytyczne, które zarzucały „New Yorkerowi” działanie na szkodę interesów Stanów Zjednoczonych i oskarżały Rossa o sympatie komunistyczne.

Rysunki zawsze są grą z czytelnikami; mają kontestować rzeczywistość, zapraszać do dialogu, stanowią integralną część tożsamości tygodnika.

nic rasistowskiego i równie dobrze dziewczynka mogłaby być żółta, a nawet zielona. Takich wpadek Rossa, które pokazywały paradoksy epoki i systemowy rasizm, było mnóstwo, ale podobne rzeczy zdarzały się nawet po latach. W tym samym numerze tygodnika, w którym znalazł się „List z zakamarka mojego umysłu”, przełomowy tekst Jamesa Baldwina, pojawiła się reklama whiskey Virginia Gentleman, z czarnym służącym serwującym drinki białym plantatorom.

Jednak publikacja wspomnianej „Hiroszimy” coś ruszyła w redakcji „New Yorkera”.

– Bo John Hersey, wtedy już laureat Nagrody Pulitzera, złamał narrację, według której bomba zrzucona na Hiroszimę była triumfem myśli technologicznej i militarnej. Hersey polecał zobaczyć zdewastowaną Hiroszimę, ale nie pisał o wybuchu. Oddał głos sześciu osobom, które tego dnia widziały „niemy błysk”, po czym miasto stanęło w ogniu. Nagle wojna przestała być anonimową historią. Czytelnicy mogli się postawić w miejscu tych ludzi. Tekst porażał precyzyjnymi opisami skutków promieniowania. Albert Einstein, który wówczas był w Nowym Jorku, biegł podobno od kiosku do kiosku, usiłując kupić ten numer. Nie udało mu się, więc napisał list do redakcji

Te doświadczenia trwale zmieniają linię tygodnika. Na łamach „New Yorkera” ukazuje się tekst Hannah Arendt o procesie Eichmanna i „banalności zła”. Podobnie „Z zimną krwią” Trumana Capote’a. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wiele tekstów istotnych z punktu widzenia historii literatury ma źródło właśnie w „New Yorkerze”.

– Ten ostatni przykład jest szczególnie emblematiczny i problematyczny. Historia związku Capote’a z „New Yorkerem” jest zresztą skomplikowana – jako nastolatek pracował krótko w redakcji, ale Ross go wyrzucił. Bardzo go nie lubił. Trafitem na ciekawy list, w którym redaktor naczelny pyta agentkę Capote’a, czy mogliby przysłać teksty, które nie są aż tak psychodeliczne (śmiech). Natomiast „Z zimną krwią” to tekst ikoniczny. Według niektórych dał początek nurtowi true crime.

Dla mnie, poza tekstami Jamesa Baldwina czy Susan Sontag, ważne są te, które nie wiążą się z kwestiami politycznymi, ale mówią o codzienności osób wykluczonych. „Is There No Place on Earth for Me?”, reportaż autorstwa Susan Sheehan, opisywał mieszkankę Nowego Jorku ze zdiagnozowaną schizofrenią i problemy amerykańskiej służby zdrowia. Współczesna autorka Rachel Aviv specjalizuje się w tematyce

wykluczenia osób z chorobami psychicznymi i osób w kryzysie bezdomności. W „Netherland” opisała historię młodej, w połowie rdzennej Amerykanki, która była wykorzystywana seksualnie przez ojca – uciekła z domu i dosłownie zaplanowała swoją bezdomność na ulicach Nowego Jorku. Aviv chodziła po przytułkach, próbując zrozumieć, czym jest wykluczenie społeczne.

Jest jeszcze jedna istotna kategoria tekstów „New Yorkera” – opowiadania. Niektóre są kamieniami milowymi dla tego gatunku, jakże ikonicznego w literaturze amerykańskiej. Poczynając od tużpowojennej „Loterii” Shirley Jackson. Społeczeństwo miało olbrzymią potrzebę wiary w to, że kraj stanowi oazę spokoju i bezpieczeństwa. Jackson opisała zaś społeczność małego miasteczka w Nowej Anglii, w której dochodzi do rytualnego aktu przemocy, co zaszokowało czytelników. Sam omawiam to opowiadanie na zajęciach ze studentkami i studentami.

Ale były też polskie akcenty.

– Na przykład słynny wiersz Adama Zagajewskiego „Spróbuj opiewać okaleczony świat” silnie zaistniał w przestrzeni emocjonalnej czytelników. Jego publikacja towarzyszyła traumie zamachów na World Trade Center. Słowa Zagajewskiego trafiły w serca nowojorczyków. Okrzyknęło go nawet „poetą 11 września”.

Skoro o tym mowa, po zamachach „New Yorker” umieścił na okładce zarys dwóch wież. Ledwie widoczne, ale sugestywne cienie na ciemnym tle, jak duchy. Okładki, które przeszły do historii, można by mnożyć.

– Jest całe mnóstwo okładek istotnych ze względów historyczno-kulturowych, ale są i takie, które ludzie lubią po prostu ze względów estetycznych. Jeśli chodzi o te pierwsze, bezwzględnie okładka Barry’ego Blitta, czyli „Fistbump”, opublikowana w kontekście kampanii wyborczej Baracka Obamy. W dyskursie publicznym pojawiła się wówczas masa rasistowskich i islamofobicznych stwierdzeń kierowanych pod jego adresem. Blitt postanowił ująć te kłamstwa i oskarżenia w jednym groteskowym obrazie.

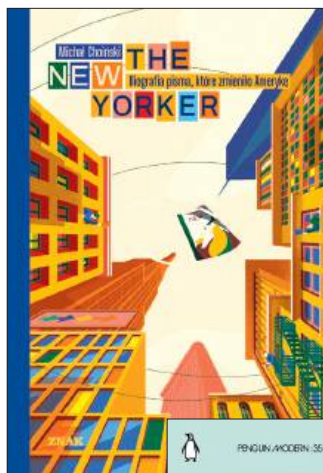
Namalował Obamę w muzułmańskim turbanie, jak przybija w Gabiniecie Ovalnym żółtą z swoją żoną. Michelle Obama ubrana jest jak bojówkarka Czarnych Panter, ma karabin na plecach.

– François Mouly twierdzi, że w przypadku tej okładki użyli „próbki trucizny, by opracować szczepionkę”. Innymi słowy, by pokazać skalę uprzedzeń w Stanach Zjednoczonych. Podobnie było z okładką „The Kiss” autorstwa Spiegelmana, która przedstawia pocałunek chasydzkiego Żyda i czarnej kobiety – powstała w kontekście zamieszek w Crown Heights, kiedy doszło do eskalacji konfliktu tych dwóch społeczności.

Mouly ceni okładki, które komentują sytuację osób LGBTQ+. Na jednej z nich Bert i Ernie, dwójka Muppetów, siedzą przytuleni na kanapie i oglądają transmisję z ogłoszenia orzeczenia Sądu Najwyższego w sprawie legalności małżeństw jedнопłciowych. Ale podoba mi się też okładka, którą „New Yorker” przygotował przy okazji procesów O.J. Simpsona. Wszystkie tytuły prasowe prześcigały się w publikacji posępnych zdjęć sportowca. Na okładce „New Yorkera” była szklanka soku pomarańczowego – nawiązująca do przezwiska Simpsona, czyli „Juice”. Bo tygodnik często wołał pójść pod prąd.

Okładki są rodzajem gry z czytelnikiem, ale nie zawsze komentarzem do spraw bieżących.

– Nieraz przedstawiają po prostu wielkomiejskie doświadczenie Nowego Jorku: bycia między ludźmi, bycia w ciągłym tyglu zmieniających twarze. Bardzo lubię okładkę z 4 kwietnia 2022 r. z nawiązującym do „Gwiaździstej nocy” van Gogha widokiem na Manhattan z Central Parku. Poruszające są też okładki związane z pandemią – przedstawiają Nowy Jork, w którym nie ma czynnika definiującego to miasto. Czyli tego ciągłego, falującego tłumu ludzi.



Ja z kolei mam ze sobą numer z sierpnia tego roku. Na okładce rollercoaster: jeden wagonik jedzie do góry, drugi w dół. W pierwszym siedzą Kamala Harris i Tim Waltz, w drugim Donald Trump i J.D. Vance.

– Kolejka pojechała zdecydowanie w drugą stronę.

„New Yorker” był szczególnie zaangażowany w ostatnią kampanię prezydencką.

– Obecny naczelny tygodnika David Remnick powiedział mi kiedyś jedno znamienne zdanie: „»New Yorker« to nie jest muzeum”. Za jego kierownictwa, trwającego już od ponad ćwierć wieku, powstała masa ikonicznych reportaży, m.in. związanych z wojną w Iraku i torturami w Abu Ghraib. „New Yorker” był więc bardzo zaangażowany w kampanie prezydenckie. Gdy Trump został wybrany na prezydenta w 2016 r., wydrukowano opowiadania, które nazwałbym wyrazem „nowego realizmu”. Mówię tu o „Gender Studies” Curtis Sittenfeld czy „Kociarzu”

Tygodnik działa na zasadzie prenumeraty i czerpie zyski z umowy z czytelnikami. Rola reklamodawców jest znikoma.

Kristen Roupenian, które na stronie „New Yorkera” przeczytało 6 mln osób. Opowiadają o podziale społecznym w kontekście debaty publicznej i o jego wpływie na relacje między ludźmi.

Remnick napisał zaraz po wyborach esej o wymownym tytule „An American Tragedy”, jeden z najpopularniejszych tekstów w tamtym roku. Teraz, przed wakacjami, opublikował kolejny słynny już tekst „The Reckoning of Joe Biden”, w którym kontestował postawę Bidena i stawiał tezę, że jego ubieganie się o reelekcję grozi powrotem Trumpa do władzy. Afiliacja polityczna „New Yorkera” jest jednoznaczna i widoczna, ale Remnick podkreśla, że tygodnik wcale nie jest ▶

► przyczółkiem demokratów – tutaj chodzi o zagrożenie dla procesów demokratycznych.

A potrafisz sobie wyobrazić Nowy Jork bez „New Yorkera”?

– Potrafię, bo to miasto samo w sobie jest niezwykłym tygłem ludzi i myśli, większym niż ten jeden tygodnik. Do tego może on się wydawać anachroniczną ciekawostką – mówimy o tytule, który nie ma

Franczyza „Rodziny Addamsów” wywodzi się z 58 rysunków, które Charles Addams opublikował w „New Yorkerze” – taka jest geneza serialu „Wednesday”. To tytuł, który silnie wpływa na kulturę i ta kultura zawsze coś mu oddaje. Obserwowanie tego sprzężenia zwrotnego jest fascynujące. „New Yorker” jest nie tylko tytułem prasowym. To instytucja kultury.

z newsletterem, który trafia codziennie do 2 mln osób. Tygodnik działa na zasadzie prenumeraty i czerpie zyski z umowy, którą zawarł z czytelnikami: my oferujemy wam jakościowe dziennikarstwo, a wy nam płaciecie za subskrypcję. Rola reklamodawców jest znikoma.

Istotnym elementem mitu założycielskiego „New Yorkera” jest proces weryfikacji faktów. Harold Ross miał obsesję na punkcie przejrzystości każdego akapitu, zdania, słowa, nawet przecinka. Od lat 20. tygodnik ma duży dział fact-checkingu. Pracujący tam redaktorzy sprawdzają każdy artykuł na wylot. Proces jest wieloetapowy. Kiedy dziennikarz oddaje tekst do druku, musi razem z nim przekazać do wglądu wszystkie robocze notatki i nagrania. Każde zdanie, każda cyfra są weryfikowane. Według badań Instytutu Gallupa ponad 40% Amerykanów nie wierzy prasie. Być może tradycja „New Yorkera” to jedyna odtrutka na apokaliptyczne prognozy o końcu mediów informacyjnych i upadku czytelnictwa.

Mateusz Demski

Istotnym elementem mitu założycielskiego „New Yorkera” jest proces weryfikacji faktów.

zdjęć na okładkach, drukuje wiersze i teksty na 15 tys. słów o sprawach społecznych. Ale „New Yorker” jest o tyle żyty z miastem, że ewoluował razem z nim. Teksty publikowane w ciągu tych stu lat były organicznie połączone z czasami, w których powstawały. Ewolucja tygodnika jest wykładnikiem ewolucji kultury amerykańskiej i platformą dla całego spektrum otaczających nas fenomenów.

I to się nie zmienia? Dziś, w dobie dezinformacji, fake newsów, rozwoju AI?

– Renata Adler napisała w 2000 r. książkę „Gone: The Last Days of The New Yorker”. Pierwsze zdanie brzmi: „»New Yorker« is dead”, czyli „»New Yorker« jest martwy”. Była to duża przesada. W tym momencie, choć cały rynek amerykańskiej prasy przeżywa kryzys, „New Yorker” ma się znakomicie. Z nakładem 1,2 mln;

10-LECIE

Lar

Koncert Jubileuszowy

BILETY: TICKETCLUB.PL

10.01.2025
KLUB STODOŁA
WARSZAWA

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Zawód stary jak świat

21 stycznia 1919 r. w auli Uniwersytetu Monachijskiego odbył się wykład, który mimo upływu ponad stu lat zachowuje blask cennych nauk. Co usłyszeli monachijscy studenci? Wykładowca, prof. Max Weber, przedstawił słuchaczom swoje poglądy na temat polityki i polityków. „Polityka jako zawód i powołanie” – takim tytułem postużył się, próbując dotrzeć do audytorium. Powiodło się.

Poglądy Webera wciąż budzą żywy oddźwięk. Chociaż, co warto zaznaczyć, wykład był w rzeczy samej pełen okrucieństwa. W nawiasie dodam: przyjmuję, że prawda jest zawsze okrutna. Pewnie dlatego ludzie na ogół robią wszystko, by ją od siebie oddalić. Weber nie używał szminki, pokazał świat polityki bez makijażu, odsłonił jego rzeczywiste, niepokojące oblicze. Przekonywał, że działania polityczne mają zawsze charakter tragiczny. Bez względu na najlepsze intencje w polityce zawsze dzieje się złoto.

Czy potrafimy przyjąć taki punkt widzenia? W czasach, gdy wiodącą zasadą stał się infantylny optymizm i polityka wkracza stopniowo na ścieżkę telewizyjnej śniadaniowej? Z jej radosnym szczerbiotem i wzajemnym poklepywaniem się po ramieniu, z przymusem poprawności wykluczającej tematy, które mogłyby psuć nastrój przedpołudnia w przedszkolu dla dzieci zamożnych rodziców?

Jest też oczywiście ciemna strona księżycy. Równolegle rozkwita polityczny kanibalizm: brat pożera brata, zanurzysz go uprzednio w błocie. Końcowy bilans jest oczywiście pozytywny. Zaspokojone zostają dwa przeciwstawne popędy: miłość i nienawiść podają sobie ręce.

Weber miał wielki dar, potrafił myśleć i mówić uczciwie. Niezwyczajne dary, jak często jednak bywa, mogą się stać ciężarem i utrapieniem. Weber zapłacił wysoką cenę. Popadł w stan głębokiego rozstroju i załamania, co na lata wyłączyło go z aktywności akademickiej. Powrócił wszakże i dokonał rzeczy niemałych, wznosząc się na wyżyny talentu.

Wykład, o którym piszę, został szybko opublikowany i zrobił imponującą karierę. Śmiało można go zaliczyć do najcelniejszych konstatacji na temat władzy i rządzenia, a także na temat nieusuwalnych defektów ludzkiej natury. Zawierał przesłanie zadające kłam schematom pogodnej, oświeceniowej racjonalności, które wciąż, co tu dużo mówić, utrzymują nas w stanie chętnego samozadowolenia. Weber kaznodzieją nie był, ale namiętność prawdy dawała mu odwagę – potrafił nazwać rzeczy po imieniu.

Pomówmy więc o politykach. Początki polityki leżą w grzechu, jak można powiedzieć, stosując moralne

kryteria tradycji chrześcijańskiej i Oświecenia. Sprawowanie władzy zawsze bowiem oznacza przemoc. Tako rzecze Weber. Najpilniej strzeżonym sekretem polityki jest w rezultacie kłamstwo – wszystko przecież trzeba ukryć. Demaskowanie kłamstwa, dekonspirowanie nikczemnej błazenady to ciosy, których politycy najbardziej się obawiają. Sekretem polityki jest też udawanie cnót, nieustanne strojenie się w anielskie piórka. Słuchając polityków, można dojść do przekonania, że ich świat składa się wyłącznie z pokory i zacności. Jakież poruszające perory w obronie wartości słyszymy. Ileż w nich kłamliwej afektacji. Na Boga! O jakie „wartości” chodzi? Dzisiejsze pojęcie wartości (pozbawione wszelkiej treści) jest już tylko przejawem próżności pozwalającej deptać przeciwników.

Najpilniej strzeżonym sekretem polityki jest kłamstwo – wszystko przecież trzeba ukryć.

Weber tłumaczył, że świat polityki oparty jest na popędach, które w żadnym punkcie nie przystają do rzewnych proklamacji dobrej woli. Porządek władzy istnieje dzięki nagrodom. „Nagrody zewnętrzne” to „przygoda, zwycięstwo, łup, władza i beneficja”. „Nagrody wewnętrzne” to „zaspokojenie nienawiści i żądzy zemsty”. Oczywiście w złotych ramach „pseudoetycznego pieniackiego przekonania o własnej słuszności”, które domaga się „spotwarzania i oczerniania przeciwników”.

Weber wprowadził także bardzo ważne rozróżnienie (którego świat polityki na ogół nie raczy zauważać), mówiąc o etyce przekonań i etyce odpowiedzialności. Polscy politycy w roznamiętnieniu, które podszyte jest dzieckiem, kierują się mocnymi przekonaniem. Nawet po piachu gotowi są jeździć saniami, jeśli tylko nabiorą takiego przekonania. Uwielbiają ten stan rzeczy, napawają się swoją nieugiętą pryncypialnością. Bufonada, wysokie tony, egzaltacja służą jako trybuna, z której obwieszczają rychły koniec swoich wrogów.

Uczniowie zacnego pana Towiańskiego uważali, że potrafi on siłą woli zatrzymać statek płynący po morzu. Nasi przedstawiciele rodu olbrzymów są w stanie wyobrazić sobie loty na drzwiach od stodoły i wrogów wdeptanych w ziemię obcasem. O tym mówią, takich nauk nam udzielają. Rzeczywistą siłę zastąpić ma siła przekonań. A etyka odpowiedzialności? Prędzej garbaty przejdzie przez dziurkę od klucza, niż my się wyrzekniemy naszych przekonań. Charakterni jesteśmy. ■

Nieznani zabójcy górników

Proces milicjantów oskarżonych o strzelanie do górników z kopalni Wujek to wieloletnia walka o prawdę czy polityczna inscenizacja?

Mateusz Cieślak

Założę się, że nie wiecie, jakie przestępstwo zdaniem prokuratury i sądu popełnili funkcjonariusze plutonu specjalnego ZOMO, którzy 16 grudnia 1981 r. mieli strzelać do strajkujących ludzi. Funkcjonariuszy tych skazano za udział w bójce z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Nie bardzo wiadomo, jak funkcjonariusz wykonujący rozkazy i działający w ramach formacji mundurowej może uczestniczyć w bijatyce. Ale jasne jest przynajmniej, dlaczego przyjęto taką podstawę prawną – otóż nie udało się ustalić, którzy oskarżeni strzelali i którzy zabijali. Dokonano więc ekwilibrystyki prawnej, bo przecież ktoś za tę największą zbrodnię stanu wojennego musiał odpowiedzieć. I musiał pójść do paki.

Czy bójka może być zbrodnią? Oczywiście. Gdy chodzi o pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Oskarżyciel twierdził, że milicjanci dopuścili się właśnie takiej zbrodni. Pobili górników ze skutkiem śmiertelnym przy użyciu broni palnej. Bili poprzez strzelanie. Przy czym tego pobicia mieli się dopuścić również ci milicjanci, których w Wujku nie było. A jeszcze inni funkcjonariusze plutonu specjalnego, którzy w pacyfikacji kopalni uczestniczyli, zdaniem prokuratury zbrodni nie popełnili, lecz byli jej świadkami.

To była bitwa

Jednego nikt nigdy nie kwestionował. W Wujku doszło do bitwy. Przed szturmem sił złożonych z Milicji Obywatelskiej i wojska górniczego się uzbroili. Mieli nie tylko kamienie i ciężkie śruby, lecz także tańcuchy



Zeznania w procesie milicjantów składa świadek Piotr G., ówczesny zastępca szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego. Katowice, 22 marca 2000 r.

czy wykonane z naostrzonych prętów piki. Toteż wśród milicjantów również było wielu rannych.

Bitwa została przerwana, gdy padły strzały. Początkowo górnicy myśleli, że strzelano tylko na postrach. Ale gdy się okazało, że kilku strajkujących zostało trafionych, zapadła decyzja o zakończeniu protestu. Bilans ofiar wśród okupujących kopalnię to 9 zabitych i 23 z ranami postrzałowymi. Wśród szturmujących było 41 rannych milicjantów i żołnierzy, w tym 11 ciężko.

Pierwsze dochodzenie dotyczące tych wydarzeń wszczęto natychmiast. Po miesiącu zostało umorzone. Milicjanci mieli działać w ramach obrony koniecznej. Po zmianie ustrojowej prokuratura ponownie wszczęła śledztwo. Jego prowadzenie powierzono młodemu i ambitnemu śledczemu. Ten wzywał milicjantów z plutonu specjalnego na przesłuchania,

a następnie składał im propozycję nie do odrzucenia. Kto pójdzie na współpracę, będzie świadkiem, w przeciwnym razie stanie się oskarżonym.

Proces do powtórki

Proces oskarżonych milicjantów trzeba było kilka razy powtarzać. Pierwszy bowiem zakończył się nie tak, jak powinien. Sędziowie część oskarżonych uniewinnili, a w przypadku pozostałych umorzyli postępowanie ze względu na brak dowodów winy. Za drugim razem wyrok brzmiał podobnie. Zdaniem sędziów prokuratura nie przedstawiła wystarczających dowodów na to, że oskarżeni milicjanci przyczynili się do śmierci górników. Sąd odwoławczy nakazał po raz trzeci przeprowadzić proces, uznając, że niedostatecznie zbadano jeden z dowodów, którym miał być tzw. raport taterników.

Raportu tego nikt nigdy nie widział. Miał on powstać na szkoleniu funkcjonariuszy plutonu specjalnego w Tatrach. Podczas zakrapianych biesiad instruktorzy ponoć nasłuchali się opowieści milicjantów o szturmie. Potem je spisali i raport podobno przekazali członkom solidarnościowego podziemia. Miał on trafić do rąk Zbigniewa Bujaka, który jednak przed sądem zeznał, że niczego takiego nie pamięta.

Trzeci proces odbywał się pod przewodnictwem sędzi, która dopiero co otrzymała nominację na sędziego Sądu Okręgowego w Katowicach. Była żoną funkcjonariusza katowickiej delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Później została prezesem katowickiego sądu okręgowego, a mąż w trakcie procesu – szefem delegatury. Składowi orzekającemu pod przewodnictwem sędzi wreszcie udało się doprowadzić do skazania. Oskarżeni usłyszeli wyroki od dwóch i pół do trzech lat pozbawienia wolności, złagodzone o połowę na mocy amnestii z 1989 r. Jeden z oskarżonych został uniewinniony.

Niewinni na ławie oskarżonych

Tym uniewinnionym był milicjant, który w 1981 r. zajmował stanowisko zastępcy komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Katowicach i odpowiadał za pion prewencji. Podlegała mu drogówka. Ale inni członkowie kierownictwa komendy, być może zorientowani, co się święci w grudniu 1981 r., zachorowali. To on był zatem najwyższym szarżą milicjantem uczestniczącym w działaniach w kopalni Wujek. I to jemu prokuratura zarzuciła sprawstwo kierownicze polegające na wysłaniu plutonu specjalnego.

Wśród oskarżonych było jeszcze dwóch milicjantów z pewnością niewinnych, choć akurat w ich przypadku wyroki uniewinniające nie zapadły. Jeden to funkcjonariusz plutonu specjalnego, który przed wprowadzeniem stanu wojennego zachorował na cukrzycę. Jadąc z innymi na akcję w kopalni Manifest Lipcowy, dostał ataku choroby i cały szturm na kopalnię przesiedział w milicyjnym radiowozie. Następnego dnia, gdy odbywał

się szturm na kopalnię Wujek, funkcjonariusz ten spędził w koszarach.

Drugi milicjant z plutonu specjalnego otrzymał rozkaz, by kopalnię Wujek szturmować z helikoptera. Jednak ze względu na silne zadymienie kopalni helikoptera nie skierowano do działań. Podczas gdy inni uczestniczyli w akcji, funkcjonariusz czekał na rozkazy przy maszynie na katowickim lotnisku Muchowiec.

Papier wskazał sprawców

Obaj milicjanci sporządzili mimo to raporty z użycia broni i amunicji. Podali w nich fikcyjne dane, gdyż tego oczekiwano od wszystkich członków plutonu specjalnego po akcji w Wujku. A że prokurator, nie mając innych dowodów, stawiał zarzuty na podstawie tych raportów, oni również trafili na ławę oskarżonych. W przypadku funkcjonariusza chorego na cukrzycę o umorzenie postępowania prosili podczas kolejnej powtórki procesu oskarżyciele posiłkowi reprezentujący Solidarność i rodziny ofiar: adwokaci Leszek Piotrowski i Janusz Margasiński. Ale drugi milicjant do samego końca zasiadał na ławie oskarżonych i został skazany.

Bilans ofiar wśród okupujących kopalnię to 9 zabitych i 23 z ranami postrzałowymi. Wśród szturmujących było 41 rannych milicjantów i żołnierzy, w tym 11 ciężko.

Od początku oskarżonych nazywano zomowcami. To jednak wymaga wyjaśnienia. Lata 70. były okresem rozkwitu terroryzmu w Niemczech, we Włoszech czy we Francji. Mało kto pamięta, ale i w Polsce doszło do aktu terroru. W 1971 r., w przeddzień Dnia Milicjanta, wyleciała w powietrze aula Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Sprawcami zamachu byli dwaj bracia, z których jeden otrzymał karę śmierci, zamienioną następnie na 25 lat więzienia. Drugi dostał 25 lat. Pod koniec lat 70. w ramach jednostek ZOMO utworzono plutony specjalne, potocznie nazywane „brygadami tygrysa” (od popularnego wówczas francuskiego serialu, emitowanego również przez TVP). Były to typowe oddziały

antyterrorystyczne. Ich funkcjonariuszy szkolono do likwidowania zagrożeń z użyciem broni ostrej. Wysłanie ich na teren kopalni, uzbrojonych w pistolety maszynowe, rzeczywiście było ryzykowną decyzją.

Czy jednak do górników strzelali tylko funkcjonariusze plutonu specjalnego? Oni sami zeznawali, że albo nie oddali żadnego strzału, albo strzelali na postrach, nad głowami górników. Można im oczywiście nie wierzyć, lecz już na etapie śledztwa, a potem powtarzanych procesów, konsekwentnie pomijano rolę i odpowiedzialność wojska obecnego podczas akcji w Wujku.

Wojsko czyste jak łąza

Podczas procesu zeznawali świadkowie, którzy widzieli, że w kierunku górników z pewnością strzelały też inne osoby. Jeden ze świadków, górnik, zeznał, że widział stojącego na czołgu mężczyznę, który wziął karabin, wymierzył i oddał strzał. Inny świadek pamiętał kogoś, kto stał w samochodzie terenowym typu gazik i, trzymając oburącz pistolet, także z niego strzelał. Ani jeden, ani drugi strzelec nigdy nie został zidentyfikowany.

Świadkowie mówili tylko, że obaj byli umundurowani, ale nawet nie potrafili opisać rodzaju munduru. Zarówno w trakcie śledztwa, jak i później, podczas procesu, koncentrowano się na funkcjonariuszach plutonu specjalnego, pomijając inne możliwe tropy.

Według ustaleń śledztwa funkcjonariusze plutonu specjalnego byli uzbrojeni w pistolety maszynowe PM-63 Rak, znane z niskiej celności. Tymczasem rany górników wskazywały na oddawanie precyzyjnych strzałów: w klatkę piersiową, brzuch czy głowę. Cechy ran sugerowały, że użyto broni długolufowej lub snajperskiej, co rodzi pytania, kto faktycznie strzelał. Część postrzałów miała charakter przelotowy, co wykluczałoby amunicję stosowaną w PM-63. ▶

► Postrzały te wyglądały raczej na skutek użycia karabinów, być może snajperskich.

Jednym z większych skandali związanych z procesem było wykrycie fałszerstwa mapy sytuacyjnej Wujka, która miała wskazywać pozycje funkcjonariuszy podczas akcji. Na mapie „przeniesiono” lokalizację niektórych obiektów, w tym budynku kotłowni. Zmieniono miejsca oznaczone przez

infiltrowanym przez zagraniczne wywiady miastem w Polsce. Zainteresowanie „przyjaciół” województwem katowickim nie powinno dziwić ze względu na nasycenie przemysłem i bliskość południowej granicy. W Katowicach działały konsulaty radziecki i czechosłowacki. Swoje przedstawicielstwo miało tu KGB. Działali agenci czechosłowackiej StB i wschodniemieckiej Stasi. Znałe są nawet

a prokuratorzy nie podjęli działań, by zweryfikować jego treść.

Ludzie się bali

Co więc przyświecało prowadzącym śledztwo? Czy chodziło o doliczanie do prawdy, czy jedynie o to, by wykonać zamówienie polityczne i znaleźć winnych zbrodni? Nawet nie mając dowodów? Ktoś przecież musi odpowiedzieć za śmierć ludzi w Wujku. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że po wielu latach od tragedii niektórzy nadal bali się ujawnić to, co wiedzą?

W trakcie procesu dotyczącego tragicznych wydarzeń w kopalni Wujek skontaktował się ze mną górnik, który podczas pacyfikacji kopalni Manifest Lipcowy znalazł łuskę po wystrzelonym naboju. Przekazał mi ją, błagając, bym nie ujawniał jego tożsamości. Łuska znalazła się następnie wśród dowodów badanych przez sąd. Nikt nigdy nie przesłuchał natomiast człowieka, który był świadkiem, że w działaniach w Wujku uczestniczył snajper. Strzelec wyborowy zajmował stanowisko na dachu jednego z wieżowców w pobliżu kopalni.

Już w latach 80. zrodziła się teoria, że przy okazji pacyfikacji śląskich zakładów przemysłowych montowano prowokację. Miałyby ona służyć obaleniu Wojciecha Jaruzelskiego, który wśród jastrzębi z aparatu partyjnego uchodził za zbyt łagodnego. Być może coś w tym było. Strzały przecież padły nie tylko w Wujku. Broni palnej użyto dzień wcześniej w kopalni Manifest Lipcowy. Tam jednak, choć byli ranni, nikt nie zginął.

Czy wydarzenia z pierwszych dni stanu wojennego zostały dostatecznie wyjaśnione? Wiele faktów (nie tylko tych podanych powyżej) wskazuje, że chyba nie. A przecież tamten czas do dziś budzi emocje. Do dzisiaj stan wojenny jest orężem w walce politycznej. Dość przypomnieć, że obecną koalicję rządzącą PiS nazywa „koalicją 13 grudnia”. Konstatacja jest przykra. Wygląda na to, że nawet po wielu latach od tamtej tragedii ważniejsze od faktów są mity.

Mateusz Cieślak

Nie sposób zrozumieć pominięcia wątków „bratnich służb”. W tamtym czasie Katowice stały się najbardziej infiltrowanym przez zagraniczne wywiady miastem w Polsce.

oskarżonych milicjantów. Maciej Sz., jeden z oskarżonych, podkreślał, że zmiany te miały na celu dopasowanie dowodów do założeń aktu oskarżenia. Chodziło o to, że wedle pierwotnych wskazań niektórzy milicjanci znajdowali się w takich miejscach, skąd nie mogliby strzelać do tych górników, którzy zostali trafieni.

Agentów tam nie było

Tym, czego nie sposób zrozumieć, było całkowite pominięcie wątków „bratnich służb”. W tamtym czasie Katowice stały się najbardziej

nazwiska agentów tej ostatniej. Informacje pozyskane przez te służby mogłyby rzucić nowe światło na wydarzenia z 16 grudnia 1981 r. Jednak w toku wieloletnich procesów nikt nie podjął próby zbadania archiwów w Berlinie, Pradze czy Bratysławie.

Przykładem pominiętych tropów jest list, który w latach 90. trafił do Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach. Jego autor Oswald Guziur wskazywał możliwe zaangażowanie czechosłowackiego wywiadu w wydarzenia w kopalni Wujek i podawał nazwiska osób, które wiedziały coś na ten temat. List zaginął,

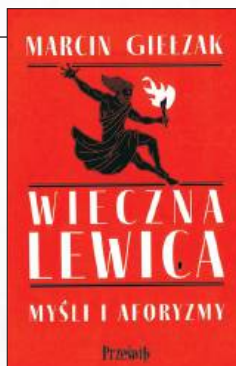
KSIAŻKI

Marcin Giełzak

Wieczna lewica
Myśli i aforyzmy

Wydawnictwo Prześwity, Warszawa 2024

Przedstawiając czytelnikom 784 aforyzmy zgromadzone w pięciu księgach: „Polityka i politycy”, „Wiara i niewiara”, „Państwa i narody”, „Czasy i obyczaje” i „Antybiogramy”, autor zaprasza do rozważań nad pytaniem: „Czym jest lewica?”. W zaproszeniu do lektury podkreśla: „Słusznie ktoś stwierdził, że ludzie nie czekają na lewicę, oni czekają na tanie mieszkanie, sprawną służbę zdrowia, godną emeryturę, na więcej życia w życiu. Ludzie lewicy zdają się jednak na coś czekać. Minęły lata, dosłownie dziesięciolecia, odkąd ostatni raz można było bez ironii czy przesady mówić o wielkiej idei czy masowym ruchu, które ożywiłyby bliskie nam wartości”. Deklaruje również, że bliski mu jest etos przedwojennej, emigracyjnej i podziemnej Polskiej Partii Socjalistycznej. A dalej przyznaje, że choć nie wie, jak opisać precyzyjnie i uczenie, czym jest lewica, biorąc pod uwagę jej ciągłą zmienność zależnie od miejsca, czasu i kontekstu, to sądzi, że umie pokazać, jakim chciałby widzieć człowieka lewicy. Dlatego próbuje go uzbroić w poręczne maksymy i praktyczne przykłady. Zaproponowany czytelnikom zbiór myśli nie jest przewidziany do jednorazowej lektury, jest przygotowany do namyslenia.



Z Wierzchosławic do Londynu

Musiąłem obalić nieprawdę umniejszającą rolę Skąpskich w operacji Most III – wywiezienia Witos z okupowanej Polski

Rozmawia Paweł Dybicz

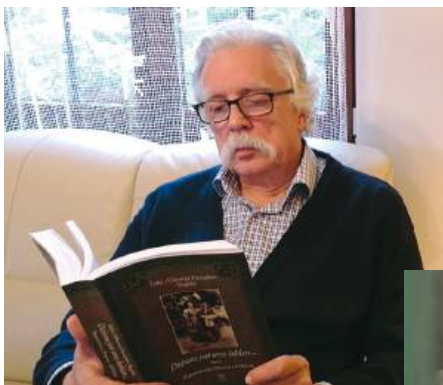
Co legło u podstaw książki „Sprawa Witos. Kraków 1944”? Chęć pokazania dokonań rodziny Skąpskich? Przedstawienia okoliczności próby przetrwania Wincentego Witos do Londynu? Czy ukazania jego rozterek: warto opuszczać kraj, skoro niedługo nie będzie już Niemców?

– W mojej publicystyce z reguły – a w książkach zawsze – znajdują się wątki rodzinne czy osobiste, ocierające się o jakiś fragment wielkiej historii. Wincenty Witos jest postacią tak znaczącą, że udział kuzynów mojego ojca w operacji Most III – próbie przetrwania Witos do Londynu – zasługiwał na większe odnotowanie. I wreszcie była chęć ukazania jego dylematów. Wtedy, jesienią 1944 r., Witos wiedział, że byłby wsparciem dla Mikołajczyka w Londynie, ale był już bardzo schorowany, miał jednak świadomość, że w życiu Polaków kończy się pewien okres polityczny, nadchodzą zmiany. W Krakowie czytał prasę, od prawej do lewej strony, łącznie z gadzinówkami. Miał pełną orientację, co się dzieje i co może się wydarzyć. Poza tym wśród powodów, dla których znalazł się w Krakowie, była obawa, że Niemcy wywiozą go do III Rzeszy. Od 1939 r. kilkakrotnie usiłowali namówić go do stworzenia rządu kolaboracyjnego. **W przypisach można znaleźć odniesienie do artykułu „Witos, Mikołajczyk i bracia Skąpscy – rok 1944”, z XX tomu rocznika „Niepodległość i Pamięć”, wydawanego przez Muzeum Niepodległości.**

– Ten tekst ukazał się w 2013 r. i od tego czasu moja wiedza znacznie się poszerzyła. Książka, też wydana przez Muzeum Niepodległości, jest obszerniejszym, dokładniejszym, opartym na większej liczbie źródeł opisem tamtych wydarzeń.

„Sprawa Witos” to coś więcej niż przyczynek do biografii chłopskiego przywódcy?

– Każda moja publikacja jest poprzedzona znaczną kwerendą, pracą nad źródłami, opracowaniami znajdującymi się w archiwach i bibliotekach. Pobyt w nich uzmysłowił mi, że w biografii Witos, nawet w ogromnej książce Andrzeja Zakrzewskiego, operacja Most III właściwie nie istnieje. Więcej, natknąłem się na wspomnienia Euge-



RAFAŁ SKĄPSKI

– prawnik, wydawca, działacz kultury, autor licznych publikacji, w tym książkowych

niusza Bielenina, działacza ludowego, dziennikarza, który przypisał sobie organizację tej akcji. Musiałem obalić tę nieprawdę, umniejszającą rolę Władysława Skąpskiego.

Oprócz niego w operacji brali udział inni Skąpscy.

– Tak, ale Władysław był głównym jej organizatorem, a to, że do akcji wyznaczył dwóch kuzynów, dowodzi, że w konspiracji darzył ich pełnym zaufaniem. W tamtym czasie był szefem wywiadu i kontrwywiadu okręgu krakowskiego AK. I jemu zlecono opracowanie planu wywiezienia Witos z Wierzchosławic, gdzie był pod stałą obserwacją Niemców,

oraz przewiezienia go w ustronne miejsce, skąd z kolei mógłby niezauważony zostać przetransportowany na teren lądowania samolotu, który miał przylecieć z Londynu przez Włochy. Władysław Skąpski jako miejsce oczekiwania na samolot wybrał Kraków, mieszkanie swojego brata stryjecznego Boleśława Skąpskiego. Za sprawę transportu Witos odpowiadał kolejny Skąpski, Zygmunt, który miał firmę transportowo-budowlaną.

W książce jest fragment nt. relacji spisanej na maszynie przez Władysława Skąpskiego. Zarazem czytamy o znalezieniu przez jego wnuczkę rękopisu referującego Most III. We fragmentach te dwie relacje się różnią. Czym to tłumaczyć?

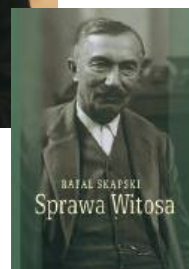
– Władysław Skąpski po 1945 r. działał w podziemiu. W WiN pełnił tę samą funkcję co w AK; aresztowany

otrzymał wyrok, został zwolniony z więzienia w końcu 1956 r. Po uwolnieniu postanowił dla rodziny i potomności opisać niektóre wydarzenia z lat wojny. Maszynopis w zasadzie jest ograniczony do operacji Most III, to rodzaj raportu. Rękopis, urwany w pół zdania, sta-

nowi szerszą relację, są w nim np. oceny Witos, zapis rozmów z nim.

Czy „Sprawa Witos” to swoista zapowiedź opisanego losów rodziny Skąpskich? Pewnego rodzaju kontynuacji wspomnień babki Zofii z Odrowąż-Pieniążków Skąpskiej?

– Rodzina Skąpskich jest bardzo rozległa, ma ciekawe koligacje, np. z Tetmajerami. Mój pradziadek miał dwie żony i ośmioro dzieci, nie licząc już wnuków i prawnuków. Warto ich upamiętnić, tym bardziej że wielu zostawiło różnego rodzaju notatki ułatwiające powstanie sagi o Skąpskich. Ludziach, którzy nie tylko otarli się o historię. Z pewnością opiszę ich losy. ■



Fenomenem był duży przyrost naturalny

W latach 90. zlikwidowano ponad 40% zakładów przemysłowych

Wiesław Żółtkowski

Warto spojrzeć na polską gospodarkę z dłuższej perspektywy, uwzględniając okres zarówno realnego socjalizmu Polski Ludowej, jak i kapitalizmu III RP. Oceny tych czasów sprowadzane tylko do rozwiązań ustrojowych nie są słuszne. Warto zauważyć, że wśród państw kapitalistycznych są i najbogatsze, i bardzo biedne. Opisuując zaś gospodarowanie po 1945 i po 1989 r., trzeba zacząć od tego, że różne były punkty startu, warunki zewnętrzne,

które dopiero musiały się uczyć funkcjonowania w kolektywach pracowniczych.

Budowa przemysłu priorytetem PRL

Reakcją na zacofanie kraju widoczne w II RP była budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego. Inwestycje finansowano skromnym kapitałem państwowym wobec braku kapitału prywatnego i niechęci kapitału zagranicznego. To nie mogły być działania na wielką skalę. Priorytetem Polski Ludowej była budowa

kraju przemysłowym, a większość ludzi mieszkała w miastach.

Gospodarka powojenna rozwijała się w warunkach realnego socjalizmu, z dominującym centralnym zarządzaniem, rozdzielnictwem nakazowym, a także inwestowaniem kosztem konsumpcji indywidualnej. Powodowało to niedostatek towarów konsumpcyjnych na rynku. Utrzymywano ceny określane administracyjnie. W opozycji do tego stanu w reformie gospodarczej po 1989 r. równowagę ekonomiczną osiągnięto przede wszystkim poprzez silne ograniczenie popytu. Wzrost podaży mógł przyjść dopiero później.

O warunkach życia decyduje poziom konsumpcji, dostępny ze względu na wyniki gospodarowania. W PRL konsumpcja przegrywała z inwestowaniem. Już w 1950 r. akumulacja wynosiła 20,1%, w 1960 r. – 23,9%, w 1970 r. – 27,1%, a w 1975 r. nawet 35,7%. Dla porównania – w 2000 r. akumulacja stanowiła 23,3%, ale w 2010 r. tylko 20,6% PKB. Potem było jeszcze gorzej, bo w 2022 r. wskaźnik ten wynosił 16,8%.

W PRL budowano mieszkania, ale ciągle nie nadążano za potrzebami. Wszystko to działo się w sytuacji dużego wyżu demograficznego, gdy co roku przybywało po kilkaset tysięcy młodych ludzi. Teraz przybywa ich o połowę mniej, a perspektywa uzyskania mieszkania nie jest lepsza. Przez cały okres Polski Ludowej ceny wielu towarów i usług nie równoważyły popytu z podażą. Wyrównywały to świadczenia w naturze dotyczące przede wszystkim działalności socjalno-bytowej przedsiębiorstw, takie jak wczasy pracownicze i kolonie dla dzieci, przedszkola i stołówki

Po 1945 r. dziedziczyliśmy zacofaną gospodarkę. Nastąpił wielki przepływ ludzi ze wsi do miast. Były to kadry o niskich kwalifikacjach.

systemy własności. Odmienne były wyzwania związane z etapem rozwoju kraju, niezależnie od ustroju politycznego.

Po 1945 r. dziedziczyliśmy zacofaną gospodarkę. Polska międzywojenna miała oligarchiczną strukturę społeczną, z dużą rolą zubożałego ziemiaństwa. Niezbyt liczna burżuazja była w znacznej części niemiecka i żydowska. W miastach mieszkało tylko 27,2% ludzi. Biedny kraj został bardzo zniszczony wojną. Ludność zmniejszyła się z 34,8 mln do 24 mln i zmieniła się jej struktura społeczna. Żydzi zostali wymordowani, wyrzucono z kraju Niemców. Bazą dla gospodarki stało się społeczeństwo etnicznie polskie, w dominującej części wiejskie, bez doświadczenia pracy w przemyśle. Nastąpił wielki przepływ ludzi ze wsi do miast. Były to kadry o niskich kwalifikacjach,

przemysłu – sposób na wyrwanie się z zacofania gospodarczego. Naśladowano gospodarkę ZSRR, ale i bez tego naturalnym warunkiem rozwoju stało się uprzemysłowienie. Produkcja stali i cementu była podstawą inwestycji infrastrukturalnych, rozwoju innych przemysłów, elektryfikacji kraju i budownictwa. Uprzemysłowienie było ważne w kontekście rozwoju zbrojeń w okresie zimnej wojny. Nacjonalizacja przemysłu oraz centralne sterowanie gospodarką pozwalały gromadzić zasoby do realizacji wytyczonych celów. Na początku nie było innych realnych źródeł finansowania. W latach 1945-1989 zbudowano w Polsce 1634 nowe zakłady przemysłowe. Uwzględniając zakłady powstałe wcześniej, ale modernizowane, w całym przemyśle w 1988 r. funkcjonowało 6549 zakładów. Tym samym w 1989 r. Polska była już

pracownicze, budownictwo zakładowe, domy kultury i obiekty sportowe, turystyka oraz opieka nad emerytami. Zniknięcie tych świadczeń po 1989 r. bardzo obniżyło poziom życia rodzin robotniczych. Jedni uważają to jednak za zaletę, drudzy wprost przeciwnie.

Nie tylko teraz, ale i wówczas widziano, że mniejszym rozpiętościom w poziomie dochodów realnych ludności musi towarzyszyć większa jednolitość, szarżyzna i monotonia w dziedzinie konsumpcji. Takie widzenie „szarej” przeszłości PRL jest powszechne w XXI w. i prowokuje do krytycznej oceny tego okresu. Dopiero po 2015 r. opcja ta nieco się zmieniła, wraz z rosnącą rolą świadczeń społecznych.

Sytuacja gospodarcza lat 80. odbierana jest jako wizytówka całej PRL. Objawem bezpośrednim kryzysu tej dekady był krach finansowy państwa. W latach 70. Polska dużo inwestowała w nowe technologie pozyskiwane za kredyty. Zbudowano wiele zakładów, lecz produkcja w nich nie dała dochodów pozwalających spłacać długi. Utraciliśmy zdolność bieżącego obsługiwania kredytów. Ta wiedza powinna być pamiętana w kontekście zadłużania kraju w trzeciej dekadzie XXI w.

Mniej dzieci, więcej emerytów

W 1945 r. ludność Polski wynosiła 24 mln, a w 1990 r. 38,1 mln. Tylko w latach 80. wzrosła o 2,5 mln. Dla porównania – w dekadzie 2010-2020 ludność Polski wzrosła z 38,2 mln do 38,3 mln. Można zauważyć, że wysoki przyrost naturalny charakteryzuje kraje biedne, np. afrykańskie. Ale tam rosną nowe, liczne pokolenia bez szkoły i pracy, bez perspektyw. W całym okresie Polski Ludowej duży przyrost naturalny ludności oznaczał konieczność ponoszenia wielkich kosztów wychowania rosnącej liczby dzieci, a później stworzenia odpowiedniej liczby stanowisk pracy oraz wybudowania mieszkań.

W trzech dekadach III RP przyrost naturalny zmalał radykalnie. Było to przejściowo korzystne dla gospodarki, bo zmniejszyło wydatki na opiekę nad dziećmi, na nowe stanowiska pracy czy mieszkania. Równocześnie

nie było jeszcze dużego przyrostu liczby emerytów. Ten okres jednak się kończy. Dzieci jest coraz mniej, za to przybywa emerytów, a to już wyzwanie dla naszej przyszłości.

Można trafić na oceny, że w całym okresie II RP i PRL mieliśmy podobną wartość PKB na mieszkańca jak kraje Europy Zachodniej. Ale stwierdzenie takie nie uwzględnia istotnych różnic między okresem II RP i PRL. Międzywojnie charakteryzowało się ogromnym zróżnicowaniem cywilizacyjnym, rozziwem między Polską A, B i C,

W latach 1945-1989 zbudowano w Polsce 1634 nowe zakłady przemysłowe. W całym przemyśle w 1988 r. było 6549 zakładów.

czasem dodawano D. Od innych krajów Europy ówczesna Polska odstawała analfabetyzmem, poziomem elektryfikacji, infrastruktury gospodarczej, uprzemysłowienia i życia ludzi. W Polsce Ludowej te różnice zniwelowano, wprowadzono równość w dostępie do wytwarzanych dóbr. To radykalnie różniło społeczeństwo Polski Ludowej od II RP.

Z dużego dystansu można też powiedzieć, że procesy, które w innych krajach rozwijały się przez stulecia, u nas następowały nagle. Po 1918 r. rozpoczęto budowanie po latach rozbiorów państwa nowoczesnego, już nie feudalnego, co w innych krajach działo się przez cały XIX w. Potem zmiany polityczne zadecydowały o budowie po 1945 r. państwa realnego socjalizmu. Równie nagłym i politycznym procesem stało się przejście po 1989 r. do gospodarki kapitalistycznej. Nie były to przemiany ewolucyjne, ale zdarzenia nagłe, z udziałem czynników zewnętrznych.

Większość ludzi mieszkała w miastach

Start gospodarki po 1989 r. był zupełnie inny niż po 1945 r. Kraj był uprzemysłowiony, większość ludzi mieszkała w miastach. Mieliśmy społeczeństwo wykształcone, z dużym zatrudnieniem w przemyśle. Likwidacja części przedsiębiorstw

spowodowała nadmiar wykwalifikowanych pracowników, ci gotowi byli pracować za niskie wynagrodzenie. Stąd wysoka rentowność inwestycji, co stanowiło zachętę dla zagranicznego i pojawiającego się polskiego kapitału.

W latach 90. zlikwidowano ponad 40% zakładów przemysłowych. Wtedy ten proces postrzegano na dwa sposoby. Po pierwsze, że następuje wyprzedaż majątku narodowego. Po drugie, że polski przemysł jest słaby, bo nie wytrzymuje międzynarodowej

konkurencji. Oba poglądy miały uzasadnienie. Przemysł był budowany w ramach zamkniętej wspólnoty RWPG. Jego zdolności eksportowe odnosiły się do tych krajów i jeszcze do krajów tzw. Trzeciego Świata. Przedstawienie przedsiębiorstw przemysłowych na wymogi konkurencyjnego rynku wymagało likwidacji zakładów pracujących w starych technologiach lub szkodliwych dla środowiska. Równocześnie potrzebne było wsparcie firm wysokiej technologii, np. branży elektrotechniki. Zamiast tego w pierwszej kolejności sprzedano zakłady najlepsze. Środki ze sprzedaży przeznaczone nie na inwestowanie w rekonstrukcję przemysłu, tylko na konsumpcję. Zmiany miały się dokonywać same, bez ingerencji polityki przemysłowej. Była to praktyka niespotykana w świecie.

W III RP żyje się dużo lepiej niż w PRL

Po latach ukształtował się nowy ład gospodarczy z dominującym udziałem firm z kapitałem zagranicznym. Większość pracowników zatrudniona jest w małych firmach polskich, ale w podstawowych branżach kierunki rozwoju i przemian określają zagraniczni właściciele dużych przedsiębiorstw. Polskie zakłady są podwykonawcami zagranicznych korporacji lub obsługują lokalne rynki. Tylko ▶

► w kopalnictwie i szeroko rozumianej energetyce dominuje polski, państwowy kapitał. I w tym obszarze mamy wiele nierozwiązanych problemów wymagających wielkich i odkładanych inwestycji. Zmiany te już się ugruntowały, ludzie mają pracę, a budżet podatki. Na rynku pełno jest towarów. Jednak podstawowa marża z gospodarowania trafia do dużych i silnych, a są nimi zagraniczne korporacje.

Po wejściu do UE Polska weszła do sojuszu państw najbardziej rozwiniętych. Przyjęto normy gospodarowania i instytucje gospodarcze związane z prawem europejskim. Nastąpiło otwarcie naszej gospodarki na rynek europejski. Trzeba pamiętać, że przez cały XX w. mieliśmy różnego rodzaju blokady, silne cła i sankcje gospodarcze na rynkach krajów Zachodu. Inwestycje zagraniczne wdrożyły nowe technologie i nową kulturę gospodarowania, dającą duży wzrost wydajności pracy. Uczestniczymy w procesie doganiania innych wskutek napływu kapitału z zewnątrz, co przyniosło inwestycje ponad poziom wyznaczony wewnętrznymi oszczędnościami. Nastąpił przepływ technologii, których nie musimy od początku wymyślać. Trzeba jednak zauważyć, że w pierwszych latach „szokowej” transformacji gospodarczej PKB spadł prawie o 20%, radykalnie wzrosły bezrobocie i inflacja (choć ta zaczęła się wcześniej). 2 mln Polaków opuściło kraj. Jeśli uwzględnić jeszcze wcześniejszy kryzys lat 80., to Polska wyraźnie cofnęła się w rozwoju gospodarczym wobec krajów sąsiednich. Dlatego później wzrost gospodarczy był wyższy niż w tych krajach,

bo startowaliśmy z poziomu znacznie poniżej potencjału naszej gospodarki.

Jesteśmy krajem półperyferyjnym, ale wobec wysokiego rozwoju centrum osiągnęliśmy wyraźne poprawienie gospodarki i warunków życia społeczeństwa. Oczekiwania co do warunków życia mamy jak bogatsi sąsiedzi, choć wytwórczość własna jest nadal niższa. Trzeba mieć świadomość, że nasz kraj w UE ciągle zajmuje miejsce na dole tabeli państw uszeregowanych według bogactwa. W 2021 r. średnia siła nabywczą per capita wynosiła 8,3 tys. euro, czyli ok. 45% poniżej średniej europejskiej. Jednocześnie tylko 82 polskie powiaty dysponowały siłą nabywczą na mieszkańca wyższą od średniej krajowej, podczas gdy 298 było poniżej tego poziomu. Ten fakt trzeba uwzględnić w porównywaniu okresu Polski Ludowej z III RP.

Jest dobrze i co dalej

Po trzech dekadach III RP zaczęliśmy oceniać, że Polska po okresie wykorzystania prostego potencjału gospodarki i korzyści z inwestycji zewnętrznych wyczerpała motory rozwoju. Uświadomiono sobie brak innowacji i fakt, że jesteśmy gospodarką odtwórczą bardziej niż za PRL. Wówczas byliśmy innowacyjni na miarę gospodarki RWPG, produkowaliśmy własne maszyny i urządzenia, teraz nie mamy swoich istotnych technologii.

Z perspektywy 2024 r. można zauważyć wiele wyzwań, które wymagają nowych rozstrzygnięć. Dług publiczny nie jest duży w porównaniu z innymi krajami UE, ale już koszt jego obsługi okazuje się znaczny i wkrótce może osiągnąć 10% budżetu rocznego. Ograniczy to wydatki na inne cele, takie jak służba zdrowia, edukacja czy potrzebne inwestycje. W związku z wojną na Ukrainie realizujemy program wielkich zbrojeń. W czasie wojny koreańskiej w latach 50. pod potrzeby zbrojeń rozwijaliśmy przemysł ciężki, który służył także np. budownictwu. Teraz kupujemy gotową broń za granicą, a to inaczej wpływa na gospodarkę.

Dług zaciągany na inwestycje produkcyjne ma sens, poprawia gospodarkę. Dług finansujący kupno broni za granicą jest ekonomiczną katastrofą. Taka militaryzacja kraju będzie stałym kosztem ponoszonym w imię wątpliwie zdefiniowanego bezpieczeństwa.

Mamy nierozwiązane problemy w dostosowywaniu energetyki do polityki przeciwdziałania zmianom klimatycznym. Planujemy liczne inwestycje infrastrukturalne. Są one zdefiniowane politycznie i uruchomiły pełną emocji dyskusję, bez koniecznej kompetencji (dobrym przykładem jest Centralny Port Komunikacyjny). Równocześnie nie mamy własnego finansowania tych przedsięwzięć ani zasobów kadrowych i technicznych do ich realizacji. Osobnym problemem jest kryzys sądownictwa, co podważa pewność zawieranych umów.

Przez cały okres III RP stosuje się silne preferencje podatkowe dla biznesu prywatnego. Nie zakładają one preferencji dla innowacji czy eksportu, są kierowane do wszystkich właścicieli. Podobnie jest z finansowaniem rolników, gdy dotacje pieniężne oblicza się od hektara, a nie od produkcji. Te sposoby wsparcia biznesu prywatnego nie służą rozwojowi, podtrzymują jedynie prywatną własność.

W trzeciej dekadzie XXI w. w dominacji kapitału zagranicznego i wpływie instytucji unijnych zaczyna się widzieć bariery rozwoju polskich firm. Brakuje zarazem własnych działań i rywalizacji w obszarze gospodarki europejskiej. UE tego nie zakazuje, ale działań takich nie podejmujemy, a dodatkowo o ich brak zaczynamy oskarżać instytucje unijne.

Historia gospodarcza Polski pokazuje, że rozwój zawsze wynikał z otwarcia na innych. Realizm nakazuje budować naszą pomyślność w umacniających się strukturach UE. Dla tego kierunku rozwoju nie mamy realnej alternatywy poza słowami. Jednak rozum mi podpowiada, że będziemy oskarżać UE i kapitał zagraniczny o brak własnych działań. Głoszenie takich poglądów jest łatwiejsze od zrobienia czegoś samodzielnie. Ale to takie bardzo polskie.

Wiesław Żółtkowski

Z głębokim żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pani Marianny Pawlak

**Panu Premierowi
Waldemarowi Pawlakowi**
składamy najserdeczniejsze
wyrazy współczucia

*Dyrekcja i Pracownicy
Muzeum Niepodległości w Warszawie*



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Brawo Australia!

Wreszcie ktoś się odważył powiedzieć: dość! Rzucić wyzwanie faktycznym władcom świata – wielkim korporacjom internetowym z Doliny Krzemowej. Chodzi o zakaz korzystania z mediów społecznościowych przez osoby, które nie ukończyły 16. roku życia. Rząd australijski wziął na poważnie to, co wiadomo od dawna i co zostało potwierdzone licznymi badaniami. Media społecznościowe szkodzą, przede wszystkim dzieciom i młodzieży. Uznaje się zasadnie, że odpowiadają za lawinowe pogarszanie się stanu zdrowia młodych ludzi – psychicznego, a poniekąd i fizycznego (epidemia otyłości wynikającej m.in. z braku ruchu). Ich fatalne oddziaływanie nie budzi już dziś żadnych wątpliwości. Dzieci i młodzież nie wytrzymują psychicznie hejtowania w sieci (mnożą się samobójstwa), ciągłego porównywania się z innymi, które skutkuje obniżonym poczuciem własnej wartości, przebodźcowania związanego z zalewem informacji płynących z sieci (w większości marnej wartości), wyobcowania ze środowiska rówieśniczego oraz, szerzej, społecznego, co wywołuje poczucie samotności. Złe znoszą dostęp do treści internetowych skoncentrowanych na silnych emocjach, najczęściej o charakterze negatywnym, zde-
 rzanie się z całym złem tego świata znajdującym odzwierciedlenie w internecie. Nie przesadzę, jeśli powiem, że media społecznościowe stały się trucizną, która niszczy wchodzące w życie pokolenia. Nie tylko obniżają ich standard życia rozumianego w kategoriach psychicznych, ale także przyczyniają się do zmniejszania ich zdolności interaktywnych, społecznych, wspólnotowych, być może też intelektualnych.

Ta ostatnia sprawa jest elementem szerszego zjawiska – pogłębiania się zidiocenia ludzkości. Głupota towarzyszy ludziom prawdopodobnie od samych początków, ale nigdy nie występowała w takim natężeniu jak w dobie komunikacji internetowej. Najgłupsze idee szerzą się w nim błyskawicznie, zdobywając rzesze wyznawców. Wkroczyliśmy w wiek Nowego Obskurantyzmu. Nadzieje na intelektualne doskonalenie się ludzkości, tak bliskie kulturze europejskiej przynajmniej od czasów Oświecenia, leżą w gruzach. Podobnie jak idee jej doskonalenia moralnego. Przeżywamy wielki regres. Mamy udoskonalone narzędzia komunikacji międzyludzkiej, ale żadnych mądrych rzeczy do powiedzenia.

Co więcej, część ludzi cieszy się z góry na kolejny etap duchowego i intelektualnego karłowacenia ludzkości

– dominację sztucznej inteligencji. Ma ona odciążyć nas od myślenia. Zastąpić w roli twórców i innowatorów. Zapewne to zrobi. Pograży nas jeszcze bardziej w intelektualnym lenistwie i zgubnym poczuciu wolności od myślenia. Tak oto narodzą się nowe czasy, gdy otoczeni najnowszymi technologiami stoczmy się do poziomu szczęśliwych durniów, wiodących wygodne, ale kompletnie jałowe życie. „Nowy wspaniały świat” Aldousa Huxleya wreszcie się ziści. Pod wodzą socjopatów z Doliny Krzemowej, którzy już dziś sięgają po władzę polityczną w USA (vide Elon Musk), kwitnąć będzie manifestacyjny hiperindywidualizm połączony z narcyzmem. Każdy sam na sam ze swoim laptopem, zakochany w sobie i czekający na wyrazy miłości innych. Na naszych oczach powstaje świat hipertechnologii połączonych z masowym autoniewolnictwem.

O tym ostatnim czytam co chwila w wywiadach i artykułach prasowych. Oto dorośli ludzie żalą się, że z powodu funkcjonowania w mediach społecznościowych cierpią

katusze. Że znika ich poczucie autonomii, panowania nad własnym życiem, coraz bardziej czują się towarem, ulegają uprzedmiotowieniu i uprzedmiotawiają innych.

Tracą wewnętrzny spokój i sens

tęgo, co robią. Podlegają permanentnej ocenie, często niesprawiedliwej i pochopnej (fale hejtu). Ale przecież bycie w sieci nie jest przymusowe. W tym sensie skala niewolnictwa na własne życzenie szokuje. Cyfrowemu kapitalizmowi udało się nie łada sztuka: zaprzągnął do swojego rydwanu miliardy ludzi gotowych wyrzec się prywatności, a poniekąd także wolności, i oddać swój czas oraz swoje siły psychiczne cynicznym graczom z Doliny Krzemowej, którzy pod przykrywką ułatwiania komunikacji międzyludzkiej nabijają sobie kabzę. W nosie mają zarówno wszelkie zasady moralne, jak i dobro użytkowników mediów (pseudo)społecznościowych. Chodzi tylko o zysk.

Ponieważ nie ma żadnych szans na uregulowanie tej wolnoamerykanki, pozostaje jedyne narzędzie walki – bojkot. I do niego namawiam. Istnieje życie poza siecią. I jest ono lepsze niż życie w sieci. Jedna rozmowa twarzą w twarz jest warta dziesięć razy więcej niż setka uwag wymienionych za pośrednictwem internetu. Jeden uścisk jest więcej wart niż setki sieciowych lajków. Zadaniem edukacji szkolnej i wychowania jest przekonanie do tego dzieci i młodzieży. Jeśli to się nie uda, bezpowrotnie stracimy młode pokolenia, a wraz z nimi sensowną przyszłość. ■

**Istnieje życie poza siecią.
I jest ono lepsze niż życie w sieci.**

2024 – rok progresywny?

Ostatni rok kadry narodowej raczej wzmocnił nasze kompleksy. Jesteśmy słabi, więc liczymy na uśmiech losu, ale kiepskiej grze nie pomoże dobre losowanie

Wojciech Kuczok

Finlandia, Litwa, Malta i ktoś bardzo mocny na H: mogło być znacznie gorzej, a i tak po losowaniu eliminacji do amerykańskich Mistrzostw Świata 2024 ponad 70% kibiców uważa, że na mundial nie pojedziemy. Mam jednak przeczucie, graniczące z pewnością, że przed losowaniem nastroje były podobne.

Ostatni rok kadry narodowej raczej wzmocnił nasze kompleksy. Jesteśmy słabi, więc liczymy na uśmiech losu, ale kiepskiej grze nie pomoże dobre losowanie. Nasze największe sukcesy odnosiliśmy, kiedy nam sierotka z koszyka wyciągała same potęgi. Kadra Górskiego, żeby znaleźć się na mundialu, musiała wygrać z Anglią; żeby wyjść z grupy, musiała pokonać Argentynę i Włochy, a w meczu o medal załatwiła Brazylię. Były więc czasy, gdy chętnie laliśmy każdego, kto się nawinął, losowanie traktując jako ciekawostkę, a nie pomoc z zaświatów.

Rozmiary katastrofy

Teraz opinie są zgodne i niewesołe: o bezpośrednim awansie możemy zapomnieć, ale do baraży prawdopodobnie trafimy, bo drużyna narodowa pod wodzą selekcjonera Probiezra odzyskała przewidywalność. Mierząc się z Holandią, a tym bardziej z Hiszpanią, nie zaskoczy nas na plus, za to w spotkaniach z pozostałymi rywalami, nawet jeśli rozczaśnie grą, powinna zdobyć komplet punktów. Trudno do tych opinii się nie przychylić, choć do meczów z rywalem na H został nam prawie rok – w tym rola Probiezra, żeby znalazł do tej pory sensownych obrońców, bo z tytułu

gorzej już być nie może. O rozmiarach katastrofy w obronie narodowej niech świadczą chwilowe podniety fachowców – ostatnio podpowiadają Probiezrowi np. Przemysław Wiśniewski ze Spezii. Regularnie gra, a nuż w kadrze odpali. Owszem, geny ma solidne: ojciec, zanim stał się postrachem ulic (aktualnie dozor policyjny i siedem zarzutów za gangsterkę), na przełomie stuleci skutecznie odstraszał napastników na boiskach ekstraklasowych. Syn recenzje też zbiera niezłe, ale to wciąż poziom drugiej ligi włoskiej, a gość ma 26 lat, więc czasu na wybiecie się wyżej było całkiem sporo. Z taką obroną długo nie pociągniemy.

Szukamy szeryfa, który potrafi przywrócić porządek w polu karnym: na razie działają tam sami zastępcy, zajęci zrzucaniem z siebie odpowiedzialności.

Za wszelką cenę trzeba odbudować i ustabilizować Jakuba Kiwiora. Za sprawą kontuzji kolegów tłucze się w najlepszej lidze świata częściej, niż mu się to należy. Premiership go przerasta, ale doświadczenie zebrane w pojedynkach z Haalandem, Salahem i spółką powinno zapracować w nieco mniej wymagającej lidze. Kiwior chciałby do Napoli i to jest kierunek doskonały, bo we Włoszech gra się na znacznie mniejszej intensywności. Kiwior tam się ogarnie, może polideruje defensywie i zbuduje sobie taką markę jak niegdyś Glik w Torino. Bo „drugiego Glika” z jego najlepszych lat właśnie szukamy – szeryfa, który potrafi przywrócić porządek w polu karnym. Na razie działają tam sami zastępcy, zajęci głównie zrzucaniem z siebie odpowiedzialności.

Nasza defensywa jest przepuszczalna jak płaskowyż krasowy, wszystko przez nią przecieka, a dziur w niej jak w raju dla speleologów. Jan Bednarek miewa dobre momenty, ale w Southampton przywykł do bezradności – ta drużyna zbiera ciężkie baty co tydzień, już pół roku przed końcem rozgrywek wiadomo, że spadnie z hukiem z angielskiej ekstraklasy, to fatalnie działa na morale. Kamil Piątkowski wpadł nam w oko dzięki cudownej bramce ze Szkotami, wcześniej też pokazał, że ogranie w Lidze Mistrzów procentuje – jemu się trafiają momenty kiepskie, kiksy i chwile paniczne, ale na co dzień nie schodzi poniżej poziomu wymaganej

solidności. Z boku obrony nie mamy nikogo, kto mógłby usprawiedliwić notoryczny brak powołań dla Maty’ego Casha. Prywatne animozje Probiezra są znacznie mniej szkodliwe w przypadku obsady bramki – ignorowanie wyszczekanego Kamila Grabary nie powoduje deficytów, bo Łukasz Skorupski i Marcin Bułka dają wystarczającą jakość, ale z Cashem nasz selekcjoner ma obowiązek się przeprosić. Polska piłka reprezentacyjna cierpi na dość nieszczęść, by jej dokładać trefne decyzje humorzystycznych szefów kadry.

Kiedyś było bogato. Jak się Piechniczek obraził na Szarmacha, tośmy na mundialu zdobyli medal brązowy zamiast złotego (sam trener przyznał się, że tego żałuje, Włosi Szarmacha się bali, w półfinale mundialu ’82 nie mógł zagrać Boniek, a mimo to



Zgrupowanie reprezentacji Polski przed meczami z Portugalią i Chorwacją, 14 października 2024 r.

„Diabeł” przesiedział cały mecz na ławce), teraz, jeśli Probiez nie powoła Casha, nasza drużyna łacniej przepadnie już w eliminacjach. Albowiem w dwufazowych barażach trafimy na równych sobie, a limit szczęścia już wykorzystaliśmy – na ostatni mundial weszliśmy dzięki wykluczeniu Rosjan i wygraniu u siebie z najłabszą Szwecją, jaką pamiętam, na Euro zaś trafiła nam się niepoważna Estonia, a potem wygraliśmy z Walią, nie oddając celnego strzału. Liczyć zatem na szczęście byłoby już naprawdę nieprzyzwoitością – niechże na mistrzostwa pojedą nasi piłkarze zasłużenie albo wcale.

Kibic i reprezentacja

Ja się tam wcale nie załamuję, jak nas zabraknie, nerwów się zaoszczędzi, bo w XXI w. na tych mundialach, zanim udało się nam z nich czerpać kibicowską przyjemność, musieliśmy się najeść wstydu. U mnie kac po odpadnięciu naszych trwał zwykle przez całą fazę pucharową i dopiero finał oglądałem w pełni odtruty. Podniecenie, upokorzenie, detoksykacja

– to jest scenariusz bardzo nieudanej imprezy i niestety żelazny scenariusz polskiego kibica na mistrzostwach. Z wiekiem zacząłem się godzić z tym, że pewnych rzeczy już nie dożyję, i fakt, że być może reprezentacji Polski na mundialu już nie zobaczę, wcale nie martwi mnie najbardziej. Gorzej, że mam już mniej niż więcej czasu, by dożyć w umysłowym zdrowiu chwili, gdy będziemy zaiste sprawdzać, czy nasi piłkarze potrafią grać, zamiast niezmiennie testować, czy trenerzy się nadają na stanowisko coacha reprezentacji. Albo gdy będziemy mieli tak wielu tak dobrych graczy w jednym pokoleniu, że nawet z kiepskim selekcjonerem dadzą sobie radę.

W ostatnich czterech dekadach związek polskiego kibica z reprezentacją był układem toksycznego współzależnienia: na etapie eliminacji buduje się faza euforyczna, drużyna ogrywa patafachów, z czego wyciągamy wnioski nad stan (jesteśmy uwodzeni, dajemy wiarę, żywimy nadzieję i wyznajemy miłość – nasza „osoba partnerska” jest czarująca, a wszelkie wady

skrętnie ukrywa). Potem przychodzi czas weryfikacji, na dużej imprezie międzynarodowej jesteśmy pariasami, pośmiewiskiem, modlimy się już tylko, żeby nie uznano nas za najgorszą ekipę turnieju i pozwolono wrócić do domu bez dodatkowej porcji hańby (z „osoby partnerskiej” wypęzają demony, uchlewa się do nieprzytomności, awanturuje się, zdradza itd.). Później zwykle trener wylatuje, na jego miejsce przychodzi nowy i żyjemy płochą nadzieją, że tym razem wszystko się zmieni – w kolejnych eliminacjach zaczynamy od serii wygranych z frajerami, mimo pojedynczych potknięć z silniejszymi zaczynamy wierzyć, że z tej maki będzie chleb, kadra przechodzi baraże, awansuje do mistrzostw i znowu jesteśmy szczęśliwi (winowajczyni się kaja i korzy przed nami, nabroiła, to przeprasza, zaczyna się miesiąc miodowy, alko w odstawce, zero przemocy domowej, żadnych popołudniowych schadzek z kochankami, snucie rodzinnych planów na przyszłość). Aż tu nagle apiąć od nowa: mistrzostwa pod znakiem meczu otwarcia, meczu o wszystko i meczu o honor; jak nam się raz udało z grupy wyjść za Michniewicza, to kosztem honoru (znowu zapicie, zdrada na urwanym filmie, wyzwiska i poniżanie, powrót do punktu zero).

No i właśnie jesteśmy przed kolejną wiosną, w której oblecą nas skowronki: Michał Probiez co prawda przestrzega, żeby nie witać się z gąską, ale... Przejdziem Litwę, przejdziem Malte, będziemy grać z Finami, a pierwszy poważny rywal da nam w pysk, dopiero kiedy obrośniemy w piórka. Zebranie kompletu zwycięstw z płatonogimi prowincjuszami to jest akurat wyzwanie wykonalne.

10 miesięcy spokoju

A zatem dostaliśmy dziesięć miesięcy spokoju, w tym czasie rany zdążą się zabiżnić i znowu uwierzmy, że wreszcie się uda. No dobra, ja nie uwierzę. Dla mnie symbolem dokonania tej kadry w mijającym roku pozostanie selfiak kapitana Piotra Zielińskiego i delfina Nicolì Zalewskiego z Cristianem Ronaldem, ▶

► strzelony sobie przez naszych graczy tuż po klęsce 1:5. Toż to turyści, nie piłkarze. Atrakcjom w podróży pyka się fotki, a jeśli to atrakcja, do której być może już nigdy nie będzie się miało okazji zbliżyć, turystom puszczają zwiedzacze. Wprawdzie Zieliński gra w Interze Mediolan, a nie w jakimś arabskim Al-Nassra, i na Transfermarkcie jest wyceniany wyżej niż Ronaldo, więc kompleksów mieć nie powinien, ale wiadomo: żywa legenda, ruchomy pomnik, trzeba uwiecznić do albumu rodzinnego, żeby było czym zaimponować wnukom przy kominku. Turystyczna

pomstować na tego drania, pokornie pytają, czy mogą sobie z nim zrobić zdjęcie. Jeśli to nie jest syndrom sztokholmski, to głębokie januszoństwo, aż dziw bierze, że się przytrafiło dwóm panom, którzy całą seniorską karierę spędzili w lidze włoskiej, o prowincjonalne zahukanie podejrzewać ich zatem nie można. To raczej dowód dystansu do reprezentacyjnych powinności niż hołd dla legendarnego napastnika. Kapitan zatopionego okrętu dobrowolnie uśmiecha się do zdjęcia z tym, który go osobiście storpedował – mój mózg tego nie ogarnia.

Michał Probiez przypomina płukacza złota na mistrzostwach Polski – w końcu zawsze jakieś drobinki na dnie się znajdują, ale do Eldorado droga daleka.

mentalność włącza się z automatu, kiedy wyjeżdżasz na trudny mecz jako reprezentant Polski – punktów przywieźć nie sposób, to chociaż samojebka będzie na pamiątkę.

Powiedzieć, że jako kibica mnie to żenuje, a nawet dobija, to nic nie powiedzieć. Gość nam władował dwa gole, ośmieszył obrońców, słowem przyczynił się intensywnie do pogromu naszych orłów, a ci zamiast

Nieszczęsny dwumecz z Portugalią i porażka w ostatniej akcji ze Szkotami zwieńczyły rok kadry, dlatego czujemy niejaki absmak i rozczarowanie, ale czy mogło być lepiej, śmiem wątpić. Na Euro wjechaliliśmy tym razem jako ostatni, dokonując historycznego wyczynu: w decydującym meczu przeciw Walii nie oddaliśmy ani jednego celnego strzału na bramkę, awans załatwił nam Wojciech Szczęsny w serii rzutów karnych. Kadryze spowiniewanej w czasie katastrofalnej kadencji Fernanda Santosa udało się przywrócić w pewnym stopniu morale i hart ducha. Zaczęliśmy od 5:1 z Estonią, skończyliśmy 1:5 z Portugalią i to świetnie oddaje miejsce, w jakim jesteśmy: dokładnie w pół drogi między Bałtami a Półwyspem Iberyjskim, czyli w środku niepisanej tabeli europejskiej piłki. Jesteśmy przeciętni i nie powinniśmy narzekać, to i tak znacznie lepiej niż słabi, źli, fatalni, ba, jeszcze niedawno do przeciętności mogliśmy zaledwie pretendować.

Czy zatem w kadrze dokonał się ów mityczny progres, o którym wszyscy słyszeli, lecz nikt go nie widział? Raczej wyczołgaliśmy się na powierzchnię z wilczego dołu, do którego wpakował nas Santos. Michał Probiez przypomina płukacza złota na mistrzostwach Polski

– zanurza misę w szlamie trochę po omacku, kręci tą misą i kręci, w końcu zawsze jakieś drobinki na dnie się znajdują, ale do Eldorado droga daleka. Jako były trener kadry juniorów ma rozeznanie w młodych talentach, sięga po nastolatków odważnie (czasem wręcz z odwagą szaleńczą, jak w przypadku Maxiego Oyedele), ale tak naprawdę jedynym samorodkiem, przed którym można realnie rozsnuć wielką piłkarską przyszłość, jest Kacper Urbański.

Na korzyść Probieza może przemawiać fakt, że zarówno Urbański, jak i Zalewski – najlepszy piłkarz reprezentacji w minionym roku – w kadrze grają o wiele lepiej niż w klubach. Jeśli piłkarze rosną przy trenerze, tym trudniej zrozumieć, że drużyna wciąż rosnąć nie chce. Ale na to odpowiedzi udzielił Probiez siedem lat temu, jeszcze jako trener Cracovii, pamiętnym performance'em z doniczką. Podczas konferencji prasowej, zmęczony dociekaniami, kiedy jego drużyna zaczęła grać na miarę oczekiwań, zasadził nasionka, podlał je i kazał dziennikarzom obserwować, czy w ciągu pięciu minut coś wyrośnie. Selekcjoner domaga się czasu i cierpliwości. Czas dostał: dziesięć miesięcy na przygotowanie Polski do dwumeczu z gigantami futbolu, z którymi jednak w ostatnich latach potrafiliśmy grać jak równy z równym (remis na Euro '21 z Hiszpanią, remis w Lidze Narodów '22 i minimalna porażka na Euro '24 z Holandią). Cierpliwości już nie będzie, jakkolwiek strata punktów po drodze powinna oznaczać natychmiastowe zwolnienie trenera.

Jeden fakt napawa mnie trwogą: w mijającym roku polska reprezentacja na 13 rozegranych spotkań potrafiła mieć przewagę w posiadaniu piłki tylko raz – u siebie z grającą przez niemal cały mecz w dziesiątkę Estonią. Wydaje się, że jesteśmy mocni w drugiej linii z Piotrem Zielińskim jako szefem środka pola, tymczasem okazuje się, że nasi w każdym meczu przede wszystkim ganiają za rywalami i czyhają na kontrataki. Dopóki nasi piłkarze będą piłki się bali, wszelkie znamiona progresu pozostaną tylko złudzeniem.

Wojciech Kuczek



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Wiwat Biejat!

Tak, po prostu bardzo mnie to cieszy, że Magda Biejat została kandydatką lewicy na urząd prezydenta(tki) RP. W zasadzie nie mam wątpliwości, że to jeden z najlepszych wyborów i że kandydatka w naprawdę ponadstandardowym stopniu wyczerpuje znamiona właściwej osoby na właściwym miejscu. Że ubiega się o stanowisko, na którym się nie zbłądzi (a można, można), nie skompromituje (a zdarza się i zdarzało), nie zmieni przekonań (a bywało, bywało) i któremu sprosta (nie tak łatwo wcale). Ma charakterologicznie dobrą energię, nawet można by powiedzieć: ma tę moc. Właściwie z nie wiadomo jaką świecą szukać kandydata o porównywalnych czy podobnych przymiotach. Sądzę też, że politycznie mamy doskonały moment, aby realna kandydatka, dla której polityka nie jest pustym słowem, zaistniała w tym maczystowskim wyścigu. Tu bokser, tam intelektualista, tu mędrak, tam kaznodzieja. Jakaż to byłaby ulga od tych nieświeżych jak męska szatnia person męskich.

Tym, czym zaprzątam sobie głowę, są zachowawcze głosy, nazywane płynącymi z „otoczenia” kandydatki, że patrzmy trzeźwo – idziemy po 5%. To wy sobie pójďte gdzie indziej i dokąd indziej. A Magda Biejat, mam nadzieję, pójdzie w kampanii po urząd lub co najmniej II turę. Jej pozycja w porównaniu ze startującym w 2015 r. niejakim Andrzejem Dudą jest o niebo lepsza. Od Nawrockiego wytrzeszonego z rękawa Jarosława Kaczyńskiego o dwa nieba plus to dodatkowe niewierzących. Tylko z takim podejściem warto iść w tę historię. Nie będzie łatwo. Media w swoim durnym zachłyśnięciu się i skrywanej fascynacji „obywatelskim” delegatem prezesa, Długopisem II, wyciągnęły go z niebytu politycznego na pozycję liczącego się kandydata. Pozytywność i kompetencje Biejat nie są aż tak sexy dla polskiego mainstreamu (patrz historyczne zachowanie Moniki Olejnik podczas rozmowy z kandydatką lewicy).

Rzecz jasna, kandydatura narusza i kilka tabu, i jeszcze więcej status quo. Bo kobieta. Bo lewica. Bo z innego rozdania niż świat konfliktów polsko-polskich sprzed dekad. Bo spoza solidarnościowego PO-PiS. Polska już zaślubiła na przecięcie tej pępownicy. Lamusy do lamusu. I nie chodzi wyłącznie o rzeczywistą zmianę pokoleniową, aczkolwiek o nią także. Chodzi o inne myślenie i inny język, a tu lewica ma najwięcej do zaproponowania.

Polskim fenomenem jest co każde wybory zachwyce nie się przez sporą rzeszę wyborców i wyborczyń jakimś

nowym czarnym koniem. To historia Kukiza, Petru, Palikot, Hołowni. Może czas na wyciągnięcie wniosków z tych pomyłek? Żadna z tych fascynacji i rozbudzonych nadziei nie przełożyła się na zauważalną wartość na polskiej scenie politycznej. Jeśli w ogóle wymienieni panowie mieli jakieś zalety, to porównywalnie więcej ma ich Biejat. A co dużo ważniejsze, nie ma ich wad! Jest oczywiście konieczność wyjścia z klinczu lewicowo-lewicowego, czyli z konsekwencji wyjścia Magdy Biejat i grupy posłanek z matecznika, czyli partii Razem. Pierwsze komentarze nie pachną wygaszeniem sporu, ale „pożywiom, uwidim”. Czas i spokojny dystans będą tu dobrymi, wręcz najlepszymi doradcami.

Wiadomo, że język kampanii ma swoje, częściowo tylko elastyczne reguły. Zaletą Magdy Biejat jest mówienie absolutnie komunikatywnym językiem, co nie jest regułą. Nie wiem, czy jest „dziewczyną z sąsiedztwa”, choć spotykaliśmy się także na gruncie niepolitycznym albo nie wprost politycznym. Widać tę jej umiejętność w prostym apelu do Andrzeja Dudy: „Możemy mieć kraj,

który patrzy naprzód, zwraca uwagę na każdego obywatela i obywatelkę, nie odwraca się do nikogo plecami, ale podaje każdemu rękę. Taką chcę prowadzić kampanię, taką chcę być prezydentką, która nie boi się wyzwań, stawia na człowieka.

Wiele tych spraw ważnych dla ludzi udało się załatwić. Jedną z tych rzeczy, w których miałam swój skromny udział jako senatorka, była ustawa o wolnej Wigilii. Wszystko wskazuje na to, że tegoroczna Wigilia będzie ostatnią pracującą. Udało nam się dojść do kompromisu w Senacie, za co dziękuję kolegom i koleżankom senatorom, który umożliwił wprowadzenie poprawki zabezpieczającej pracowników handlu – dzięki której nikt nie będzie pracował więcej niż dwie niedziele handlowe w grudniu od przyszłego roku.

Jako kandydatka na prezydenta, jako senatorka, chciałabym zaapelować do Prezydenta Andrzeja Dudy: panie prezydencie, czas podpisać tę ustawę, która da Polakom nadzieję, że już od przyszłego roku Wigilię będą mogli spędzić w spokoju, rodzinnie, z najbliższymi. Czas podpisać tę ustawę, czas dać ten wigilijny prezent wszystkim 15 mln pracowników i pracowniczek w Polsce”.

Niewątpliwie oddanie głosu na kandydatkę lewicy wymaga odrobiny wyobraźni i chyba nawet odwagi. To zachęcam do skorzystania z tych możliwości. ■

Sejm na tropie Rafaela

Posel ma kontakt z osobą, która wie, gdzie może się znajdować „Portret młodzieńca”

Leszek Konarski

Muzealnicy, historycy sztuki i osoby prywatne od 80 lat poszukują namalowanego przez Rafaela Santi „Portretu młodzieńca”, jednego z najcenniejszych dzieł, które zaginęły z polskich muzeów w wyniku II wojny światowej. Co jakiś czas emocje poszukiwaczy rosną. Pojawiają się sygnały o miejscach ukrycia obrazu na Dolnym Śląsku, w Szwajcarii, Niemczech, Rosji, nawet w Australii. O poszukiwaczach dzieła powstało wiele programów, filmów, artykułów i cenna książka „Zaginiony Rafael” Roberta J. Kudelskiego. Natomiast nikt nie szukał obrazu w miejscu wskazanym nie tak dawno w polskim parlamencie.

Interpelacja nr 1713

Mariusz Krystian, poseł PiS z województwa małopolskiego, były wójt gminy Spytkowice, 15 marca 2024 r. wystąpił w Sejmie z interpelacją do ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Poinformował, że zna osobę, która twierdzi, że znajdujący się przed wojną w zbiorach Muzeum Książąt Czartoryskich obraz Rafaela, jedna z najcenniejszych strat wojennych polskiej kultury, w styczniu 1945 r. nie opuścił Krakowa, jak przypuszcza wielu historyków, ale nadal znajduje się na Wawelu, w skrytce wykonanej na polecenie generalnego gubernatora Hansa Franka. W czasie ewakuacji Niemców wywieziona została kopia tego obrazu, nieco mniejszych rozmiarów, natomiast oryginał pozostał. O skrytce na zamku wawelskim miał poinformować niemiecki żołnierz, który po wojnie przyjechał do Polski i spotkał się z historykiem sztuki. Ten drugi w latach 1997-2003 w imieniu wojewody wrocławskiego, później



Jerzy Olajossy ze zdjęciem „Portretu młodzieńca” na desce o wymiarach 59 x 75 cm, czyli mniejszych niż światło ocalałej ramy.

dolnośląskiego, koordynował prace związane z polskimi dobrami kultury utraconymi w czasie wojny.

Odnalezienie obrazu byłoby wydarzeniem bezprecedensowym w historii muzealnictwa. W interpelacji nie padło jednak nazwisko osoby, która przypuszcza, gdzie na Wawelu należy szukać dzieła, ani historyka sztuki, który rozmawiał z niemieckim żołnierzem. Poseł zapewnił natomiast, że jego informator chętnie się spotka z przedstawicielem ministra kultury i odpowie na pytania.

„Portret młodzieńca” Rafaela Santi oraz „Dagę z gronostajem” Leonarda da Vinci książkę Adam Jerzy Czartoryski kupił od włoskiej rodziny Giustinianich w latach 1799-1801, gdy był ambasadorem Rosji przy królu Sardynii Karolu Emanuelu IV. Obrazy przekazał swojej matce Izabeli

Czartoryskiej, która w Puławach postanowiła stworzyć muzeum. Wraz z zakupionym wcześniej „Krajobrazem z miłosiernym Samarytaninem” Rembrandta były to najcenniejsze obrazy w puławskiej Świątyni Sybilli, zwane wielką trójką. Po upadku powstania listopadowego i konfiskacie majątku Czartoryskich przez Rosjan puławskie muzeum zostało częściowo zniszczone, ale większość cennych dzieł, w tym wielką trójkę, udało się uratować i przewieźć do paryskiego Hotelu Lambert. W 1870 r. książę Władysław Czartoryski postanowił przenieść zbiory do Krakowa, gdzie osiem lat później, w pałacu u zbiegu ulic św. Jana i Pijarskiej, otworzył Muzeum Książąt Czartoryskich.

Po wkroczeniu do Krakowa we wrześniu 1939 r. hitlerowcy akcją „zabezpieczenia”, jak to nazywali,

najcenniejszych dzieł sztuki rozpoczęli właśnie od Muzeum Czarotoryskich. Chcieli przejąć „Portret młodzieńca”, „Damę z gronostajem” i „Krajobraz z miłośniernym Samarytaninem”, ale nie znaleźli obrazów w muzeum. Spodziewając się wojny, Czarotoryscy ukryli najcenniejsze dzieła w swoim pałacu w Sieniawie. Niewiele to pomogło, bo gestapo dowiedziało się o kryjówce. Schowane skrzynie rozbito, obrazy skonfiskowano i zdeponowano na Wawelu.

W czasie wojny cała wielka trójka była przewożona w różne miejsca, bo dziełami bardzo interesowali się wysocy funkcjonariusze III Rzeszy. Trafili więc do Berlina, tam miały czekać na otwarcie muzeum Führera w austriackim Linzu, gdzie Hitler spędzał lata młodości. Kolekcję przeznaczoną do tego muzeum, które nigdy nie powstało mimo zaawansowanych planów budowy, gromadzono od 1939 r.

W 1943 r. wszystkie trzy zrabowane obrazy mimo sprzeciwu samego Hermanna Göringa powróciły do Krakowa jako depozyt Hansa Franka, w celu uświetnienia wystroju pomieszczeń służbowych generalnego gubernatora na Wawelu oraz jego letniej rezydencji w Krzeszowicach. Ostatni raz „Portret młodzieńca” widziany był na Wawelu na początku stycznia 1945 r., gdy wraz z „Damą z gronostajem” i „Krajobrazem z miłośniernym Samarytaninem” był pakowany przez Niemców do skrzyni w celu ukrycia w pałacu w Sichowie koło Jawora na Dolnym Śląsku, a niedługo potem w majątku w Morawie koło Strzegomia. Czy był to oryginał? W spisie przewożonych dzieł sztuki nie figuruje. A może nadal jest na Wawelu? Dwa obrazy z wielkiej trójki zostały przejęte przez Amerykanów i zwrócone Polsce. Co się stało z Rafaellem?

Sygnal z Andrychowa

Osoba, która poinformowała posła Mariusza Krystiana o możliwym istnieniu na Zamku Królewskim w Krakowie skrytki z obrazem Rafaela, to fotograf Jerzy Olajossy z Andrychowa. Wraz z bratem Piotrem prowadzi przy Krakowskiej, jednej z głównych ulic w mieście, Foto-Video-Centrum.

Oprócz fotografowania jego wielką pasją jest poszukiwanie zaginionych dzieł sztuki. Jerzy Olajossy zauważył, że w czasie dwóch inwentaryzacji sporządzonych przez hitlerowców, zarówno w 1940 r., jak i w styczniu 1945 r., napisano, że „Portret młodzieńca” ma wymiary 59 x 75 cm, natomiast rama tego obrazu, która znajduje się dzisiaj w Muzeum Czarotoryskich, jest o kilka centymetrów większa. Stąd przypuszczenie, że Hans Frank kazał sporządzić kopię, a oryginał ukrył. Znane są wprawdzie wypowiedzi osób, które widziały obraz w Sichowie i Morawie, ale nie były one tego do końca pewne.

Dlaczego Frank miałby zlecić wykonanie kopii i ukryć oryginał? – Obraz przedstawia pięknego młodzieńca, a generalny gubernator był gejem – mówi Jerzy Olajossy. – Potem jednak się ożenił. Oprócz żony, z którą miał oficjalnie pięcioro dzieci, a właściwie czworo, bo Niklasa spłodził kto inny, miał trzy kochanki. Piśze o tym Dieter Schenk w biografii Hansa Franka. Z innych źródeł wiem, że z tego powodu Adolf Hitler nie odwiedził go w Krakowie, chociaż był dla niego przygotowany apartament na zamku. Można przypuszczać, że Frank postanowił zachować dla siebie obraz. A może jako prawnik przypuszczał, że za popełnione zbrodnie będzie sądzony i w przypadku aresztowania mógłby liczyć na złagodzenie wyroku, jeśli wyjawí miejsce ukrycia skarbów polskiej kultury?

Na pytanie, gdzie znajduje się skrytka, Jerzy Olajossy odpowiada: – Wiem, gdzie trzeba szukać. Teraz ruch należy do ministerstwa. Wraz z Mirosławem Figlem, historykiem sztuki z Wrocławia, prezesem Dolnośląskiego Stowarzyszenia Poszukiwaczy Prawdy Historycznej „Szukamy Prawdy”, byłem pełnomocnikiem wojewody dolnośląskiego ds. poszukiwań utraconych przez Polskę dóbr kultury, doszliśmy do wniosku, że dzieło Rafaela pozostało na Wawelu. To do Figla dwadzieścia kilka lat temu zgłosił się były niemiecki żołnierz. Opowiedział, że w czasie wojny pełnił służbę na zamku na Wawelu i był kochankiem gubernatora Franka, który pokazał mu w swoim gabinecie obrazy oraz różne cenne rzeczy i wymienił

ewentualne przyszłe miejsce ich ukrycia na Wawelu. Dlatego uważam, że należy metodą bezinwazyjną przebadac wszystkie ściany i podłogi w miejscach mi znanych. Znalazłem nawet profesora z Akademii Górniczo-Hutniczej, który wraz ze studentami jest w stanie wykonać tę pracę w jeden lub dwa dni. Jeżeli nic nie zostanie znalezione, wszystko biorę na siebie. Koszt takich badań jest niewielki, więc warto te pomieszczenia sprawdzić.

Wrocławski ślad

Mirosław Figiel to niestrudzony badacz tajemnic Dolnego Śląska, były przewodniczący Zespołu ds. Prowadzenia Postępowań w Przypadkach Uzyskania Informacji o Miejscach Ukrycia Dóbr Kultury przy wojewodzie dolnośląskim. Od wielu lat specjalizuje się w badaniu tajemnic Gór Sowich, szuka bursztynowej komnaty i złotego pociągu, zbiera informacje o tajemnicach zamku Książ i budowie obiektów Riese. Obecnie przebywa w szpitalu, a jego stan nie pozwala na rozmowę. Dlatego nie udało mi się potwierdzić ani daty pobytu we Wrocławiu, ani nazwiska niemieckiego żołnierza, który wiedział o wawelskich skrytkach.

Na interpelację posła Mariusza Krystiana odpowiedział Andrzej Wyrobiec, podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Poinformował marszałka Sejmu Szymona Hołownię, że poszukiwanie i odzyskiwanie utraconych dzieł sztuki jest dla ministerstwa ważnym zadaniem i odpowiada za to Departament Restytucji Dóbr Kultury, „który otwarty jest na wszelką współpracę w tym zakresie”. Na pytanie, co zrobiono w tej sprawie, otrzymałem odpowiedź, że „pracownicy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego odbyli rozmowy z panem Jerzym Olajossym. Przekazane przez niego informacje nie pozwoliły jednak na potwierdzenie informacji o ukryciu utraconego »Portretu młodzieńca« Rafaela”.

– Nie przypominam sobie, aby od czasu interpelacji posła Krystiana ktoś chciał ze mną porozmawiać – mówi jednak pan Jerzy. ■

Teatr 2024:

KARUZELA Z PRZESIADKAMI

To był sezon rozpędzonej zmiany personalnej, nowego otwarcia Teatru Telewizji i kilku zaskakujących odkryć repertuarowych

Tomasz Miłkowski

Kręci się w koło

Zaczęto się od odwołania Moniki Strzępki z dyrekcji warszawskiego Teatru Dramatycznego (5 stycznia 2024 r.). Na stanowisku dyrektorki przetrwała niewiele ponad rok. Ciemne chmury gromadziły się, zanim jeszcze weszła do gabinetu dyrektorskiego, ale spór osiągnął temperaturę wrzenia, kiedy się okazało, że koncepcja tzw. kolektywu kierowniczego, mającego stać na czele teatru, przerodziła się w swoje przeciwieństwo.

Tymczasem w krakowskim Teatrze Słowackiego powstał autentyczny kolektyw – zespół poczuł się jednością, poddawany presji urzędu marszałkowskiego, i doprowadził do zakończenia sporu wokół dyrektora Krzysztofa Głuchowskiego (powodem było głównie wystawienie „Dziadów” w reżyserii Mai Kleczewskiej), a także do jego nominacji na następną kadencję.

Bez odwagi myślenia trudno sobie wyobrazić teatr.

Karuzela zmian rozkręciła się, gdy po odwołaniu Strzępki nie udało się rozstrzygnąć konkursu na dyrektorkę Dramatycznego – ratusz nominował więc Wojciecha Farugę i Julię Holewińską, duet sprawujący kierownictwo w Bydgoszczy, na który już psioczą kapryśnicy z powodu adaptacji „Fausta” w Teatrze Narodowym. Ich nominacja spowodowała zmiany w Bydgoszczy. Z kolei rezygnacja dyrektora Jakuba Skrzywanka w związku z powołaniem go na szefa artystycznego Starego Teatru w Krakowie wywołała konieczność zmiany dyrekcji w Teatrze Współczesnym w Szczecinie, gdzie – powołany za ledwie rok wcześniej – obiecywał pozostać do końca kadencji. Podobnie odejście dyrektora Doroty Ignatjew z łódzkiego Teatru Nowego na naczelną do Starego otworzyło konieczność poszukiwania nowej dyrekcji w Łodzi. Gdzie zresztą niemal jednocześnie z fotela dyrektora Teatru Jaracza zrezygnował Michał Chorośiński.

Poza tym po ponad 40 latach z warszawskiego Teatru Współczesnego odszedł Maciej Englert – aż dziw, że na pożegnalnym spektaklu zabrakło najwyższych

przedstawicieli władz stolicy, przypadek nadzwyczaj długiej kadencji Englerta należy do fenomenów, a Współczesny pod jego dyktando długo pozostawał niedoścignionym wzorcem dla innych teatrów.

Można by tę listę ciągnąć, bo czekają nas kolejne nominacje. A niejako po drodze wymieniono w konkursowym tempie redaktorów „Teatru” i „Dialogu” oraz dyrektorkę Instytutu Teatralnego. Uff!

Ta piękna Zośka

Zajrzyjmy teraz do teatru nie od kuchni, ale od widowni. Reżyser Marcin Wierchowski chętnie poszukuje źródeł naszych lęków i uwikłań w przeszłości. Tym razem w spektaklu „Piękna Zośka” Teatru Wybrzeże sięgnął do kroniki kryminalnej z okresu międzywojennego, kiedy w podkrakowskiej wsi pod ciosami męża zginęła Zośka Paluchowa. Tragedia na miarę Wyspiańskiego odtwarza mroczny obraz przemocy wobec kobiet, zaciskającej się niczym garota na szyi bohaterki. Zośka rwie się do życia, do Krakowa, do swobody. Ale dla władzy męża to zagrożenie. Widzów i recenzentów zachwyciła forma przedstawienia, wyrównana gra całego zespołu i wiarygodne kreacje odtwórców ról małżeństwa Paluchów: Karoliny Kowalskiej jako Zośki i Piotra Biedronia – Macieja. Spektakl obsypyany został nagrodami, zyskując niebywały rozgłos i przypominając, że Teatr Wybrzeże szczyci się jednym z najmocniejszych zespołów aktorskich w kraju.

Gombrowicz w lustrze swojego roku

Teatr nie po raz pierwszy przesypia jubileusz Gombrowicza – może dlatego, że Gombrowicz do jubileuszy nie bardzo pasuje. Honoru domu broniła „Iwona, księżniczka Burgunda”, oryginalna inscenizacja w reżyserii Adama Orzechowskiego (znów Teatr Wybrzeże), która na XVI Międzynarodowym Festiwalu Gombrowiczowskim w Radomiu rozbiła bank z nagrodami, otrzymując m.in. grand prix, Nagrodę Publiczności i Nagrodę Młodego Jury.

Z pomocą ruszył też Teatr Telewizji i wyemitował przeniesione z teatrów żywego planu (Narodowego i Polskiego w Warszawie) świetne dramaty Macieja Wojtyłki, „Dowód na istnienie drugiego” i „Deprawatora”, z wybitnymi kreacjami Jana Englerta



Piękna Zośka



HiStory



Iwona, księżniczka Burgunda

(Narodowy) i Andrzeja Seweryna (Polski) w roli Gombrowicza.

Pod koniec roku doczekaliśmy się premiery opery „HiStory” Michała Dobrzyńskiego w Operze Królewskiej w Warszawie o młodym Gombrowiczu i jego zderzeniu ze światem, na podstawie zachowanych wcześniejszych wersji „Operetki”. Odbył się też festiwal monodramów Gombrowiczowskich powstałych za sprawą konkursu ogłoszonego przez Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli. Laureatką została młoda wrocławska aktorka Zuzanna Wiatr za spektakl „Dziewictwo, osobna kategoria istot zamkniętych”.

Ocalone – niezapomniane

Jednak monodramem, który pozostanie znakiem minionego roku, okazała się kreacja Agnieszki Przepiórskiej, czyli „Ocalone” w reżyserii Mai Kleczewskiej, na podstawie tekstu Piotra Rowickiego.

To coś więcej niż spektakl. To akt przywracania pamięci o ofiarach zapomnianej zbrodni, dokonanej w pierwszych dniach powstania warszawskiego na kobietach stłoczonych przez oprawców z SS RONA na Zieleniaku przy Grójeckiej. Teatr się o nie upomina. Udręczone kobiety, gwałcone godzinami, dniami, aż do utraty życia, zabijane, wyrzucane na stos śmieci, odchodziły w poniżeniu i bezbrzeżnym cierpieniu. Matki na oczach córek, córki na oczach matek. We wstrząsającym monodramie Przepiórska mierzy się odważnie z niewyobraźną tragedią, przerywając znowu milczenia wokół niej. Liczy się nie tylko treść, ale i forma – „Ocalone” łączy narrację właściwą teatrowi faktu z teatrem kreacyjnym, realistyczną fabułą z metaforą. Powstała na wskroś nowoczesna, przejmująca opowieść o bolesnej i wciąż słabo rozpoznanej ranie. Jest w tym geście artystów coś z Żeromskiego rozdrapywania ran, „żeby się nie zabił błąd podłości”. I jest wiara w ozdrowieńczą siłę teatru.

Mistrzowskie ślady i poszukiwania

Skoro mowa o monodramach, które najwyraźniej przeżywają kolejną młodość – może aktorzy znowu szukają dla siebie przestrzeni wolności poza teatrem instytucjonalnym – trzeba przypomnieć o zakończonym w minionym roku cyklu „Mono w Instytucie”. Dzięki doskonałej znajomości materii i umiejętności wyboru tytułów do prezentacji kurator tego cyklu Mateusz Nowak, sam świetny monodramista, przedstawił w sali Instytutu Teatralnego kolekcję wybitnych osiągnięć w tym gatunku i skonfrontował ją z nowymi poszukiwaniami. Zaczęło się w marcu 2022 r. ▶

► od przedpremierowego pokazu monodramu „Stara kobieta wysiaduje” według Tadeusza Różewicza, autorskiego spektaklu Ireny Jun, aby zakończyć się 15 listopada „Księgą Hioba (De Profundis)” na podstawie Starego Testamentu w tłumaczeniu Czesława Miłosza i „Trenów” Jana Kochanowskiego. Ten monodram Stanisławy Celińskiej w reżyserii Bohdana Cybulskiego przypominał – został w 40. rocznicę premiery.

Nowak pokazał w Instytucie Teatralnym starannie dobrane monodramy – wszystkie spotkały się z gorącym przyjęciem. Po każdym pokazie odbyła się rozmowa z aktorką/aktorem. Teatr jednego aktora w czarnej sali instytutu czuje się nadzwyczaj dobrze. Szkoda, że to już koniec, bo po tych trzech (bez mała) udanych sezonach warto byłoby Nowaka prosić o kontynuację cyklu, spełniającego również funkcję edukacyjną: bogactwo zaprezentowanych form zdaje się przeczyć przekonaniu, że monodram to teatr ubogi.

Reanimacja Teatru Telewizji

To jeszcze nie był stan agonalny, ale pogłębiająca się zapaść Teatru Telewizji mogła doprowadzić do katastrofy. Wraz z początkiem roku symptomy nieuleczalnej, jak się wydawało, choroby zaczęły zanikać. Po nominacji nowej dyirekcji, czyli Michała Kotańskiego i jego zastępcy Wojciecha Majcherka, teatr małego ekranu nie tylko zaczął dawać znaki życia, ale i zaskoczył wieloma szybkimi decyzjami. Okazało się, że można przełamać niechęć części artystów do upolitycznionego Teatru Telewizji, pod warunkiem że zacznie być teatrem, że można rejestrować najlepsze przedstawienia w całej Polsce, że można zwiększyć liczbę premier.

Okazało się, że można przełamać niechęć części artystów do upolitycznionego Teatru Telewizji, pod warunkiem że zacznie on być teatrem.

Nowi dyrektorzy dostali najwyraźniej zielone światło, a dzięki temu pojawiła się szansa dla tej największej sceny w kraju. Czy uda się ją w pełni wykorzystać, zobaczymy, ale pierwszy rok zmian repertuarowych i ramówkowych, staranny dobór tytułów i obsady spektakli to nader zachęcający plon, który otworzyła emisja adaptowanego dla telewizji monodramu Krystyny Jandy „Zapiski z wygnania” w reżyserii Magdy Umer według książki Sabiny Baral, którego premiera miała miejsce 9 marca 2018 r. w Teatrze Polonia w 40. rocznicę wydarzeń marcowych. Wstrząsające wspomnienia wygnanki opuszczającej kraj z dokumentem podróży zachowały w wersji telewizyjnej ich siłę moralną i emocjonalną.

Koniec czerwonego człowieka

Jandzie zawdzięczamy nie tylko poruszający monodram o jednej z niezabliźnionych ran polskiej historii najnowszej, ale także bodaj najlepiej obmyślony spektakl polityczny, który przekracza ramy tzw. literatury etapowej czy interwencyjnego teatru faktu, a przy tym demonstruje

wysoki poziom warsztatu. Wystawiona w Och-Teatrze sztuka Daniela Majlinga „Koniec czerwonego człowieka” w reżyserii Krystyny Jandy, na podstawie reportażu Swietłany Aleksijewicz o wielkim wrzeniu czasów pierestrojki i jej następstwach, odśłania z całą szczerością i ostrością to, jak ukształtowane w latach władzy radzieckiej postawy i wzorce zachowania wciąż trzymają w karchach rosyjską rzeczywistość.

Na scenie został namalowany obraz współczesnej apokalipsy, katastrofy podcinającej podstawy uczciwego życia i planowania przyszłości. Wstrząsający spektakl o zapaści, która może prowadzić do unicestwienia, stanowi przestrożę przed skutkami wyrzeczenia się uczciwości w codziennym życiu. Taka sztuka w komercyjnym przecieź teatrze, który utrzymuje się ze sprzedaży biletów, to przejaw nie tyle ambicji, ile odwagi myślenia, bez której trudno wyobrazić sobie teatr.

Fabryki dramatów

Im mniej polskich dramatów współczesnych na afiszu teatralnym, tym więcej powstaje dramatów do czytania – starczyłoby ich na cztery „Dialogi” (te poświęcone współczesnej dramaturgii) wydawane jednocześnie co miesiąc. Po najstarszym konkursie w Gdyni, która co roku przyznaje swoją nagrodę dramaturgiczną, pojawiły się m.in. konkursy w Bydgoszczy i w Gliwicach – im. Tadeusza Różewicza, a w tym roku też w Łodzi – konkurs im. Lucjana Kościeleckiego rozpisany przez Teatr Jaracza.

Dlaczego teatry tak rzadko korzystają z plonów konkursowych, to temat na osobne rozważania, najwyraźniej jednak brakuje dramaturgii użytkowej. Jurorzy konkursów, wiedzeni ideą wyszukiwania nowości (zwłaszcza formalnych), wyżej cenią teksty powstające w kontrze do tradycji, które często daremnie wypatrują nie tylko do widzów, ale i czytelników.

Aczkolwiek w tym roku zdarzył się znamieny wyłom – w konkursie Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej zwyciężył Radosław Maciąg, młody reżyser i dramaturg, który tekstem „Tęsknię za domem” pogodził wszystkich. Tych, którzy szukają dramatów napisanych po bożemu, z żywymi postaciami i jędrnymi dialogami, a jednocześnie dotyczących miejsc bolesnych, spraw trudnych, chwytających życie na gorącym uczynku, z tymi, którzy w samym języku i formie wypatrują ducha przemian mentalnych. Taki jest ten dramat, naturalistyczny i metaforyczny, psychologiczny i groteskowy, trzymający się ziemi, a zarazem o ambicjach dużej metafory. Czytany w Gdyni przez aktorów Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza zachwyił dialogami, a wystawiony w Radomiu ukazał swoje walory sceniczne. Trzymajmy kciuki za narodziny dramaturga z krwi i kości.

Zmartwychwstanie Żeromskiego

Tego nikt się nie spodziewał. Stefana Żeromskiego uznano za repertuarowego trupa, co zresztą potwierdziła niedawna adaptacja „Przedwiośnia” w warszawskim Teatrze Powszechnym. Tymczasem pojawiły się w dwóch teatrach – i to jakże odmiennych profilowo, czyli w Legnicy i w Starym – adaptacje innej zgoła powieści,



Empuzjon



Byk



Dzieje grzechu. Opowiedziane na nowo

uważanych za bliskie pisarstwu Heleny Mniskówny „Dziejów grzechu”. Reżyserka Daria Kopiec oparła na tej podstawie przedstawienie „Dzieje grzechu. Opowiedziane na nowo” (scenariusz Artur Pałyga), które stało się pojemną opowieścią o przemocy doznawanej przez kobiety pod różnymi szerokościami geograficznymi i w rozmaitych czasach. Sięgając nawet po świadectwo meksykańskich gitarzystów, Wojtek Rodak w Starym (scenariusz Iga Gańczarczyk) dał opowieść o wynaturzeniu męskich wyobrażeń o świecie, co zresztą komentuje Ewa Pobratyńska ze sceny: „Moje ciało jest waszym spektaklem. Wzbudzę w was pragnienie i obrzydzenie. Tak jak chcecie”.

Oba przedstawienia wywołały emocje i uznanie. Realizacja Darii Kopiec zwyciężyła na Festiwalu Arcydział w Rzeszowie, a Wojtek Rodak triumfował jako młody reżyser na katowickim festiwalu Interpretacje, zdobywając Laur Konrada.

Przystanek Śląsk w Warszawie

To był doskonały pomysł. Roman Osadnik, dyrektor Teatru Studio, i Robert Talarczyk, szef Teatru Śląskiego, umyślili, że doprowadzą do szerokiej prezentacji dokonań artystycznych Śląska w stolicy. Nie był to pierwszy wynik ich współpracy. Wcześniej Talarczyk przygotował wspólnymi siłami obu teatrów monodram (nadal w repertuarze) biorący prawdę za rogi, czyli „Byka” autorstwa Szczepana Twardocha, i pełnospektaklową adaptację „Empuzjonu” według powieści Olgi Tokarczuk. Przystanek Śląsk był więc kolejnym krokiem w zadziergniętej już komitywie. Na scenie Studia zobaczyliśmy poruszający monodram Grażyny Bułki wykonywany w języku śląskim, „Mianujom mie Hanka” produkcji Teatru Korez, grany już od 20 lat kultowy tekst Janoscha „Cholonek” z tego samego teatru, adaptację powieści Kazimierza Kutza „Pięta strona świata” z Teatru Śląskiego, w reżyserii Roberta Talarczyka, „Kopidoł” Teatru Naumionego z Ornontowic oraz brawurowy spektakl muzyczny o życiu Ryśka Riedla „Skazany na bluesa” w reżyserii Arkadiusza Jakubika. A w apartamencie Westin Hotel współczesny dramat małżeński „Godej do mie”, przygotowany pod reżyserką (i autorską) ręką Talarczyka przez Agnieszkę Radzikowską i Dariusza Chojnackiego – oba spektakle firmowane przez Teatr Śląski. Ten ostatni wieczór kończyła wspólna kolacja widzów z aktorami – taki był to zamysł, aby przybliżyć teatr, jak tylko się da.

Udał się ten przystanek obu teatrom i wzbudził apetyt na powtórki. Nie tylko ze względu na kolację.

Tomasz Miłkowski

NA EKRANACH

Do brzegu

Ona i on biorą plecaki i namiot, wyłączają komórki i wyruszają na – wielodniowy – spacer brzegiem morza, choć pogoda nie sprzyja, jest zimno, pochmurno, a jedzenie z puszek smakuje paskudnie. W czasie ekspedycji obowiązują restrykcyjne zasady, które sami ustanowili. Jedna wiąże się z kwestią tego, na ile można się oddalić od wody. Druga reguluje kontakt z używkami. Bohaterowie starają się do tych reguł dopasować, bo wierzą, że dzięki temu osiągną cel wyprawy. Nie jest nim jednak przedostanie się z punktu A do punktu B, chodzi o coś znacznie poważniejszego – próbę ocalenia związku, który zapał kontuzję i nie chciał się zrosnąć. Debiut Marii Zbąskiej to jedno z tegorocznych odkryć w polskim kinie. Film kameralny i skromny, ale naładowany taką energią, że nie pozwala o sobie zapomnieć. Ten portret oddalających się od siebie trzydziestoparolatków udało się tak dobrze z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, reżyserka potrafi o poważnych sprawach mówić w lekki sposób, wprowadzając humor sytuacyjny i słowny. A po drugie, dawno nikt tak nie fotografował polskiego wybrzeża, które pokazuje tu wszystkie oblicza: od pocztówkowego, przez sentymentalne, aż po kompletnie dzikie.

Artur Zaborski



„To nie mój film”, reż. Maria Zbąska, prod. Polska, premiera 25 grudnia

SERIAL



„Sto lat samotności”, reż. Laura Mora i Alex García López, prod. Kolumbia, Netflix

Z umiarem, ale zachwycając

Ekranizacja słynnej powieści laureata Nagrody Nobla Gabriela Garcíi Márqueza wydawała się zadaniem karkołomnym. Bo jak pokazać ten cały realizm magiczny, oddać maestrię języka i nieszabloność form książki? Nie da się, ale przecież nie chodzi o przenoszenie papieru na ekran jeden do jednego. Serial Netfliksa to solidna, precyzyjnie przygotowana produkcja – scenografia, kostiumy, wszelkie szczegóły zachwycają! Twórcy zmieścili tyle magii i gry słowami, ile zdoła unieść opowieść „wprost” (bo wyobraźnię wyłącza przycisk start na pilocie), uciekając tym samym od pokusy zbędnej obfitości. Nie spodziewam się szału jak w przypadku innych hitów platformy typu „Dom z papieru” czy „Squid Game”, żadnej marquezoturystyki czy nowej fascynacji literaturą iberoamerykańską, ale dla fanów kolumbijskiego pisarza ten serial jest wspaniałym prezentem.

Rafał Piłkuła

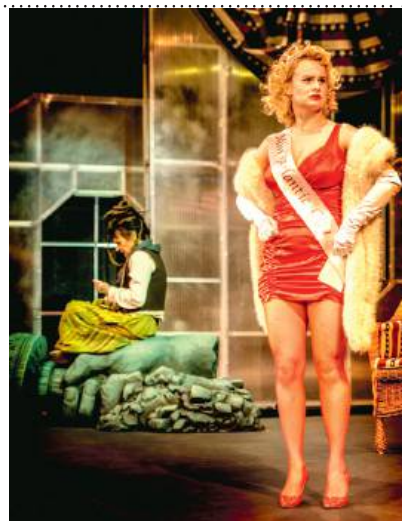
KURTYNA W GÓRĘ

Tylko bez cudów

Rozczarowanie – to najłagodniejszy komentarz po premierze otwarcia w warszawskim Teatrze Współczesnym za nowej dyrekcji. Chybiony wybór sztuki Thorntona Wildera, której nie uratował nowy przekład, stawiał zespół przed niewykonanym zadaniem ożywienia anachronicznego banału. Odkrycie, że świat stworzony przez człowieka od wieków, ba! tysiącleci, balansował na krawędzi unicestwienia, nie może dzisiaj wzbudzić ekscytacji. Pierwszy akt kończy postępujące zlodowacenie Ziemi, drugi – potop, trzeci – dobiegająca kresu wyniszczająca wojna. Utwór z roku 1942 miał wtedy pewne znaczenie pocieszeniowskie, ale po latach ukazuje swoją bezradność intelektualną i emocjonalną.

Nie pomogła mu drobna rewolucja technologiczna w teatrze (możliwość zastosowania projekcji wideo od tyłu i od przodu), wykorzystana w spektaklu sprawnie, choć bez szansy wyrównania mielizn tekstu i słabości wykonania: aktorzy albo biegają i krzyczą, albo stoją i szmerzą pod nosem. Wprawdzie nie wszyscy, ale połowy tekstu nie sposób zrozumieć. Gdyby jednak można było zrozumieć, i tak niewiele by to zmieniło, bo opowieść Wildera tchnie starzyzną i rezonerskim entuzjazmem na koniec. Demonstrowany celowo anachronizm, polegający na zderzaniu nowoczesności z epoką przedludowcową, czy ujawnianie teatralności przedsięwzięcia, kiedy aktorzy buntują się przeciw graniu tej dziwacznej sztuki, to żarty jednorazowego użytku, wielokrotnie powtarzane nużą i nie śmieszą.

Tomasz Miłkowski



Thornton Wilder, „Cud, że jeszcze żyjemy”, tłumaczenie Bartosz Wierzbicka, reżyseria Marcin Hycnar, Teatr Współczesny w Warszawie, premiera 5 grudnia 2024

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Święta krowa

Rok rządów koalicji. Wielu wybrzydza, a ja, malkontent, wystawiam niezłą ocenę. Sporo jest sukcesów w polityce zagranicznej. W kraju teren, który trzeba było zająć, został zaminowany przez PiS i obstawiony zasiekami. Udało się go w dużej mierze oczyścić. Teraz zaczynają się rozliczenia. Za wolno – irytują się wyborcy koalicji. Ale jak robić to szybko bez naruszania prawa? I ta biurokratyczna pulpa. Nie da się iść szybko. Walec jednak porusza się do przodu. Jest złość, bo nasza strona pragnie szybkiej zemsty za ból, który tamci nam zadali, za upokorzenia, za to, że musieliśmy patrzeć na ich triumfujące gęby, gdy nas maltretowali i niszczyli Polskę. Dlatego zdjęcia Ziobry i Romanowskiego na szpitalnych łożach mało kogo wzruszają. Mają za swoje. Z kolei ich elektorat teraz okrutnie cierpi i jest żądny zemsty. To ludzie, którym prezes wmówił, że byli na kolanach i gdy Bóg zawołał: „Powstańcie!”, powstali, a dziś znowu są na kolanach. Tak poniżamy się i wywyższamy nawzajem. Nie widać końca tej toksycznej gry.

Polonia Palace Hotel. W dużej sali, która oszałamia białą urodą, wigilia miesięcznika „Zwierciadło”. Wielu dawno niewidzianych, a miłych sercu ludzi. Wojtek Eichelberger pyta mnie, ile ma lat, i sam odpowiada jakby ze zdumieniem: „Mam 80 lat”. Lubię i cenię Wojtkę, to znakomity psychoterapeuta, ma wielkie pokłady wiedzy i czucia. Zrobiliśmy kiedyś razem książkę „Męskie pół świata”, dialog o naszym życiu, o mężczyznach i kobietach. I drugą, o interpretacji snów. Jest też Maciej Stuh z uroczą żoną. Długo rozmawiamy o Polsce i świecie. Cenię go nie tylko za talent aktorski, ale też za postawę obywatelską i wrażliwość na ludzkie dramaty. Mówimy, jak zawiódł nas internet, liczyliśmy, że gdy wszyscy będą mieli w dowolnej chwili dostęp do mnóstwa informacji, świat stanie się bardziej racjonalny i mądrzejszy. Nic z tego. Każdy idiota znajdzie w internecie „rzetelne i pełne” informacje na potwierdzenie i kultywowanie swoich idiotyzmów. Nasza znajoma, przecież nie kretynka, wierzy, że Ziemia jest płaska – i ma na to niezbite dowody. Inna bliska mi osoba, mieszkająca w Wiedniu historyczka sztuki, jest antyszczepionkowcem. Bardzo zaangażowała się w ten szlachetny ruch, uważa, że jest prześladowana za swoje poglądy.

W całej zachodniej Europie rosną w siłę narodzi populisci. Naszej Konfederacji też podnoszą się słupki poparcia. Czy młodym nie przeszkadza, że w Konfederacji pojawiają się głosy typu „kara śmierci za przerwanie

ciąży”? Trochę przeszkadza, ale olewają to, ważne, że partia obiecuje cięcie podatków i liberalizm gospodarczy. I te cudowne zadymy, choćby zgłoszenie przez Grzegorza Brauna świec chanukowych w Sejmie gaśnicą. Tyle piany, jak w starych filmach komediowych. Ubaw był po pachy, moje dzieci też to rozbawiło. A poseł Braun wyjeżdża na lotnisko po Janusza Walusia, mordercę, który po skróceniu dożywocia w RPA wraca do ojczyzny. Walus zabił charyzmatycznego czarnego działacza – dobrze, bo ten był komunistą, a nasz człowiek bronił segregacji rasowej. Można powiedzieć, że to powrót do kraju ostatniego „żołnierza wyklętego”. Oczywiście jest, że gdy kandydat konfederatów w wyborach prezydenckich przegra w pierwszej turze, ci w drugiej przerzucą się na Nawrockiego. To ich brat duchowy, nie ma co do tego wątpliwości.

PiS przekonywało, że wobec prawa nie ma u nich świętych krów. A okazuje się, że jest ich wiele. Teraz wizerunek jednej krowy zna już cała Polska. Marcin Romanowski, pisowski poseł, do niedawna wiceminister sprawiedliwości, ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości, trochę więc przed samym sobą. Ewenement

Ukrywanie się przed organami ścigania to obywatelskie nieposłuszeństwo, ale tylko wtedy, gdy ukrywa się człowiek PiS.

w skali światowej. Ścigany listem gończym Romanowski jest oskarżony o udział w grupie przestępczej, ciąży na nim 11 zarzutów. Najpoważniejszy to defraudowanie publicznych pieniędzy przeznaczonych dla ofiar przestępstw. Politycy prawicy wołają, że to tylko obywatelskie nieposłuszeństwo. Mamy oto nowomowę – ukrywanie się przed organami ścigania to obywatelskie nieposłuszeństwo, ale tylko wtedy, gdy ukrywa się człowiek PiS. Tak reżim Tuska prześladowuje polityków prawicy. Prokuratorzy też są w zмовie. A przecież PiS przez osiem lat „reformowało” wymiar sprawiedliwości, ale nie wyróżniło wszystkich niezależnych prawników i teraz taka bieda. Prędzej czy później Romanowski zostanie złapany, wtedy stanie się dla PiS męczennikiem i więźniem politycznym. A na razie można powiedzieć, że prześladowany zszedł do podziemia, jak kiedyś Bujak.

Jako że Polską rządzą najeźdźcy, do podziemia powinien też zejść prezes ze swoją ekipą.

Najszybsza w Himalajach

W zgodzie z naturą staram się wejść na wierzchołek

Rozmawia Andrzej Dryszel

Pani wejścia na ośmiotysięczniki wyglądały wręcz jak spacer, lekki, łatwy i przyjemny.

– Bo widzi się tylko efekt końcowy. Była to kwestia mojej wielkiej pasji, determinacji, wytrwałości i przeświadczenia, że można osiągnąć to, co na pozór niemożliwe. A także lata przygotowań, wysiłków, treningu fizycznego, budowania odporności psychicznej. I nie był to spacer. Na Dhaulagiri dwa razy zasypały mnie lawiny w miejscach, w których teoretycznie nie powinny schodzić. W pierwszym przypadku ustałam na nogach, a w drugim poniżej obozu III byłam przypięta do poręczówki i zostałam całkowicie zasypana. Prawie dwie minuty byłam pod śniegiem. Poręczówka na szczęście wytrzymała, sama się odkopałam, wyszłam z tego cało. Na K2 przy podejściu do obozu II znalazłam się w rzece lecących kamieni, musiałam wykazać się refleksem i szybkością, żeby uciekać w odpowiednim kierunku. Trafiły mnie trzy razy – na szczęście tylko w kask i plecak. Potem, w czasie zejścia ogarnęła mnie biała ciemność, wówczas traci się orientację, nie wie się, czy idzie się w górę, czy na dół. Przeczekałam to, zesłam szczęśliwie. Bardzo ciężki był powrót z Everestu: walka z osłabieniem organizmu po 12 godzinach wyczerpującej wspinaczki, huragan, śnieżyca, mgła. Schodzenie jest zawsze trudniejsze, wymaga maksymalnej uwagi

Dorota Rasińska-Samoćko skompletowała Koronę Himalajów i Karakorum, zdobywając jako pierwsza Polka 14 szczytów ośmiotysięcznych (na dwa z nich weszła dwukrotnie). Zrobiła to w niespełna trzy i pół roku, od 12 maja 2021 do 9 października 2024 r. Z zawodu jest prawniczką i dyplomatką, poza himalaizmem uprawia nurkowanie i jazdę na nartach. Napisała książki „Moja Azja. Dora na szlaku” oraz „Australia i coś więcej”.



DOROTA RASIŃSKA-SAMOĆKO

– himalaistka

i powstrzymania emocji oraz właściwej oceny sytuacji.

Wspina się pani z zaskakującą skutecznością.

– Jedynie na Dhaulagiri nie weszłam za pierwszym razem. Raz z powodu postawy mojego partnera wspinaczkowego, Szerpy. W drugim przypadku wyprawa została definitywnie przerwana właśnie z powodu zagrożenia lawinowego, nikt już później nie był w stanie iść do góry. Namawiałam wszystkich, żebyśmy

poczekali parę tygodni, to pogoda na Dhaulagiri się poprawi, ale nie dali się przekonać. Poza tym zawsze wchodziłam za pierwszym razem, także na te najtrudniejsze ośmiotysięczniki.

Czyli na tych wyprawach wszystko funkcjonowało jak w zegarku?

– O nie, często działo się coś nieoczekiwanego. Na K2 przesunęło się okno pogodowe. Mieliśmy już ruszać w górę z obozu II, ale nagle napadła tyle śniegu, że spędziliśmy w dwójce kolejne dwie noce. Inni wspinacze chcieli wracać. Tym razem ich przekonałam, mówiąc, że to końcówka sezonu i skoro jesteśmy tak wysoko, warto poczekać na ostatnią szansę. Udało się, przeczekaliśmy śnieżyce, weszliśmy na wierzchołek. Na Gaszerbrumie II mój partner wspinaczkowy spadł kilkadziesiąt

metrów, zginąłby, gdybym go nie asekurowała. Stracił plecak, miał kłopoty z nogą, był w szoku, powiedział, że nie może ze mną iść na Gaszerbrum I. Udało mi się znaleźć wtedy innego partnera, poszliśmy do góry, choć warunki były bardzo trudne i ponad połowa wspinaczy zrezygnowała. Dotarliśmy do obozu III, gdzie, jak wcześniej ustaliliśmy z włoskimi wspinaczami, mieliśmy wejść do ich namiotu. Włosi powiedzieli jednak, że nie mają miejsca. Było potwornie zimno, mocno wiało, mogliśmy tylko schodzić albo iść do góry. Zdecydowaliśmy więc, że atakujemy szczyt. Byliśmy jedyną dwójką, która poszła wtedy w górę. Od obozu III do wierzchołka mieliśmy prawie 1000 m różnicy wysokości. Wiatr, mróz, oblodzenie, nie było poręczówek, bo przed nami nikt w tym sezonie nie zdobył Gaszerbrumu I. Nasz atak szczytowy trwał ponad 18 godzin i zakończył się sukcesem.

W czasie tylu wypraw nigdy nie zdarzyło się pani żadne odpadnięcie?

– Nigdy, staram się bardzo uważać, zwłaszcza w zejściu. Wtedy często następuje dekoncentracja, ludzie się śpieszą, chcą jak najszybciej wyjść z strefy śmierci. Gdy w odstępie zaledwie tygodnia wchodziłam na oba Gaszerbrumy, wspinacze dwa razy wpadli w potworne szczeliny, które są u podnóża tych szczytów. Na szczęście zdołano ich uratować.

Zdarzały się pani jeszcze szybsze wejścia: 22 maja 2022 r.

Lhotse – 28 maja Makalu, 22 lipca 2024 r. Broad Peak – 28 lipca K2.

Tylko po sześć dni różnicy.

Jak to w ogóle możliwe?

– Z Lhotse do bazy zeszłam w niecałe dwa dni, nocując w obozie II. Ponieważ już było mało czasu, spod Lhotse przeleciałam helikopterem do bazy pod Makalu. Po Makalu, 1 lipca, zdobyłam Nanga Parbat, a potem szybko schodziłam na dół, by w okolicach Chilas wsiąść w transport do Askole i ruszyć w sześciodniowy, wymagający trekking do bazy pod Broad Peakiem. Bogatsi himalaiści

lecą tam helikopterami albo jadą konno, a ich bagaże na mułach czy osłach prowadzonych przez tragarzy. Na wierzchołku Broad Peak stanęłam o ósmej rano, moje zejście do bazy trwało tylko osiem godzin, choć musiałam bardzo uważać, bo lód się topił i w niższych partiach góry było ślisko. Kolejnego dnia w ciągu półtoręj godziny przeszłam do bazy pod K2. Bez teamu sponsorskiego i organizowania dużych wypraw zdobyłam w 2022 r. siedem ośmiotysięczników w trzy miesiące, za co otrzymałam nagrody Kolosa, Primus Inter Pares

W górach nie rywalizuję. Staram się poznać możliwości własnego organizmu.

oraz Orła Klubu Wysokogórskiego Warszawa. Zostałam najszybszym himalaistą na świecie – bo nie wchodziłam z grupą Szerpów jak Nims Purja czy Kristin Harila, więc nikt nie torował mi wcześniej drogi.

Ile kosztuje średnio jedna wyprawa na ośmiotysięcznik?



– Najwyższe ceny za pozwolenia są na Evereście i K2 – ok. 12 tys. dol. Tańsze są np. Dhaulagiri czy Manaslu, pozwolenie kosztuje 1-1,2 tys. dol. Nie potrafię jednak ocenić, jaki jest cały koszt moich ekspedycji. Staram się tylko, żeby na nie starczyło.

Żeby się wspiąć, zrezygnowała pani z pracy w służbie zagranicznej. A przecież wielu ludzi marzy o takim zajęciu.

– Na samych wyprawach spędzam średnio siedem miesięcy w roku, a jeszcze trzeba przygotować się do nich i wszystko zorganizować.

Nie można tego pogodzić z pracą, w której jest tylko miesiąc urlopu. Zwłaszcza że gdy pracowałam w ambasadzie w Belgradzie, a później w Stałym Przedstawicielstwie RP przy Unii Europejskiej w Brukseli, musiałam być dyspozycyjna przez całą dobę. W ambasadzie byłam I sekretarzem ds. politycznych i rzecznikiem prasowym, a w Brukseli awansowałam na stanowisko radcy politycznego. Jako profesjonalistka nie bardzo mogłam osiągnąć jeszcze więcej. Ostatecznie zrezygnowałam z pracy zawodowej i pojechałam na pierwszą wyprawę, na Everest. To była dobrze przygotowana i zaplanowana decyzja.

Przygotowana także finansowo?

– Przy pierwszej ekspedycji pomogły mi pieniądze z odszkodowania za skradzione auto, ale generalnie musiałam wykorzystywać wszystkie swoje zdolności negocjacyjne i dyplomatyczne, aby pozyskać niezbędne środki. Nie ukrywam, że od tej przyziemnej strony było to dla mnie zawsze ciężkie zadanie. Gdybym miała sponzorów, z wolną głową mogłabym się skoncentrować wyłącznie na celu.

Jest pani niezwykle szybka w górach. Czemu to przypisać?

– Swoją wytrzymałość i wydolność stale rozwijam poprzez systematyczny trening, bo nawet jeśli ma się wrodzony talent czy ▶

Gaszerbrum II, 21 lipca 2024 r., po 22-godzinny ataku szczytowym.

► zdolności, bez pracy i wysiłku nie przynoszą one efektów. Lubię cały czas być w ruchu, trening nie może mi się nudzić, musi być urozmaicony. Rano zwykle biegam przez godzinę-dwie, po odpoczynku przez trzy-cztery godziny jeżdżę na rowerze albo jestem na basenie (często pływam na bezdechu, co poprawia wydolność), wieczorem kolejny bieg i rower stacjonarny. Przed samym wyjazdem na wyprawę lubię zaś pochodzić po polskich górach lub po Dolomitach. Mam wtedy i wspinaczkę, i trekking. Bardzo wymagające są Tatry zimą, poza utartymi szlakami. Marznę tam bardziej niż w Himalajach. Przeszłam chyba wszystkie góry polskie, czeskie i słowackie. Wspinanie jest też dla mnie formą odstresowania się, sprawia mi przyjemność. Poza tym ja w górach nie rywalizuję. Staram się poznać możliwości własnego organizmu, ale nie ścigam się z innymi wspinaczami. A jak się nie spinasz i z nikim nie ścigasz, wszystko przychodzi ci łatwiej i szybciej.

Jakie znaczenie w górach ma psychika?

– Ogromne. Nigdy nie znamy do końca możliwości własnego organizmu. W górach wysokich jesteśmy niewyspani, głodni, zmarznięci, wiatr może nam porwać namiot, nie mamy jak zjeść ciepłego posiłku, gnębią nas problemy żołądkowe. Zdarza

**Czasami wydaje mi się, że jednak jem za dużo.
I zawsze chciałam być wyższa.**

się, że paręset metrów przed szczytem czujemy potworne wykończenie i słabość. Psychika pomaga nam wtedy wydobyć ostatnie pokłady energii i dobrze rozłożyć resztki sił, przekona nasz organizm, że warto jeszcze iść do góry. Gdy wieje huraganowy wiatr i trzeba przetrwać trzy noce bez snu, trzymając pałaki namiotu, aby razem z tobą nie poleciał w przepaść, to psychika sprawi, że dasz radę. W górach wysokich trzeba cały czas być czujnym, a ciągłe obciążenie psychiczne powoduje szybszy ubytek sił fizycznych. Wtedy liczy się przede wszystkim głowa.



Großglockner – najwyższy szczyt Austrii, 3798 m n.p.m.

Czy na wszystkich ośmiotysięcznikach są już stale poręczówki, ułatwiające wchodzenie i schodzenie?

– Oczywiście, że nie. Na przykład, kiedy ja się wspinałam na Nanga Parbat, nie było ich od obozu III do samego wierzchołka – a trzeba tam iść po sypkim, niebezpiecznym śniegu. Na Gaszerbrumach między bazą a obozem I, gdzie są najgorsze szczeliny, ja i mój partner wspinaczkowy

Można też wychodzić wcześniej, wtedy kolejkę się ominie i nie trzeba będzie czekać na mrozie.

Z kim najczęściej wchodziła pani na ośmiotysięczniki?

– Przy osiągnięciu Korony Himalajów i Karakorum moim głównym partnerem wspinaczkowym był Sierpa Dawa. Pierwszy raz spotkałam go na Manaslu, dobrze nam się współpracowało, znaleźliśmy nić porozumienia. Wspólnie układaliśmy nasz plan wspinaczkowy, wspinaliśmy się razem w Nepalu i Pakistanie. Nie był ze mną tylko na Evereście i Makalu ani na Gaszerbrumie I (po wypadku na Gaszerbrumie II). To ważne, żeby znać partnera wspinaczkowego oraz jego umiejętności, być go pewnym i wiedzieć, kiedy można na nim polegać. Na wyprawach dzieliliśmy się obowiązkami, nigdy nie było tak, że ja tylko idę, a Dawa zajmuje się resztą. Nasza współpraca jest w pełni partnerska. Wielokrotnie nie schodziliśmy jednak razem, bo ja byłam po prostu szybsza.

W którym momencie włączała pani tlen?

– Tylko podczas ataku szczytowego, zwykle po wyjściu z najwyższego obozu. Przykładowo, gdy wchodziłam na Gaszerbrum II czy

zakładaliśmy przy powrocie własne poręczówki i poprawialiśmy te stare, a powyżej obozu III też ich nie było. Nie ma stałych poręczówek na K2 w okolicach obozu IV ani w szczytowych partiach Broad Peak czy Dhaulagiri. Dlatego zwłaszcza przy schodzeniu z tych wszystkich szczytów ryzyko jest maksymalne. Stamtąd nie ma bezpiecznego powrotu.

Na Evereście takie poręczówki są czasem miejscem groźnych korków.

– Na szczęście nie stałam w nich. Gdy wchodziłam na Everest, w tym samym oknie pogodowym szło powyżej 30 osób, więc kolejek nie było.

na Sziszapangmę, osiągnęłam bez tlenu wysokość ok. 7700 m. Nie stosuję natomiast coraz popularniejszych wśród wspinaczy namiotów tlenowych ani żadnej farmakologii – i wchodzę w bardzo trudnych warunkach, przy huraganowym wietrze, w śnieżyce. A do tego idę dość szybko.

Jak były dokumentowane pani wejścia na ośmiotysięczniki?

– Oczywiście za pomocą zdjęć. Na ich podstawie przyznano mi certyfikaty wejścia na każdy z szczytów ośmiotysięcznych, wydawane przez rządy Nepalu oraz Pakistanu i Chin, więc mam już 16 tych certyfikatów. Niejednokrotnie byłam świadkiem sytuacji, że wspinacze próbowali oszukiwać i przekonywali, że gdzieś weszli – a nie weszli. Obecnie wszystkie wejścia są rygorystycznie weryfikowane przez dokumentację fotograficzną i relacje innych członków wyprawy, którzy też byli na szczycie. Inna sprawa, że we mgle i przy złej pogodzie czasami trudno ustalić, czy rzeczywiście jest się już na samym wierzchołku, a nie kilkanaście metrów przed nim.

Ile waży cały ekwipunek, który nosi pani na sobie i ze sobą?

– Gdyby tak zsumować: plecak, który może mieć do 20 kg, buty – 3 kg z kawałkiem, kombinezon – prawie 3 kg, do tego raki, czekan, uprząż, to okaże się, że wszystko waży prawie 30 kg. W ataku szczytowym już oczywiście mniej.

A ile pani sama waży?

– Około 45 kg, przy 173 cm wzrostu.

Strasznie mało! Pani chyba nie nie je.

– Ale u mnie są prawie same mięśnie. A czasami wydaje mi się, że jednak jem za dużo. I zawsze chciałam być wyższa.

Czego nauczyły panią góry?

– Respektu wobec nich, ostrożności, tego, że zawsze może się zdarzyć coś nieoczekiwanego i nigdy nie należy być do końca pewnym swoich możliwości. W górach wysokich nie ma łatwych szczytów. Gdy wchodziłam na Denali i Pik Lenina, którym przecież sporo brakuje do 8000 m, musiałam ratować życie swoich partnerów wspinaczkowych,

a warunki były dużo bardziej ryzykowne niż w Himalajach i Karakorum. Ja nie walczę z górą, lecz rozmawiam z nią – i w zgodzie z naturą staram się wejść na wierzchołek. Góry to pasja, która mnie uskrzydla. Nigdy się nie złościę na górę, z każdego doświadczenia wyciągam wnioski. Gdy musiałam wycofać się spod Dhaulagiri i weszłam na nią za kolejnym razem, to nawet bardziej ją polubiłam, mam z tą górą jeszcze ściślejszy związek.

A co góry pani zabrały?

– Niestety, wielu znajomych z kursów skałkowych i wspinaczkowych, którzy w górach zostali na zawsze. Na wyprawach himalajskich, w bazie, wspinacze codziennie spotykają się przy stole w jadalni, tam zawiązują się przyjaźnie, prowadzimy fajne rozmowy. A później, gdy świętujemy zakończenie wyprawy i wejście

Można odnajdywać siebie na lodowcach, w huraganowym wietrze i czerpać z tego radość.

na szczyt, okazuje się, że przy tym stole nie ma wszystkich tych, którzy zaczynali. Tak było podczas moich wypraw na Everest, Annapurnę, Kanczendzongę.

Czy dlatego spisała pani testament?

– Sporządziłam testament, bo uważam, że swoje sprawy należy zawczasu uporządkować, żeby nie sprawiać komuś ewentualnych problemów w przyszłości, a nie dlatego, że akurat wyjeżdżałam na wyprawę w góry wysokie. Wcześniej też dużo podróżowałam, zwiedziłam z plecakiem prawie 140 krajów, zwykle w pojedynkę. I wszędzie, gdzie byłam, starałam się wybrać na grań. W Europie już chyba w każdym kraju chodziłam po górach.

A kim są pani potencjalni spadkobiercy?

– To moja bliska rodzina, ale myślę, że raczej nie odziedziczą po mnie zbyt wielu dóbr materialnych. Na pewno jednak zostawię im dużo opowieści, anegdot, opisów wypraw. Za sprawą swojej wysokogórskiej pasji mam też sporo pożyczek i zobowiązań finansowych (bo dochodów mi ona nie przynosi).

Czy pani brat też się wspina?

– Wspina się... malując obrazy, zresztą bardzo piękne. Stanowią one wspianą ilustrację cyklu moich wypraw w Himalaje i Karakorum. Brat w tych obrazach w niezwykle sposób przekłada moją pasję górską na swoją wrażliwość artystyczną.

Jak bliscy odnoszą się do wybranej przez panią, niezbyt bezpiecznej drogi życia?

– Rodzina na początku nie w pełni rozumiała, że można odnajdywać siebie na lodowcach, w huraganowym wietrze i czerpać z tego radość. Dziś już wiedzą, że inaczej nie byłabym sobą i tylko jakaś część mnie przebywałaby tu, na ziemi. Góry to mnóstwo doświadczeń, mnóstwo wrażeń. Nie ma w życiu pełnej satysfakcji, jeżeli sobie na nią nie zapracujemy. Bez tego wszystko byłoby zbyt miłą i płaską. Nie ma łatwych

dróg, jeśli naprawdę chcemy osiągnąć coś ważnego, coś, co daje nam szczęście. I właśnie to jest piękne w naszym życiu.

W sumie widzę, że uprawia pani romantyczny himalaizm, w dodatku nieskażony pieniędzmi sponsorów.

– Niestety, nieskażony. Próbowalam przekonać polskie władze, ministerstwa, instytucje i związki różnych typów, że warto wspierać projekt zdobycia Korony Himalajów i Karakorum przez upartą Polkę, że chodzi tu nie tyle o mnie, ile o promowanie w świecie samej idei polskości oraz naszego idealizmu. Oni jednak w ogóle nie widzieli w tym potencjału. Ja natomiast byłam niedawno w Pradze na dużym festiwalu górskim. Mówiłam po angielsku, który raczej nie jest językiem nacechowanym ekspresją. Międzynarodowa publiczność, w tym Czesi, Niemcy i Austriacy, wspianale reagowała na moją opowieść, doskonale wyczuwała każdą emocję. Bardzo mnie to ujęło i przekonało, że język prawdziwej pasji jest uniwersalnym przekazem i może dotrzeć do każdego.

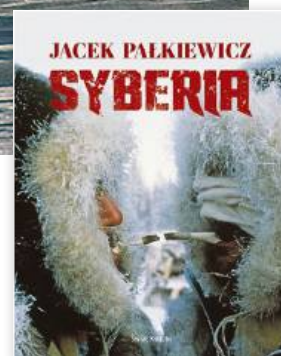
Andrzej Dryszel



1

SYBERIA ODKRYTA

Książkowy bestseller „Syberia”, który inspiruje dwa pokolenia polskich podróżników, doczekał się VIII wydania. Autor jak mało kto poznał zauralską krainę. Był naocznym świadkiem agonii radzieckiego imperium, baczny obserwatorem kapitalizmu w wydaniu rosyjskim i jego skutków: bezprawia, korupcji i agresji. Mediolański „Corriere della Sera” pisał swego czasu: „Wyprawa »Syberia 89« kierowana przez Jacka Pałkiewicza odegrała niebiałą rolę w ociepleniu relacji Wschód-Zachód w burzliwym okresie pierestrojki, punkcie zwrotnym w historii XX w.”.



Jan Smuga

Minus 40. Minus 50. Dwa tygodnie ekstremalnie niebezpiecznej podróży saniami ciągniętymi przez renifery. 1,5 tys. km przebytych po lodzie – bo TAM nie ma dróg. Pędzi się środkiem zamrożonej rzeki, w duchu modląc się do wszystkich lokalnych bogów, by kapryśna natura nie dźgnęła swoim bezwzględny palcem skamieniałej tafli, by renifery nie wpadły w świeżo zamrożoną potać wody, by sań nie oblepiła natychmiast grzechocząca kasza lodowych pigulek...

Ale bogowie bywają bezlitośni. Renifery zapadają się, sanie przewracają. Liczy się każda sekunda. Od hartu i szybkości reakcji zależy życie grupy eksploratorów. Jacek Pałkiewicz stoi na jej czele. I wie, że odpowiada za życie śmiałków, bo TAM nikt im nie pomoże. TAM. W sercu Syberii.

Na zauralskich terytoriach spędził w sumie prawie dwa lata. Był wszędzie, od Kuryłów po Czukotkę i Cieśninę Beringa, od Wysp Komandorskich po Jakucję i Kraj Chabrowski. A jak do tego doszło?

Nikt nie rodzi się śmiałkiem. Człowiek hartuje charakter w trudach wychowania, w codzienności, pokonując kolejne przeszkody, powstając po upadku. Jacek Pałkiewicz, urodzony podczas II wojny światowej w Niemczech, w obozie pracy, nie miał łatwego startu. A kiedy

tylko z czasem mogło być łatwiej – gdy zamieszkał po wojnie z rodzicami na Mazurach – utrudniał sobie życie, jak potrafił. Manewry harcerskie, bojery, bieganie, patenty żeglarskie. Wkuwanie na pamięć atlasu, przykładanie się do nauki języków... Po co to wszystko? „Bo ja będę podróżnikiem!”.

Któż mógł serio traktować w powojennej siermiędze słowa подростка? Codziennosc sama z siebie była survivaliem, granice zamknięte, rosyjska wszechwładza... „Co tak na serio chcesz robić w życiu, Jacku?”. „Będę podróżnikiem!”.

Kiedy pracował we włoskiej restauracji, w pośpiechu zrobił patenty oficerskie, gdy strzegł w Afryce kopalni diamentów i dwa lata spędził na pokładzie tanich bander, wiedział, że to tylko kolejne kroki do realizacji planów. Planów – nie marzeń! Powtarza przecież na licznych spotkaniach, że on nie siedzi i nie marzy. Realizuje powzięte plany i tyle.

Kiedy kupił emerytowaną pięciometrową szalupę ratunkową, tanim kosztem przerobił ją na żaglówkę i postanowił przepłynąć nią Atlantyk z Afryki do Ameryki, wszyscy żegnali się z nim na dobre, potajemnie stukając w czoło. „Co chcesz udowodnić, Jacku?”. „Ano tyle, że wiedza, umiejętności i hart ducha pozwalają wyjść cało z ekstremalnie niebezpiecznej sytuacji”. I wyszedł! Tym wyczynem otworzył sobie bramy do świata wielkich eksploracji.

Nikt dotąd nie przeszedł piechotą dżungli na Borneo? Nawet filipińscy komandosi zawrócili? „My przejdziemy!”.

Przeszli. Żaden dziennikarz nie przebył Sahary z tradycyjną karawaną, w palącym słońcu, piachu o piekielnej temperaturze i gubiąc się na środku gorącego inferna? „To ja wyruszę!”. Nikt nie wie, gdzie znajduje się legendarne El Dorado? „Ale ja dotarłem do map sprzed pół tysiąca lat. Wyruszę, poszukam!”.

W ten sposób w ciągu ostatniego półwiecza, pracując dla włoskiego „Corriere della Serra” oraz czasopism polskich i rosyjskich, publikując w Europie i w obu Amerykach, Pałkiewicz wdrapał się na kapitol odkrywców i eksploratorów świata. Bez nawigacji GPS, niejednokrotnie bez map, pozbawiony wiedzy, czy Dajakowie wciąż pożywiają się wrogami, czy w Papui plemię Korowai wciąż buduje domy w koronach najwyższych drzew, czy amazońska puszcza nie pochłonie jego wyprawy, tak jak to zrobiła przed stu laty z ekspedycją płk. Percy’ego Fawcetta.

Kiedy wreszcie w 1996 r. jego międzynarodowa wyprawa naukowa ustaliła ostatecznie, gdzie są źródła Amazonki, Jacek Pałkiewicz miał prawo osiąść na laurach i opowiadać wszem wobec, że osiągnął szczyt. Zrealizował plany. Miał już za sobą wyprawy przez wszystkie pustynie świata, dżungle, oceany – aż po krańce Syberii. Ale nie zatrzymał się, nie przystanął.

A właśnie – Syberia! Jeśli ta bezkresna, niegościnna, zimna połączyć nam się z jakimiś wydarzeniami, to przede wszystkim z tragedią tysięcy powstańców wywożonych bądź gnanych miesiącami przez 5 tys. km, aż do Omska, nad Bajkał czy dalej, na Sachalin. Całe lata żaden dziennikarz spoza Związku Radzieckiego nie miał prawa wędrować po tej tajemniczej ziemi. Ba! Nawet rosyjscy publicyści dopuszczani byli wyłącznie do wybranych rejonów i zawsze pod „opieką” KGB, jeśli tylko przekraczali granice miasta czy wioski.

Cóż mogli wiedzieć o tej tajemniczej krainie mieszkańcy Europy Zachodniej i Ameryki? Ledwie parę opowieści, legend, mrocznych przekazów. I oto w dobie pierestrojki do Włoch, gdzie mieszkał Jacek Pałkiewicz, przybył Eduard Szewardnadze, minister spraw zagranicznych ZSRR. Ugoszczony w rezydencji podróżnika w Bassano del Grappa obiecał przepustkę do Rosji. I spełnił przyrzeczenie. Fama niesie, że to sam Gorbaczow przybił pieczęć pod zgodą na syberyjskie odyseje polsko-włoskiego dziennikarza. Najpierw pod skrzydłami czujnych funkcjonariuszy KGB, potem już samodzielnie.

Tak oto w czasie odwilży i przemian Jacek Pałkiewicz jako pierwszy nierosyjski publicysta posmakował zupy z rosyjskiego renifera, nocował w barakach i namiotach, pędził ▶

1. Syberyjska wichura.
2. Wendeta za uśmiercenie renifera na wyprawie Pałkiewicza na biegun zimna.
3. Naturalna lodówka na bazarze w Jakucku.
4. Ojmiakon, światowy biegun zimna w Jakucji. Kiedyś zanotowano tutaj minus 71,2 st.



2



3



4

► saniami pośród nocy, przegadał nocy z Jakutami, Czukczami, Kamczadalami... Reportażami ubarwionymi niezwykle fotografiami zasypał cały zachodni świat, ukazując nowe oblicze Syberii – pełnej ludzi ciężko walczących o byt, ale gościnnych i otwartych. Pokazał surową przyrodę i kapryśną pogodę, wędrując pośród trzaskającego mrozu, przy minus 50 st., a w lipcu wspinając się na szczyt Czerskiego nad Bajkałem, gdy temperatura sięgała plus 20 st.

Efektom licznych wypraw tam, gdzie nawet diabeł bał się mówić dobranoc – na Kuryle i Diomedę – stała się wielokrotnie wznawiana i uzupełniana książka „Syberia”. Okraszona znakomitymi fotografiami opowieść podróżnika o bezmiarze dziewiczych lasów, o plemionach żyjących według dawnych reguł, o hodowcach reniferów, szamanach, ale i naukowcach, wciąga i przenosi czytelnika w świat niezwykle, inny, surowy. No i prawdziwy.

Najnowsze wydanie „Syberii” uzupełnione jest o efekty wyprawy podjętej w poszukiwaniu potomków powstańców styczniowych. Okazuje się, że do dziś w tej dalekiej krainie mieszkają ich tysiące, a wśród nich ludzie o niezwykle trudnych życiorysach. Niekoniecznie zresztą barwnych – bo oto obok aktora, antykwariusza i staruszki uprawiającej ogórki trafiamy na przemiłą babuszkę z niezwykle wysoką emeryturą. Skąd tak nietypowe świadczenie? A, bo oto stoi przed nami była stalinowska pani prokurator...

Jacek Pańkiewicz nie oszczędza świata. Odrzuca poprawność polityczną. Wie jednak, że jego ugruntowane poglądy nie muszą być podzielane przez przedstawicieli kultur, z którymi się styka. Pyta, ogląda, dotyka, smakuje – i opowiada szczegółowo, ze świadomością, że jako eksplorator chwytą w kadr fotografii i okowy słowa przemijające chwile, rytuały, myśli, chaty, ścieżki i lodowe góry.

Czytając „Syberię”, nie tylko przenosimy się w obszary odległe geograficznie, ale i podróżujemy w czasie, co daje nam szansę poznania świata, który odchodzi, ewoluuje, a czasem znika. Warto też czytać książkę ze świadomością, że autor pożegnał się z tą krainą na zawsze. Całe lata deklarował się jako rzecznik ocieplania stosunków polsko-rosyjskich. Kiedy jednak Rosja zdradziecko napadła na Ukrainę, tekstami w polskiej prasie jednoznacznie odciął się od rosyjskich polityków i publicystów, postulując absolutną blokadę putinowskiego kraju. Syberia pozostaje więc w jego pamięci jako kraina z przeszłości.

Warto się pochylić nad najnowszym wydaniem, do którego bardzo osobisty wstęp napisał Jan Grzegorzczak. Warto spojrzeć na te surowe bezkresy okiem zuchwałego podróżnika, eksploratora, pokonującego tysiące kilometrów, by zakląć w słowo i fotografię okrucieństwa życia świata tak od nas odległego.

Czy w Ojmiakonie wciąż zdarzają się mrozy sięgające 70 st.? Czy nieliczni ocalali po stalinowskich czystkach Koriacy na Kamczatce potrafią wytrwać w odrębności kulturowej? Czy Irkuck ze swoimi 160 narodowościami akceptuje Polaków podobnie jak Buriatów czy Holendrów?

Jak dziś wygląda miejsce, w którym polski zesłaniec Jan Czernski wracał na noc do więzienia, za dnia pracując dla Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego? Sięgamy po „Syberię” i wiemy.

Jan Smuga





6



9



7



10



5. Czukczowie przygotowują stroganinę na kolację.
6. Stroganina, jakucki przysmak z zamrożonej na kość ryby łososiowej, którą struga się na poskręcane wstążki.
7. W syberyjskiej głuszy.
8. Ostatni szaman na północy półwyspu Tajmyr.
9. Ostatki śladów gułagów epoki stalinowskiej.
10. Jakuck-Ojmiakon, 30 dni podróży zaprzęgami reniferowymi.
11. Słynna rosyjska trojka w galopie osiąga prędkość nawet 45 km/godz.
12. Purga, wichur połączone z burzą śnieżną.



12



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Wigilia z duchami

Co to właściwie jest ten świąteczny nastrój? U mnie od wielu lat to raczej rozstrój, tłumy w sklepach, nawet po bułę i masło trzeba odstać swoje i słuchać świątecznych evergreenów w każdym radiowęźle. A nawet jak akurat żaden głośnik nie bombarduje, to ludzie sami z siebie biorą się do nucenia świeckich kolęd. Aż mi się marzy jakieś Radio Szatan, które pod koniec adwentu ucieszy uszy jakąkolwiek odmianą. Nie musi to być od razu death metal, wystarczy Mozartowskie requiem albo preludium Deszczowe – cokolwiek w tonacji molo-wej, a jeśli z tekstem, to smutnym. Wypada się cieszyć, bo czyjś bóg się rodzi, za parę miesięcy trzeba będzie się umartwiać, bo mu się zemrze – a ja nie jestem skory do emocji na zawołanie.

Kiedy przestałem czuć coś w rodzaju nastroju świąt? Bodaj 27 lat temu w przeddzień Wigilii stopniał cały śnieg w Szczyrku, w samą Wigilię lało jak z cebra, dla mnie to był jakiś zwiastun końca świata, rzecz niepojęta klimatycznie, złowroga anomalia. Albowiem święta zawsze wcześniej były białe, po wyjściu z pensjonatu po prostu zapinałem narty i śmigalem na nich pod wyciąg, w dolinie chodniki wyglądały jak tunele wydłużone w śniegu, zaspasy sięgały ponad głowami wierzchu płotów. Pamiętam, jak rottweilery strzegące na co dzień pracownic pobliskiego burdelu (usytuował się na przeciw pensjonatu prowadzonego przez siostrę) przebiegały nad płotem i hulały samopas, ja zaś w butach narciarskich i kombinezonie, uzbrojony w kijki i tak czułem się nieswojo, kiedy bydlaki nadbiegały, żeby mnie obwąchać. Te nagłe święta brązowo-zgniłozielono-szare, mokre, nawet nie odwilżowe, ale jesienne po prostu, przeraziły nas wszystkich.

Ojciec głowił się, co też bóg chce nam przez to powiedzieć, to na pewno zapowiedź jakiejś okrutnej kary. Tata wierzył wyłącznie w boga starotestamentowego, takiego, co to mówi: „Nie chcesz we mnie wierzyć, ale i tak będziesz się mnie bał”, nieskorego do nagradzania, pożytkującego swoją wszechmoc w wyrafinowanych karach. Ojciec w niebo za bardzo nie wierzył, chadzał po rozgrzeszenie do konfesjonatu głównie po to, żeby po śmierci nie wylądować w piekle, lubował się w opisach mąk wiecznych, które czekają na „takich niewierzących gnojków” jak ja – mawiał tak od czasu, kiedy zbyt już podroستم, by sam mógł wymierzać mi kary doczesne.

Matka też w tę deszczową Wigilię załamywała ręce. „Mogliśmy zostać w domu”, mówiła. „To kara za to, że na święta wyjeżdżamy w góry”, trapiła się. „Co to za święta bez domowej atmosfery”. O ile dobrze pamiętam, zaczęliśmy wyjeżdżać na święta do pensjonatu mojej siostry, aby brać udział w zbiorowych hotelowych wieczerzach dla gości, bo kilka ostatnich wigilii domowych kończyło się, by tak rzec, rodzinnymi niesnaskami, czyli kłótniami rodziców, płaczem matki i moim nerwowym obgryzaniem paznokci. Świątowanie na terenie neutralnym miało zapobiec awantom.

W zamierzchłych czasach mojego dzieciństwa rodzice jakoś dawali radę nie pokłócić się przy wigilijnym stole, zasiadali po to, żeby pobawić się w zgodną rodzinę, udawali, że jeszcze nie zdążyli się znienawidzić, a ja udawałem, że o tym nie wiem. Jeśli coś zapamiętałem jako świąteczną nastrojowość, to matczyną krzątaniem, do której mnie zaprzęgała, karpie w balii z lodowatą wodą,

Umarli zasiadają do stołu bezgłośnie, niewidzialnie i nie generują napiętego oczekiwania na wybuch pierwszej kłótni.

do której wkładałem rękę, żeby je pogłaskać, ich lepkie łuski, a potem mój brak apetytu manifestowany pod pretekstem nadmiaru ości (tak naprawdę nie byłem w stanie zjeść stworzenia, którego dotykałem, kiedy jeszcze żyło). Świąteczny nastrój był więc zawsze złudzeniem – dawniej było to złudzenie rodzinnej harmonii, potem utęda harmonii sfer, a teraz już tylko festiwal jarmarcznych uśmiechów i dobroci w promocji.

Pamiętam pierwsze święta bez rodziców – dla obu stron to było trudne – spędzając wigilię z narzeczoną, miałem wyrzuty sumienia, że zostawiłem starych w opustoszałym gnieździe i teraz już nic nie stanie im na przeszkodzie, by się wzajemnie sobą zatruli; stracili strefę buforową. Wydzwaniali do samego końca, że tego pożałuję, że „jeszcze zatęsknię, jeszcze rzewnymi łzami zapłaczę”. Cóż, wyteściłem się i wyplakałem najwyraźniej jeszcze za ich życia, bo teraz oto nadeszły pierwsze święta, kiedy obojga już nie ma na tym świecie, a ja, strach się przyznać, zamiast smutku czuję raczej ulgę. Umarli zasiadają do stołu bezgłośnie, niewidzialnie i nie generują napiętego oczekiwania na wybuch pierwszej kłótni. Nareszcie są w pełni uduchowieni. ■



Tomasz Skowronek

Rekordową wartość 1,2 mld euro osiągnął w 2023 r. eksport korka, podaje APCOR, portugalskie stowarzyszenie producentów tego drewnopochodnego materiału. To o 2% więcej niż w roku poprzednim, a eksport rośnie od lat. Portugalia jest największym na świecie producentem korka. Już w 2011 r. tamtejszy parlament uznał dąb korkowy za drzewo narodowe (*árvore nacional*) i nakazał nawet wybicie z niego specjalnych monet. Dęby korkowe są chronione ustawowo, ścinanie zdrowego drzewa jest surowo zabronione.

Z pokolenia na pokolenie

Każdy, kto był w Portugalii, najprawdopodobniej natknął się na sklepy z pamiątkami oferujące wszelkiego rodzaju produkty wykonane z korka, w tym buty, torebki, portfele, maty pod myszki, maty do jogi, pokrowce na iPady, a nawet meble. Narodowe dobro można znaleźć także w instrumentach dętych drewnianych, wewnątrz piłek bejsbolowych, w ogóle prawie we wszystkim, co można sobie wymyślić.

Portugalia walczy o drzewo korkowe

Uprawa dębów korkowych jest jedną z najbardziej naturalnych metod ochrony planety przed zmianami klimatycznymi

Dąb korkowy Portugalczycy nazywają *sobreiro*, *sobro*, *sobreira* lub *chaparro*. Drzewa te rosną na ponad 720 tys. ha, co stanowi jedną trzecią istniejących lasów tego gatunku, charakterystycznych dla regionu Morza Śródziemnego. Najważniejszym miejscem występowania lasów korkowych w Portugalii jest zdecydowanie prowincja Alentejo.

– Trzeba słuchać sygnałów wysyłanych przez drzewo, zwracać uwagę na dźwięk topora wbijającego się w korę, jej kolor, stan ziemi wokół pnia – mówi 24-letni Fabio Mendes, jeden z nielicznych młodych *tiradores de cortiça*, czyli osób pozyskujących korki. Codziennie, pięć dni

w tygodniu, zadaje ostry cios siekierą w jedno z drzew, które są źródłem bogactwa miasta Coruche, znanego w kraju jako stolica korka, a leżącego właśnie w regionie Alentejo.

Aby uzyskać korek na przetwórstwo, wystarczy usunąć wierzchnią część kory dębu, bez konieczności ścinania go. – Jeśli nie zmierzmy idealnie siły, z jaką uderzamy w drzewo, ryzykujemy, że je zranimy. Mogłoby wtedy się nie zagoić i już nigdy nie wytworzyć korka – podkreśla Fabio, wskazując część pnia, która jest ciemniejsza i twardsza od reszty, podczas gdy kora jest zwykle gąbczasta w dotyku. Zawodu nauczył go ojciec, wiedza jest ▶

► przekazywana z pokolenia na pokolenie. To niezbędne know-how dla branży korkowej.

Jest to branża tak dochodowa, że najbogatsza w Portugalii rodzina Amorim, często wymieniana na liście „Forbesa”, dorobiła się fortuny właśnie na tym materiale.

Od butelki po redukcję emisji

Z informacji grupy Amorim, wiodącego producenta korków, wynika, że mniej więcej co trzecia z 21 mld butelek wina sprzedawanych każdego roku na całym świecie jest zamknięta korkiem wyprodukowanym w Portugalii. O ile większość lasów znajduje się w Alentejo, o tyle gros z 560 przedsiębiorstw zajmujących się przetwórstwem korka skupia się 30 km na południe od Porto. Jedno

przez dziewięć miesięcy, po to by usunąć TCA, związek chemiczny, który – jak twierdzą inżynierowie – nadaje winom nieprzyjemny zapach (tzw. skaza korkowa). – To, czego nie da się użyć jako zamknięcia butelki, może zostać wykorzystane w przemyśle lotniczym i obronnym, do produkcji obuwia, podłóg, ciężkiego sprzętu budowlanego oraz desek surfingowych – stwierdziła Conceição Santos Silva.

Pył korkowy jest zamiatany i przetwarzany na biopaliwo, co sprawia, że staje się ujemny pod względem emisji dwutlenku węgla. Z ujemnym bilansem emisji mamy do czynienia wówczas, gdy więcej dwutlenku węgla jest usuwane z atmosfery niż do niej emitowane. Branża jest zatem bardzo ekologiczna. Produkcja korka to jedyny przemysł leśny, w którym nie wycina się drzew. Dęby korkowe,

ilości wody. Niestety, mimo tych atutów musi stawić czoła wielu wyzwaniom. Zmiany klimatyczne wpływają na sezon zbioru korka, czyniąc go krótszym i cieplejszym. Kolejna kwestia to brak rąk do pracy.

Młode pokolenie porzuca tradycję

Średnia dzienna pensja *tiradores de cortiça* wynosi 120 euro – co czyni ten zawód najlepiej opłacanym w sektorze rolnym w Portugalii. Mimo to coraz rzadziej spotyka się nowych praktykantów w tej profesji, najpewniej z powodu stopniowego wyludniania się obszarów wiejskich i otwierania się przed młodymi ludźmi nowych horyzontów zawodowych. Obecnie sprowadza się więc pracowników z Brazylii, Ukrainy, Mołdawii, Rumunii i Indii.

Aby zrekomensować brak siły roboczej, w ostatnich latach obok ludzi pojawiły się maszyny. Według Antonia Amorima, dyrektora generalnego grupy Amorim, wydajność pracowników wzrosła o 20-30% w lasach, w których zbioru zostały zmechanizowane. Jego firma inwestuje w rozwój coraz bardziej wydajnych maszyn. Uzupelnieniem urządzeń z mechanicznymi ostrzami są obecnie lasery zdolne do pomiaru wilgotności kory i ścinania jej w razie potrzeby. Liderzy sektora wymyślają nowe sposoby, aby branżę i tradycję utrzymać przy życiu. I to nie pierwszy raz w historii.

Już jakieś 20 lat temu pojawiły się poważne obawy, że korek może stracić udział w rynku na rzecz alternatywnych materiałów syntetycznych, tańszych i niepowodujących zepsucia wina skazą korkową. Przemysłowi jednak udało się usunąć substancje, które mogłyby zaszkodzić winu, w tym TCA. Obecnie korek ma przewagę konkurencyjną nad takimi materiałami jak plastik ze względu na zrównoważone właściwości. W końcu uprawa dębów korkowych jest jedną z najbardziej naturalnych metod ochrony naszej planety przed zmianami klimatycznymi. Poza tym korki do wina i szampana pełnią również funkcję estetyczną, dodając butelce elegancji, znacznie bardziej niż ich plastikowa konkurencja.

Tomasz Skowronek

Według portugalskiego stowarzyszenia producentów korka w 2023 r. wartość eksportu osiągnęła rekordowe 1,2 mld euro.

z nich, grupa Amorim, produkuje niemal 6 mld korków. Firma zatrudnia ponad 3,5 tys. osób z łącznej liczby 8 tys. pracowników w branży.

Sprzedaż jest stabilna. Globalny popyt na wino zapewnia ciągłe zapotrzebowanie na korki do butelek. Amorim i inne firmy od dawna jednak inwestują w różnych obszarach biznesowych. Korek jest dobrym izolatorem termicznym, akustycznym, rozkłada nacisk i tłumi wibracje, a jednocześnie jest lekki. W 90% składa się z powietrza otoczonego mikroskopijnymi strukturami organicznymi. Osłony termiczne wykonane z korka chroniły zatem już rakiety Apollo, którymi pierwsi ludzie polecili na Księżyc, a później promy kosmiczne. – Nasz korek leży również pod trawnikiem stadionu Realu Madryt – mówią z dumą przedstawiciele firmy.

Conceição Santos Silva, inżynierka leśna, w wywiadzie dla „ABC News” wychwalała zarówno sam korek, jak i całą branżę. – Drzewa korkowe mogą żyć nawet 200 lat, przy czym są przetwarzane wielokrotnie w ciągu dziesięcioleci – dodała.

Gdy korek trafia do fabryki w celu przetworzenia, suszy się go nawet

mogące żyć od 150 do 200 lat, są pochłaniaczami dwutlenku węgla. Na każdy kilogram wyprodukowanego korka drzewo pochłania 73 kg dwutlenku węgla.

Korę zrywa się z żyjących dębów bez jakiegokolwiek dla nich szkody. Z drzewa 60-letniego zdejmuje się ok. 60 kg korka rocznie, drzewa 80-letnie produkują go już ponad 200 kg. Po trzech miesiącach kora odrasta. Znika rdzawoczerwony kolor, ale na następne zbioru trzeba czekać dziewięć lat. Aby ułatwić sobie liczenie, właściciele drzew znaczą je cyframi malowanymi białą farbą. Liczba oznacza rok, w którym kora została zdjęta. Od momentu posadzenia potrzeba 25 lat, aby dąb był gotowy do pierwszego zbioru. Dla porównania – każdy, kto sadi eukaliptus, musi poczekać od trzech do czterech lat, by uprawę zmonetyzować. Eukaliptus jednak niszczy podłoże i pali się jak pochodnia. Wysysa wodę z ziemi. Tylko że nikogo to nie obchodzi. Liczy się zysk.

Podczas gdy pożary lasów niszczą inne gatunki, gruba kora narodowego drzewa Portugalii często chroni je przed ogniem wiele godzin. Dąb korkowy wymaga również niewielkiej

Ścieżki kariery

To bardzo ciekawa nominacja – szefem placówki na Litwie został Grzegorz Poznański, zawodowy dyplomata. Ta placówka nie jest dla niego niczym nowym – w latach 2017-2020 był zastępcą ambasadora RP w Wilnie. W tym czasie funkcję ambasadora pełniła Urszula Doroszevska. Poznański był zawodowcem, a ona panią z politycznej nominacji. Z wzorcowym jak na PiS życiorysem, bo była w KOR, ale w grupie Macierewicza, potem w Solidarności, a w III RP pracowała w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego. I stamtąd wyjechała jako ambasador do Gruzji. A potem, już w wieku emerytalnym, w roku 2017 do Wilna, gdzie przebywała do roku 2023. Zastąpił ją na rok Konstanty Radziwiłł.

I teraz do Wilna jedzie Poznański. Jego wyjazd może być potwierdzeniem dwóch przeciwstawnych tez. Pierwszej, że karierą dyplomaty w Polsce rządzi zupełny przypadek, raz jest się tu, a innym razem gdzie indziej. I tej drugiej – że przypadków nie ma.

Dlaczego przypadek? Można odnieść wrażenie, że Poznański marnował swoje umiejętności. Po studiach w Instytucie Stosunków Międzynarodowych UW zdobywał wiedzę w Chinach, w Szanghaju i Pekinie, a także w Tajpej. Nauczył się chińskiego. Jednocześnie zbudował sobie w MSZ pozycję jako ekspert od spraw kontroli zbrojeń i bezpieczeństwa. Zaczynał w roku 1997, w Departamencie Polityki Eksportowej, a następnie w Departamencie Systemu Narodów Zjednoczonych i Problemów Globalnych.

W latach 2002-2006 pracował w przedstawicielstwie RP przy Biurze ONZ w Genewie, gdzie był odpowiedzialny za problematykę rozbrojenia. Brał udział w negocjacjach z USA dotyczących tarczy antyrakietowej.

Uczestniczył w negocjacjach wielostronnych. A w latach 2007-2008 był zaproszony przez sekretarza generalnego ONZ do pracy w panelu ekspertów ds. rakiet.

I oto w roku 2010, mogąc rozwijać się jako ekspert od Chin (a Polska zbyt wielu ich nie miała) lub jako specjalista od spraw bezpieczeństwa (NATO i organizacje międzynarodowe stały otworem), został skierowany do Tallina, gdzie przez cztery lata był ambasadorem. Tłumaczono wówczas, że w MSZ trzeba się sprawdzić na różnych stanowiskach, a on też musi zacząć się przyzwyczajać do kierowania ambasadą. Bo w przyszłości dostanie większą.

Po powrocie z Estonii był więc w centrali m.in. dyrektorem Departamentu Polityki Bezpieczeństwa, a potem wyjechał jako zastępca ambasadora do Wilna. Czyli, można orzec, zaliczył krok do tyłu. Po Wilnie został dyrektorem generalnym Sekretariatu Rady Państw Morza Bałtyckiego w Sztokholmie. A teraz znowu jedzie do Wilna. Innymi słowy, rozwijał się z rozmachem, Szanghaj, Pekin, Genewa, a kotwicz w zakątku Europy.

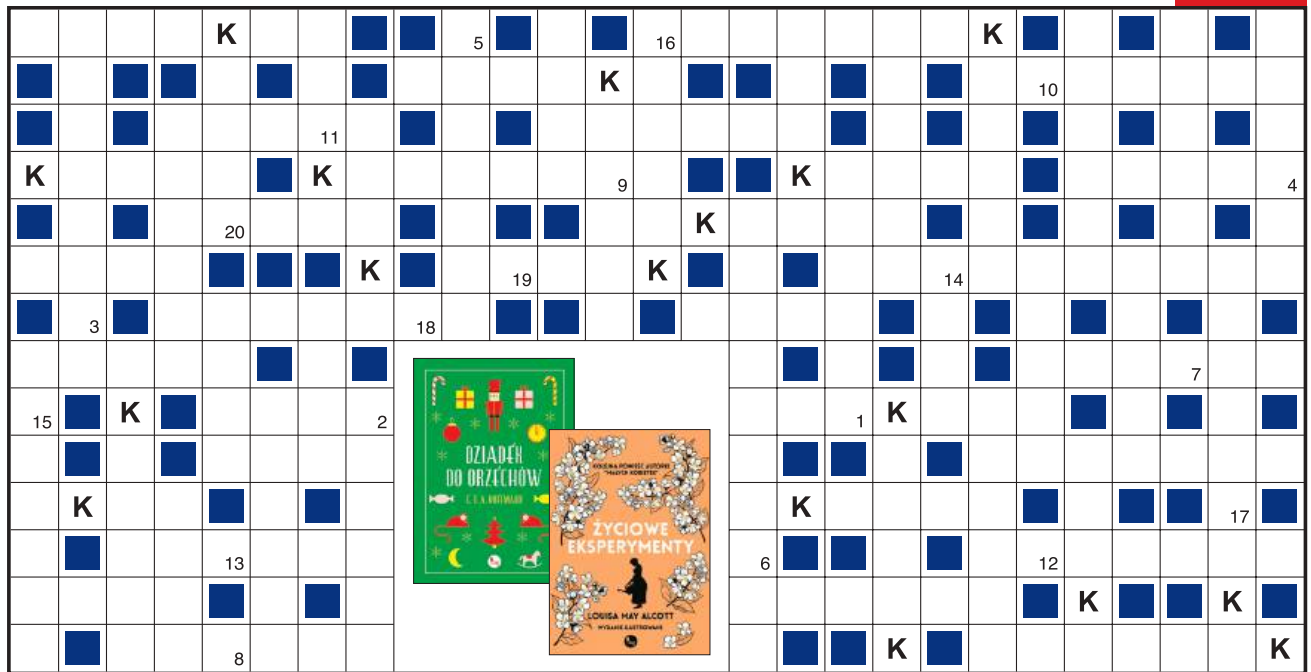
Ale na tę nominację można również spojrzeć inaczej. Poznański zawsze zajmował się bezpieczeństwem. I zawsze był tam, gdzie pachniało prochem. A w dzisiejszych czasach te sprawy stały się w polskiej polityce najważniejsze. Logiczne jest więc, że do państw nadbałtyckich, szczególnie narażonych, wysła się specjalistów od obronności, a nie od pomników, Polonii i zabytków.

Tak chyba powinniśmy czytać decyzję Radosława Sikorskiego. 14 lat temu wysłał Poznańskiego do Tallina, teraz wysła go do Wilna. W jakimś przecie celu...

Attaché

Byłaś grzeczna, rybko?
Park morski w Durbanie,
RPA, 18 grudnia 2024 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9
---	---	---	---	---	---	---	---	---

10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- tempo powolne, szybsze niż largo
- ma imieniny w Wigilię
- ... kwaśnych jabłek
- grecka gliniana na wino, oliwę
- polewa ze szlachetnej glinki na ceramice
- kompletnie nieudolniony

- zawiadomienie w skrzynce pocztowej
- co psu na nią, to zbędne
- duża... – pozdrowienie lub pożegnanie
- ozdoba choinkowa, coś ślicznego
- ogon
- linka lub pas przenoszące siły w maszynie

- skutek, rezultat
- wybryk, naruszenie porządku
- legendarna kraina obfitująca w złoto
- odnawialna – np. z wiatru
- programu lub zupa na nim
- dziewczyna z nią w tytule filmu von Horna
- Krasicki albo Mościcki
- zespół pracowników lub narodowa
- roślina podzielna na różyczki
- o atrakcyjnej dziewczynie
- na cudzy niektórzy żyją
- bardzo mało, ani... – wcale
- Kruszwica była ich stolicą
- minimalna wymagana liczba członków zgromadzenia

- przywódca, zawodnik na czele
- wiosenne zazielenianie się drzew
- stolica z Torre de Belém
- stolica z Big Benem
- herb szlachecki z Mazowsza
- ośła w klasie szkolnej
- Funchal jej stolicą
- Mikaela Shiffrin lub Magdalena Łuczak
- przedoperacyjne uśpienie
- nic nie wynosi z lekcji
- zapłata za uwolnienie
- kłujący chwast
- Saski lub Sanssouci
- łapać go – łapać równowagę
- pielęgnuje nasze tradycje na obczyźnie
- majątek wnoszony przez żonę
- stolica stanu Pernambuco
- przerywany nimi film w telewizji

- do ich wystawienia ślimak namawiany
- strój Hinduski
- trawiasty obszar w Afryce
- żal i chęć naprawy winy
- majster, co podzłuje
- wbijać ją to dogryzać
- bylina przybrzeżna o aromatycznym kłacu
- trójka instrumentalistów
- obłok gęstej mgły
- łukowata rączka torby
- bywa promienny albo krzywy
- dziwny lub staromodny pojazd
- strużynka
- ptaszek Elemelek
- przynosowe – przestrzenie w twarzoczaszce
- broszura będąca egzemplarzem czasopisma
- zna się na roślinach leczniczych
- ...warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

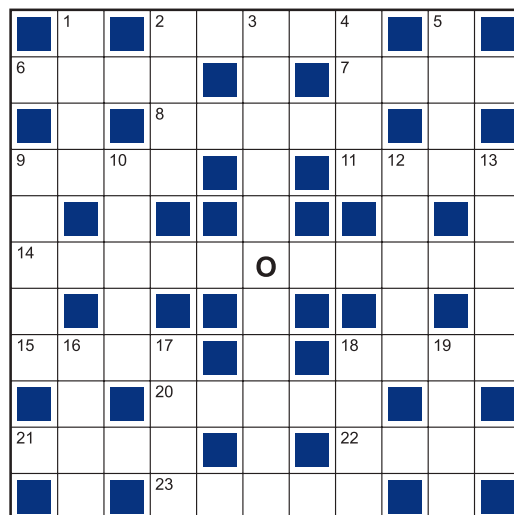
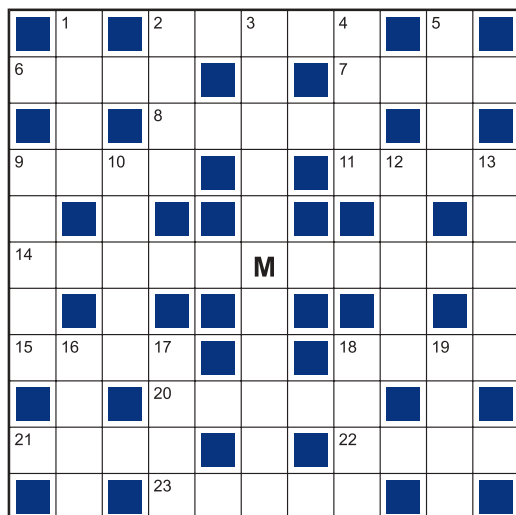
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1201”. Do rozlosowania książki „Życiowe eksperymenty” i „Dziadek do orzechów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 29 grudnia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1198” z nr. 49: Kto wszystkim dogadza, sobie szkodzi. Nagrody otrzymują: Aldona Franczuk z Otrębus, Małgorzata Stankiewicz ze Zgorzelca, Izabela Walaszek z Gliwic.

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.



Poziamo:

- 2) zakładany na czubek choinki ■ zbiorek wierszy
6) święta malowana samotrzeć ■ komputerowe lub personalia
7) rosół albo grochowa ■ i gra, i rozpoczęcie rozgrywki karcianej
8) barwny łuk na niebie ■ groch ją klepał po brzuszku
9) hodowla zwierząt ■ zniwaga, plama na honorze
11) nachylenie, pochyłość ■ do odegrania
14) nauka o monetach i ich zbieranie ■ perfekcyjne wykańczanie
15) ciasto pełne bakalii ■ dokumenty sądowe
18) nakładana na głowę konia ■ pierwiastek Cd
20) ozdobny trawnik ■ cicho, delikatnie w muzyce
21) pływający znak nawigacyjny ■ składana na tarlisku
22) przyjęcie lub Lordów ■ Gabrys nim wodę czerpał
23) prorocze wyobrażenie ■ ustalona opłata

Pionowo:

- 1) profesja w ręku ■ trud, mózół
2) ojciec dla smyka ■ podanie siatkarza
3) plan dochodów i wydatków ■ ma za sąsiada Serba, Greka i Bułgara
4) działanie magiczne, zaklęcie ■ mrówkowy albo siarkowy
5) otręby dla trzody ■ astra, corsa lub insignia
9) filozof ze szkoły Antystenesa ■ zawierała 2 łuty
10) zostaje po destylacji ropy ■ byk jelenia lub achtel
12) paskudztwo ■ gorący trunek w wazie
13) poselska nie odchudza ■ larum, sygnał ostrzegawczy
16) fałsz w śpiewie ■ „...o Gilgameszu”
17) spoina spod palnika ■ wstęgowany chalcedon
18) trafiła na kamień ■ związek państw
19) kłody z dziurami na ręce ■ konserwatysta jest starej...

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

				6	4	9	1
6		4	2	5			
	8		3	1			
1		3			6		
2	9	6		7	8		1 5
	7					2	
		5		2	8		
			8		5	6	
8			5				7

ŚREDNIE

				8	5
9			8	4	1
	1				3
1	3		2	4	9
	6	7		3	5
	5				4 3
		2		1	7 8
		6	5	2	
9				6	

TRUDNE

		8			2	6	
							8
	8			2	9		
3				8	5	4	
			2				
	5		1		6		3
9			7	1	3	2	
1		6				8	
	4	5		7			

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo
– to myśl, której autorem jest Andrzej Majewski.

JEŚLI I DEDZIECZ PRZYWOZAŁ, WIELU CIĘ TŁO WOLZY.
JEŚLI I DEDZIECZ PRZYWOZAŁ, WIELU CIĘ TŁO WOLZY.
JEŚLI I DEDZIECZ MÓWIŁ CICHŁO, WIELU CIĘ ZROZUMIŁ.
JEŚLI I DEDZIECZ MÓWIŁ CICHŁO, WIELU CIĘ ZROZUMIŁ.



PENETRACJE

STYL

PROF. JERZY BRALCZYK,
JĘZYKOZNAWCA

Hejt wobec mnie po wypowiedzi o psach pokazuje, że wciąż jestem obiektem zainteresowania. To rekompensuje mi fakt, że ludzie mogą mieć do mnie o coś pretensję. Tamto zdarzenie dało mi wręcz dwa powody do pewnej satysfakcji. Pierwszy taki, że dla ludzi wciąż jest ważne, co mówię – inaczej by to zlekceważyli. Drugi, że potrafię stać na swoim stanowisku konsekwentnie i nie ulegać wpływom innych, nawet gdy to oznacza atak. Udało mi się więc wtedy osiągnąć dwa ważne cele: pozostać w prawdzie wobec siebie i stać się obiektem zainteresowania. Czuję satysfakcję. Czasem warto wsadzić kij w mrowisko.

TVGODNIK
POWSZECHNY

ANNA DYMNA,
AKTORKA

Szczęście?

– Poznałam kiedyś mężczyznę, który ma SLA (stwardnienie zanikowe boczne). Choroba stopniowo upośledzała kolejne funkcje jego organizmu. Gdy niczego już nie robił sam, mógł jeszcze ruszać gałkami ocznymi i oczami pisać na komputerze. Dostawałam od niego listy, w których opisywał, jak bardzo jest szczęśliwy, bo widzi żonę, czuje, jak pies liże jego rękę, no i może jeszcze sam podróżować w internecie i pisać. Zamknięty w swoim ciele napisał o tym książkę. Teraz już nie pisze. Niczym nie rusza. Żona mu otwiera i opuszcza powieki. To ja się teraz pytam: co to jest szczęście?

TYGODNIK
ANGORA

KAROL MAJEWSKI,
PRODUCENT NALEWEK OD CZTERECH POKOLEŃ

Owoce dzięki lub zdziacza nie mają wyglądu, ale nadrabiają fantastycznym smakiem i aromatem. To samo dotyczy jabłek. Jabłoni przed moim domem to grafsztynek mały, odmiana z XVI w., bardzo rzadka. Te jabłka są rewelacyjne, tylko niewyględne. One nie nadają się do obrotu towarowego. Do długiego przechowywania. Ale można zrobić z nich nie tylko świetne nalewki, ale też fantastyczne konfitury. Na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej, gdzie mieszkam, rośnie dużo głóg. Głóg to kardiologiczny owoc, w smaku niespecjalny. Właściwie wszystko tam dzieje się w tej cienkiej skórce. Zbiera się najlepiej po przymrozkach, gdy opadają liście i widać owoce. Kilogram owoców, litr alkoholu i – w zależności jak kto lubi – cukier lub miód. Około 20 deka to takie minimum cukru. Zasada jest jedna: dosłodzić zawsze zdążymy, ale jak przesłodzimy, to już jest nie do wypicia. Zalać, wystawić na słońce i czekać, co z tego wyjdzie. Nalewki możemy robić przez cały rok.

na **szczęście**

PIOTR KRZYŻOWSKI,
ZDOBYWCA W CIĄGU 48 GODZIN MOUNT EVERESTU
I LHOTSE

Miałeś ze sobą awaryjny tlen?

– Nie używam nigdy takiej butli. Wiem, że część wspinaczy zabiera ze sobą trzylitrową, małą butlę albo jedynie reduktor i maskę, podłączając się do butli, którą komuś podbijają, co według mnie jest czymś totalnie nie do zaakceptowania. Ja nie posiadam tlenu ratunkowego, bo uważam, że to bardzo dużo zmienia w myśleniu. Poza tym zawsze to jakiś ciężar (ok. 3 kg), a ja na atak szczytowy idę bez plecaka, wszystkie rzeczy mam na sobie, pod kombinezonem. Znam siebie na tyle, że gdyby sytuacja stawała się naprawdę trudna, to podjąłbym decyzję o zawróceniu i ewentualnie przyjęciu leków ratujących życie, które zawsze mam ze sobą.

F	S	Z	P	I	C	O	Z	T	O	M	I	K	O
D	A	N	E	R	Z	U	P	A	A	N	N	A	W
C	H	O	W	L	R	O	L	A	U	J	M	A	E
Y	S	I	H	L	N	A	D	O	I				
N	U	M	I	Z	M	A	T	Y	K	A	C	Y	Z
I	A	I	D	R	J	U	N	C	T				
K	E	K	S	N	K	A	D	M	A	K	T	A	C
P	P	I	A	N	O	A	I	G	A	Z	O	N	Y
B	O	J	A	R	S	I	T	O	I	K	R	A	Y
S	W	I	Z	J	A	A	S	T	A	K	S	A	Y

ŁATWE

3	5	2	7	8	6	4	9	1
6	1	4	2	9	5	7	8	3
9	8	7	3	1	4	2	5	6
1	4	3	9	5	2	6	7	8
2	9	6	4	7	8	3	1	5
5	7	8	6	3	1	9	2	4
4	6	5	1	2	7	8	3	9
7	3	1	8	4	9	5	6	2
8	2	9	5	6	3	1	4	7

ŚREDNIE

6	2	4	9	3	1	8	7	5
9	7	3	6	8	5	4	1	2
8	1	5	4	2	7	6	3	9
1	3	8	2	5	4	9	6	7
4	6	7	1	9	3	2	5	8
2	5	9	7	6	8	1	4	3
5	4	2	3	1	9	7	8	6
7	8	6	5	4	2	3	9	1
3	9	1	8	7	6	5	2	4

TRUDNE

1	3	9	8	5	7	2	6	4
4	2	7	9	3	6	1	5	8
6	8	5	1	4	2	9	3	7
3	7	1	6	9	8	5	4	2
9	4	6	3	2	5	8	7	1
8	5	2	7	1	4	6	9	3
5	9	8	4	7	1	3	2	6
7	1	3	2	6	9	4	8	5
2	6	4	5	8	3	7	1	9

JEŚLI BĘDZIESZ KRZYCZAŁ, WIELU CIĘ USŁYSZY;
JEŚLI BĘDZIESZ MÓWIŁ CICHU, WIELU CIĘ ZROZUMIE.



Aby język giętki...

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI O PORĄŻCE

Lewica. Nie udało mi się zostawić lewicy na tyle skonsolidowanej i ważnej, żeby w polskiej polityce miała znaczenie.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

O JULII PRZYŁĘBSKIEJ

W zamian za osobiste apanaże sprostytuowała Trybunał w sposób ostentacyjnie bezwstydny.

HANNA KRALL O UCZUCIACH

Dzisiaj wszystko jest gwałtowne, uczucia zwłaszcza, wiecznie rozgorączkowane, zapalczywe. Nienawistne najczęściej.

ANDRZEJ CHYRA O LEWICY I PiS

Mają inne poglądy na kwestie światopoglądowe, ale jedni i drudzy rozdawaliby pieniądze.

MACIEJ MALEŃCZUK O NAŁOGACH

Demon nałogu jest potężny. Całkowicie nie da się od niego odciąć. Czasem musisz się napić czy zająć.

KATARZYNA GRONIEC O GODNOŚCI

Zostaje rozważanie, czy starzeć się z godnością, czy bez. Na razie uważam, że bez.

AGATA KULESA O CÓRCIE MARIANCE

Jest weterynarzem, wspaniałą osobą. Bardzo mnie rozśmiesza, ale też denerwuje, bo ciągle coś gubi.

RENATA GABRYJELSKA

O SCENARIUSZU FILMOWYM

Chciałabym historii modelek przełożyć na scenariusz i pokazać kobiecą dojrzałość jako przywilej, z którego mamy prawo wszystkie korzystać.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszyn

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Najpiękniejsza szopka betlejemka 2024

Muzealna opowieść wigilijna

Szopka w szklanej kuli, w tóczeczku dla lalek czy z piernika – takie realizacje można oglądać na wystawie w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. Ich autorami są dzieci i młodzież z Dolnego Śląska, uczestniczące w 32. Wojewódzkim Konkursie Rzeźbiarskim, którego organizatorem jest Galeria Twórczości Plastycznej Młodych działająca w Młodzieżowym Domu Kultury Śródmieście we Wrocławiu. W tym roku pracom konkursowym towarzyszą szopki ze zbiorów muzealnych – od barokowych po niemal współczesne. Większość zaaranżowana jest w tradycyjny sposób, jednak zaskakują bardzo pomysłowym wykorzystaniem różnych materiałów. Są szopki oszałamiające złożonością, tuż obok realizacje zachwycające minimalizmem, szopki duże i mniejsze, a najmniejsza zgłoszona praca ma tylko 4 cm wysokości.

Muzeum Narodowe we Wrocławiu
pl. Powstańców Warszawy 5
do 19 stycznia

FOT. M. LOREK



Marcelina Morawska, Sportowa SP nr 72 we Wrocławiu, opieka artystyczna Agnieszka Lasek.



Oliver Krajcer, Katolicka SP w Kotowicach, opieka artystyczna Dorota Krajcer.



Antonina Kozłowska, MDK Krzyki we Wrocławiu, opieka artystyczna Iwona Gocyk.



Wschodnioniemieckie Warsztaty Chrześcijańskiej Sztuki i Rzemiosła Artystycznego w Nysie, lata 20. XX w.



Marko Savytskyy, MDK Śródmieście we Wrocławiu, opieka artystyczna Bartosz Hęcka.

powszechny

Teatr, który się wtrąca

Adamczyk
Artman
Bożek
Ilczuk
Leończyk
Leżoń
Mucha
Pieczyński
Rucińska
Sobik
Sowul
Stoczyński

premiera
19.12.2024



na podstawie dramatu
William Shakespeare'a

Opowieść zimowa



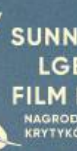
instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy



74 Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Panorama
Nagroda Publiczności (2 miejsce)
Nagroda Teddy



SOFIA PRIDE
FILM FESTIVAL
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI



SUNNY BUNNY
LGBTQIA+
FILM FESTIVAL
NAGRODA UKRAIŃSKICH
KRZYTYKÓW FILMOWYCH



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
w GUADALAJARZE



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
w STAMBULE



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
w SYDNEY



CROSSING

REŻYSERIA LEVAN AKIN („A POTEM TAŃCZYLIŚMY”)

OTULAJĄCA CIEPŁEM
I BEZPIECZEŃSTWEM
ODA DO CZŁOWIECZEŃSTWA



Kreatywna
Europa
MEDIA

AURORA

W KINACH OD 27 GRUDNIA